



# MAREK STELAR

NIE BÓJ SIĘ CIEMNOŚCI.

BÓJ SIĘ TEGO, CO KRYJE.

# PTASZNIK

FILIA

MAREK  
STELAR  
PTASZNIK

FILIA

Copyright © by Marek Stelar, 2024  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska  
Korekta: Agnieszka Czapczyk, Kinga Józwiak  
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-351-9

# FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

VOGEL

CIAŁO

HELENE

MECENAS

KOMISARZ BANACH

MONIKA

MILICJANT

REJS

RUBENS

VANESA

MISZA

NIEBEZPIECZNI LUDZIE

NA CELOWNIKU

SPALONE MOSTY

KLINIKA

WIZYTA

SPOTKANIE ROBOCZE

PLUTONOWY

BADANIE

BENNER

ANDREAS SCHENK

FRAU BACHMANN

ONKEL FRIDO

POLOWANIE

FILM

SEIF

NAJLEPSZE LATA

POMYŁKA

PŁACZ

ZAMACH

IENOT

WIRUS

PULKOWNIK JASKÓLSKI

CHŁOPIEC I MĘŻCZYŻNA (WCZEŚNIEJ)

WYJŚCIE HONOROWE

SPOWIEDŹ

MATKA

BŁĄD ATRYBUCJI

WODA I OGIEŃ

LIST

OD AUTORA

# VOGEL

Vogel leżał na górnym pokładzie swojej łodzi. „Worša”, zacumowana do pomostu, kołysała się niemal niezauważalnie na drobnych falkach wzbudzonych lekkim wiatrem. Lipcowa noc była upalna, żaby hałasowały w szuwarach porastających brzegi kanału, a ich rechot mieszał się z natrętnym cykaniem świerszczy. Na sąsiednich łodziach pogasły już światła, ucichły odgłosy jakiejś imprezy dobiegające z jednego z lekko zaniebanych budynków na przystani, a Vogel leżał z rękami pod głową wpatrzony w gwiazdy i słuchał cichego chlupotu wody uderzającej lekko o kadłub łodzi. Jej cykliczne, miękkie mlaskanie o stalowe poszycie, raz cichsze, raz głośniejsze, przerywało monotony koncert owadów i płazów zamieszkujących okolice Cieśnicy i Kanału Skolwińskiego. Nieużytki ostrowów lewego brzegu Odry Zachodniej pełne były życia kryjącego się w zastoiskach, trzcinach i krzewach. Tu nawet żyjące od pokoleń dziki były inne: miały nieco bardziej wydłużone ryje, co ułatwiało im buchtowanie w błocie i szlamie i dotarcie do ukrytego pod ich warstwą pokarmu.

Vogel głęboko zaciągnął się powietrzem pachnącym wodą i butwiejącą roślinnością. Uwielbiał ten zapach. Po czarnym niebie przemykał migający punkcik, światła pozycyjne samolotu zlewały się, tor lotu wytyczał prostą linię pomiędzy konstelacjami gwiazd, a Vogel śledził go, zastanawiając się, skąd leci i dokąd zmierza. Heinrich Vogel od jakiegoś czasu nie miał większych zmartwień. Mógł sobie na to pozwolić, choć droga do tego momentu jego życia była wyboista i kręta. W zasadzie można było ją podzielić na trzy etapy: ten pierwszy, beztroski, pełen wrażeń, widoków, smaków i zapachów skończył się w dwa tysiące trzecim roku zdarzeniem, które zmieniło jego życie

bezpowrotnie, wprowadzając je na tory, jakich nie spodziewałby się w najgorszych koszmarach. Drugi etap był już tylko konsekwencją tego zdarzenia. Trzeci właśnie trwał i Vogel miał nadzieję, że to się już nie zmieni do końca życia, niezależnie ile by ono jeszcze trwało. Od kilku lat żył tak, jak obiecał sobie kiedyś, tkwiąc w klaustrofobicznym wnętrzu ograniczonym czterema odrapanymi ścianami, pośród ludzkich kłótni, wrzasków, bluzgów, stęków towarzyszących masturbacji, w smrodzie potu, moczu, tanich środków czystości i wilgotnych, zatęchłych ubrań, w atmosferze ciągłego zagrożenia i ze schizofrenicznym poczuciem równoczesnej pewności i niepewności tego, co wydarzy się jutro. Każdy następny dzień w tamtym przeklętym miejscu był z drobnymi wyjątkami dokładnie taki sam, ale można było się o tym przekonać dopiero wieczorem. Kiedy mijał, dołączał do pozostałych we wspomnieniach, które Vogel chciał wcisnąć gdzieś w niedostępne zakamarki umysłu, aby nigdy do nich nie wracać. Ale nie dało się, to one wracały. Najczęściej w snach. Coraz rzadziej, ale Vogel nie miał złudzeń, że kiedykolwiek znikną na dobre. Wryły się w pamięć na tyle mocno, że nie były ich w stanie stamtąd wyrugować ani silna wola, ani te nowe wspomnienia, które może i monotonne, ale szczęśliwe, napływały do głowy od kilku lat.

Życie, jakie prowadził Heinrich Vogel od tamtej pory, było nieskomplikowane. Było dokładnie takie, jak je sobie wymarzył w celi.

Samolot zniknął, zostały tylko gwiazdy. Vogel poczuł, jak jego ciało staje się ciężkie, zapada się w materacu rozłożonego siedziska, a powieki coraz dłużej pozostają zamknięte. Tabletki zaczynały działać. Chwilę później gwiazdy również zniknęły i zapadł w specyficzny stan między jawą a snem, kiedy wszystko wydaje się nierealne i nie da się już odróżnić, co jest jednym, a co drugim. Nie wiedział, czy surowa mimo pozornej obojętności twarz kobiety jest jego imaginacją, czy naprawdę ma ją kilka metrów przed sobą. Słyszy w głowie te słowa, które zmieniają jego życie, tak jak zmieniły je tamte wydarzenia. Coś poszło nie tak i wieczór, który miał być taki jak każdy inny wcześniej: przyjemny



i nieco rozpustny, skończył się tragedią, której Vogel był jednym z głównych aktorów, choć nikt go nie pytał, czy tego chce. Po prostu stało się.

Pamięć przywołuje słowa, całe frazy, nie dosłownie, ale to wystarczy, żeby zbudować obraz, który staje się tak realny, jakby znowu był na sali rozpraw.

– Oskarżony, do tej pory niekarany, jako osoba od wielu lat uprawiająca sztuki walki, powinien zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa i ryzyka, jakie niesie za sobą stosowanie tych technik poza salą treningową. Sytuacja, w jakiej oskarżony się znalazł, niewątpliwie stanowiła zagrożenie zdrowia, a nawet być może życia, zarówno jego, jak i osób postronnych, nie powinno to jednak usprawiedliwiać stosowania środków obrony niewspółmiernych do zagrożenia, a na pewno takich, których użycie w konsekwencji zaskutkowało ciężkim uszczerbkiem na zdrowiu, a następnie zgonem pokrzywdzonego. Biorąc to wszystko pod uwagę, skazuję oskarżonego na karę łączną pięciu lat pozbawienia wolności. Na jej poczet zostanie zaliczony pobyt w areszcie...

Czuje oblewającą go falę gorąca. Gdzieś z boku dochodzi go krótki krzyk matki.

– Przecież to jest sprzeczne samo w sobie, co ona pierdoli? – szepcze w panice do adwokata.

– Nie teraz, Henryk.

– Mówił pan, że potraktują to jako nieumyślne!

– Nie teraz! – Adwokat nie patrzy na niego: stoi zgarbiony ze wzrokiem wbitym w sędziego, lekko skrzywiona głowa jest pochylona, usta wykrzywione w grymasie niezadowolenia i Vogel, kiedy ogląda to teraz jak na ekranie w kinie „Wspomnienia”, nie wie, czy to złość na niego, czy na samego siebie.

– Okłamał mnie pan – szepcze bezsilnie Vogel, który wtedy jeszcze nie jest Voglem. – Obiecał mi pan...

– To jeszcze nie koniec, Henryk, będziemy apelować...

– Proszę oskarżonego o zachowanie spokoju podczas odczytywania wyroku, w przeciwnym razie oskarżony zostanie ukarany karą porządkową grzywny w wysokości...

Przejmujący krzyk żurawia niósł się po wodzie i łąkach Skolwina. Vogel szarpnął się i otworzył oczy, a potem rozejrzał dookoła. Przez chwilę uspokajał oddech i ruszał palcami, zginając je i prostując na przemian, aż poczuł, że drętwienie mija. Słońca nie było jeszcze widać, choć malowało już na niebie pierwsze, różowe smugi świtu. Klangor powtórzył się, odpowiedział mu drugi. Vogel oblizał wyschnięte usta i przecesał palcami gęste włosy. Lekko rozkołysana jego gwałtownym przebudzeniem łódź spokojnie bujała się na wodzie, słychać było chłopot małych fal odbijających się od kadłuba, dużo głośniejszy w ciszy poranka. Po chwili dołączył do niego jakiś głuchy stuk i plusk. Vogel usiadł i przetarł twarz, a potem złożył siedzisko do normalnej pozycji, odsunął płócienne zadaszanie, przeciągnął się i wbił wzrok w horyzont. Stuk powtórzył się nagle. Dochodził z dołu, gdzieś znad wody i Vogel pomyślał, że jakaś gałąź przyniesiona wodą z kanału obja się o poszycie.

Pieszczotliwie klepiąc po reflektorze białą vespę zawieszoną na stelażu z tyłu rufy, zszedł na dół, do sterówki, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, a potem zszedł niżej, do mesy. W kambuzie nastawił wodę na kuchence i poszedł wziąć prysznic: nie chciało mu się wychodzić na zewnątrz, żeby skorzystać z łazienki na przystani. Kiedy wyszedł z ciasnej, niewiele większej od przeciętnej szafy łazieneczki, zalał herbatę wrzątkiem i ubrał się w luźny T-shirt, slipy i bermudy. Patrząc, jak woda w kubku barwi się na brązowo, zastanawiał się, co będzie dziś robił. Od jakiegoś czasu chodziła mu po głowie wyprawa do Berlina, chciał pomieszkać tam kilka tygodni, pozwiedzać, a potem ruszyć jeszcze bardziej na zachód i powłóczyć się po marinach i kanałach aż do października, kiedy będzie musiał pomyśleć o jakimś sympatycznym miejscu na przezimowanie. Wolał Niemcy, bo jednak infrastruktura była o wiele bardziej rozwinięta niż tutaj, choć

tamtejszym użytkownikom marin można było wiele zarzucić, jeśli chodzi o kulturę. Kwestie finansowe nie miały dla niego znaczenia, za to wygoda owszem. Zwłaszcza po tym, co przeszedł.

Wziął kubek i poszedł z nim na górę. Stojąc na pokładzie, patrzył na budynki stojące w rzędzie nad brzegiem wody, po drugiej stronie krajobraz szpeciły tak samo ustawione blaszaki na łodzi. Przypominało to nieco zabudowę brazylijskich faweli. Upił łyk herbaty, czując na twarzy ciepłą wilgoć jej oparów. Nagle dobiegł go czyjś cichy głos. Odwrócił się. Ktoś łowił ryby ze swojej łodzi, a teraz machał do niego zamaszystymi ruchami. Kojarzył go; miał na imię Paweł, był kierowcą tira, razem z żoną Jolą spędzał na swojej „Niko” każdy weekend. To, że Vogel nie życzył sobie niczyjego towarzystwa, nie oznaczało, że nie orientuje się, kogo ma w otoczeniu. Tego też nauczył się tam. Wiedza o otaczających cię ludziach bywa przydatna i trzeba uważnie słuchać i patrzeć dookoła. To sprawia, że można uniknąć kłopotów, przynajmniej niektórych.

Zmarszczył brwi.

– Hej, coś pływa koło twojej łajby – zawołał tamten niezbyt donośnie.

Głos niósł się dobrze, zresztą „Niko” nie była zbyt daleko. Vogel przez chwilę zastanawiał się, czy nie zejść po prostu pod pokład, zamykając się w mesie. Nie miał ochoty na żadne rozmowy ani na kontakt z kimkolwiek. Nie odpowiadając, a dając tylko tamtemu znak dłonią, że usłyszał, ostrożnie zszedł z kubkiem na nabrzeże, ominął kabel zasilania podłączony do skrzynki, zszedł z wykonanego ze stalowej kratownicy oczepu na trawę i zrobił kilka kroków, czując na bosych stopach zimno porannej rosy. Uważnie zlustrował wodę przy „Worśy”. Jej lustro marszczyło się lekko, zmaćcone ruchem łodzi rozkołysanej przy schodzeniu. Nagle przy burcie Vogel zobaczył coś sporego, co unosiło się tuż pod taflą, ale nie był w stanie rozpoznać, co to takiego. Widział tylko, że jest białawe i ma podłużny kształt, przedzielony wpół i po skosie krechą napiętej cumy. Kożuch soczyście zielonej rzęsy wodnej rozchodził się na boki za każdym razem, kiedy

falowanie wypychało przedmiot ku górze. Vogel odstawił kubek na trawę. Miał dwa wyjścia. Mógł odsunąć przedmiot z łodzi, ale miałby problem z sięgnięciem go z pokładu, nawet gdyby się położył, poza tym odepchnięcie nie załatwiłoby sprawy. Woda przyniosłaby go z powrotem chwilę później i znów uderzałby w kadłub. Drugim rozwiązaniem było wejście do wody i odholowanie tego czegoś na brzeg, na którym w zaroślach i tak zalegało sporo śmieci: opon i betonowych płyt.

To właśnie dlatego Vogel chciał spędzić zimę w Niemczech: nie znosił syfu, a kiedyś musiał w nim żyć. I wystarczy.

Nie zastanawiając się więcej, wszedł do wody. Nie była bardzo zimna, już prędzej chłodna, bo lato było upalne, a Cieśnica stanowiła płytką i ślepą odnogę kanału, więc woda stała w niej jak w stawie. Vogel brnął w niej po kolana, rozgarniając dłońmi rzęsę, która lepiała mu się do skóry, a jego stopy zapadały się w śliskim, zaskakująco i nieprzyjemnie zimnym mule. Był już blisko „Worśy”, kiedy wezbrana nogami fala przesunęła przedmiot w kierunku łodzi i znów rozległ się dziwny, głuchy stuk. Wypchnięty na powierzchnię ukazał się oczom Vogla niemal w całej okazałości i to sprawiło, że mężczyzna stanął jak wryty. Z uniesionymi rękami oblepionymi drobnymi kropkami rzęsy wpatrywał się w pakunek kołyszący się na wodzie niemal u jego kolan. Spod warstwy oblepionej rzęsą folii przebijała blada biel i coś, co przypominało grubą, plecioną linę, która wiła się wzdłuż zawartości pakunku jak anakonda zsuwająca się z brzegu do brudnej wody Amazonki.

– Co to? – zawołał z zaciekawieniem Paweł.

Vogel drgnął, wyrwany z odrętwienia. Odwrócił się powoli do człowieka z wędką ze ściśniętym sercem, wkurwiony i przerażony jednocześnie, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani słowa. Krzyk żurawia znów przeszył ciszę poranka, jak w tandetnym filmie, i Vogel znów doznał tego samego uczucia, jak wtedy, kiedy stanął z manelami

w drzwiach celi, która miała stać się jego domem na najbliższych kilka lat.

Po prostu nie miał pojęcia, co robić.

## CIAŁO

Vogel siedział na górnym pokładzie i przyglądał się zamieszaniu na nabrzeżu. Rozparty na leżaku w cieniu namiotowego płótna rozpiętego na stelażu obserwował krzątających się policjantów. Pod drzewami, jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów od kei, stało kilka radiowozów, cywilny samochód i szary bus na policyjnych blachach. Vogel domyślił się, że przyjechali nim technicy kryminalistyczni. Nurek holował właśnie pakunek do brzegu, gdzie czekała już grupka mężczyzn. Stali z rękami w kieszeniach spodni albo z założonymi ramionami i robili to samo co Vogel: przyglądali się.

I czekali.

Vogel był już przepytany krótko przez patrol, który dojechał na miejsce jako pierwszy. Wiedział, że czeka go jeszcze o wiele dłuższa przeprawa z kolejnymi policjantami. Obawiał się tego. Każdy, kto kiedykolwiek siedział w więzieniu, dostawał gęziej skórki na myśl o spotkaniu ze stróżami prawa, nawet jeśli miała to być zwykła rozmowa. Obawa, a nawet strach były trwale zakorzenione w duszy, wdrukowane w umysł i system nerwowy, i nic nie mogło tego zmienić, a przynajmniej tak sądził Vogel. Był świadomy swojego strachu, ale robił wszystko, żeby nie dać pokazać go po sobie. Tak jak tam, w Goleniowie. To była pierwsza rzecz, którą powiedział mu w celi Rubens: nie możesz pokazać komukolwiek, że się boisz, bo masz przejebane. Będą jechać po tobie, będą cię gnębić, ruchać i wysługiwać tobą. To będzie twój koniec. Miał te słowa wciąż w pamięci, przechowywał je tam jak najcenniejszy skarb, lekcję życia, której nie zapomni do jego końca.

Dlatego siedział bez ruchu na górnym pokładzie, oddychając miarowo i spokojnie, i czekał, co wydarzy się dalej. Kiedy zobaczył, jak właściciel łodzi, który zawołał godzinę wcześniej, że coś pływa obok jego łajby, wskazuje go stojącym na brzegu mężczyznom, poczuł, jak tężeją mu mięśnie ud. Jedyne objawy strachu, na jaki mógł sobie pozwolić. Kontrolowany upust, skanalizowany w jednym miejscu ciała.

Niewidoczny.

Ale mężczyźni pokiwali tylko głowami i podeszli do skraju nabrzeża, wystającego jakiś metr ponad lustro wody. Policjanci z pomocą nurka wyciągnęli z niej pakunek i ostrożnie położyli na rozpostartym nieco dalej na trawie materiale w tej samej pozycji, w jakiej pływał. Nurek wrócił pod mętną, płytką wodę, żeby sprawdzić, czy nic nie zostało na dnie, tuż pod powierzchnią widać było niewyraźny zarys jego sylwetki i płetw, a na niej wykwitwały bąble powietrza uwalnianego z aparatu.

Po rozstawieniu rozpiętych na stelażach granatowych ekranów z napisem POLICJA technik zaczął usuwać folię, drugi robił zdjęcia. Zdejmowane po kolei warstwy stopniowo ujawniały koszmarną zawartość. Vogel miał ze swojego miejsca znakomity widok, bo ekrany rozstawiono tak, żeby ukryć miejsce oględzin przed oczami ewentualnych gapiów tylko od strony brzegu. Po odsłonięciu zwłok, dokładnych oględzinach i obfotografowaniu ich technicy odwrócili je na plecy. Wtedy Vogel zobaczył, że ofiarą jest kobieta, a chwilę później spostrzegł, że jeden ze stojących obok mężczyzn przypatruje mu się uważnie. Odwrócił wzrok, kierując go w stronę wody, ale było za późno. Był świadomy, że wymiana spojrzeń być może tylko przyspieszyła spotkanie, które i tak było nieuniknione. Mężczyzna ruszył w kierunku jego łodzi, więc Vogel przełknął ślinę i spróbował opanować drżenie rąk, a potem zszedł na dół, wychodząc mu naprzeciw.

- Dzień dobry, policja. Można? - Wysoki, ciemny brunet uśmiechnął się do niego, zatrzymując się przy rufie.

- Zapraszam - mruknął. - I proszę zdjąć buty.

- Przykro mi, policjant na służbie nigdy nie ściąga butów.

Zerknął na jego stopy i uznał, że obuwie nie poniszczy pokładu, choć i tak nie miał żadnego pola do dyskusji. Odwrócił się i zniknął w mesie, nie czekając, aż policjant wejdzie na łódź.

Po chwili poczuł, jak podłoga rusza mu się pod stopami. Usiadł na kanapie i założył ramiona, ale niemal natychmiast położył ręce na kolanach, kiedy uzmysłowił sobie, co taka poza oznacza. Zamknięcie. Obronę. Chwycił stojącą na małym, składanym stoliku puszkę z colą, żeby zająć czymś przynajmniej jedną rękę. Otworzył ją szybko z sykiem i upił łyk, żeby zwilżyć wnętrze ust. Policjant zszedł do mesy po kilku stopniach i rozejrzał się z ciekawością po wnętrzu. Uśmiechał się nieznacznie. Potem usiadł naprzeciwko w takiej samej pozycji jak Vogel i popatrzył na niego. Nagle jego oczy pociemniały lekko, czoło zmarszczyło się, a prawa ręka z wystawionym palcem wskazującym wyciągnęła się w stronę Vogla.

– My się chyba znamy, prawda? – zapytał z zaskoczeniem.

– Nie sądzę. – Vogel zdecydowanie pokręcił głową.

– A jednak. *Herr* Heinrich Vogel, zgadza się? I proszę, okazuje się, że jednak mówi pan po polsku, panie... – Policjant zawiesił znacząco głos i Vogel wiedział już, co chce powiedzieć, choć nie miał pojęcia, jak się tego dowiedział.

Nie dał rady. Kanał, którym kierował strach do ud, okazał się za wąski. Strach wylał się z niego i zalał całe ciało, sięgając twarzy, włosów na karku i palców, które zeszytywniały nagle. Rozległ się trzask metalu, kiedy Vogel zmiażdżył puszkę z colą. Poczuł, jak słodki, gazowany płyn zalewa mu dłoń.

– Nazywam się Vogel – wycharczał, oblizując palce.

– Zgadza się, wszystko już wiem. Szkoda, że nie powiedział mi pan tego wtedy, w hotelu.

Słyszac to, Vogel uświadomił sobie, gdzie się spotkali. Zamknął na chwilę oczy. Strach nieco zelżał. Nie miał w końcu nic na sumieniu. Ani wtedy, ani teraz.

– Sprawa Helene von Zussow, jakieś cztery, pięć lat temu.



Z ust policjanta nie schodził uśmiech. Był całkiem sympatyczny i nie wyglądał na sztuczny.

- Już pamiętam - szepnął Vogel.

Gliniarz przyglądał się mu z ciekawością, jakby byli dawnymi kolegami, którzy nie wiedzieli się szmat czasu i teraz patrząc w swoje twarze, uświadamiali sobie, ile właściwie go minęło.

- To może ja panu przypomnę moje nazwisko: podkomisarz Dominik Przeworski, wydział kryminalny komendy miejskiej policji w Szczecinie.

Vogel milczał.

- Uciekł pan wtedy - stwierdził Przeworski, marszcząc lekko nos.

- Nie uciekłem. Wyjechałem.

- Na jedno wychodzi, panie Vogel. Prosił się pana o pozostanie na miejscu, zgadza się?

- Zrobiłem, co chcieliście, współpracowałem. Poza tym, jestem obywatelem niemieckim...

- Ma pan podwójne obywatelstwo - zauważył policjant, przerywając mu. - A to oznacza, że na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej jest pan traktowany jak obywatel polski. Chyba jest pan tego świadomy?

Nie odpowiedział.

Przeworski wypchnął językiem usta i mlasnął cicho.

- A wracając jeszcze na chwilę do tej sprawy... - Znów zawiesił głos i to ponownie spowodowało, że Vogla zaczęła zalewać krew.

- Byłem niewinny - warknął.

- Zgadza się, to też już wiem, inaczej byśmy tutaj nie siedzieli. Ale trochę krwi mi pan napsuł tą ucieczką.

- Wyjazdem.

- Wyjazdem, niech panu będzie. Dobrze, faktycznie zostawmy już to i skupmy się na tym, co trzeba. Pan znalazł ciało, tak?

Vogel obliznął usta.

- Tak i nie - odparł po chwili namysłu.

- Tak twierdzi pana sąsiad.

- Nie jest moim sąsiadem, nawet go nie znam.

- Powiedział, że kotwiczony tu od kilku tygodni, podobno pan też co najmniej od tyłu. Myślałem, że motorowodna brać trzyma się razem?

- Nie jestem zbyt towarzyski. Nasze łódzie dzieli jakieś trzydzieści metrów i pomost. To on zawołał, że coś pływa koło mojej. I nie wiedziałem, że to ciało. Nie wtedy.

- Precyzja. - Przeworski uniósł lekko brwi i pokiwał z uznaniem głową. - To lubię. Dotykał pan zwłok?

- Nie.

- Nie obracał pan ich? Nie rozrywał folii? Nie próbował wyciągnąć na brzeg?

- Po co?

- Odruchowo.

- Nie. Zorientowałem się, co to jest, kiedy podszedłem bliżej. Nie musiałem niczego dotykać ani tym bardziej rozrywać folii.

Przeworski obrzucił szybkim spojrzeniem jego nogi. Włosy na goleniach były już suche, ale skraje nogawek szortów ciemniały w miejscach, gdzie jasnoszary materiał nasiąknął wodą.

- Chciałbym, żeby pan je obejrzał. - Brzmiało to jak propozycja nie do odrzucenia.

- Słucham? - Vogel zdębiał. - Po co?

- Może pan ją znał?

- Niby dlaczego miałbym ją znać? Nawet nie wiedziałem, że to kobieta.

Policjant zatrzymał wzrok na jego twarzy, ale on wytrzymał to spojrzenie. Siedzieli tak przez chwilę, a potem Vogel gwałtownie wstał, pochylił się i wyszedł na rufę. Na zewnątrz odetchnął głęboko świeżym powietrzem, które już, mimo wczesnej pory, robiło się parne. Zeskoczył na brzeg, specjalnie odbijając się mocno od pokładu, żeby rozbujać łódź. Odwrócił się i patrzył z satysfakcją, jak lądowy szczur próbuje

zachować równowagę, jedną nogą stojąc jeszcze na rufie, a drugą macając ład. Po chwili obaj podeszli do zwłok.

Leżały na wznak, sztywno, z rękami wzdłuż ciała. Wokół nich rozpościerały się płachty rozciętej folii. Kobieta miała mięsistą twarz, sine usta były otwarte, powieki lekko uchylone, obfite piersi zwisały na boki, widać było lekką otyłość brzuszna. Ciemne, gładko zaczesane włosy przylegały do czaszki, nad ramieniem wił się gruby, mokry warkocz, który Vogel wziął z początku za okrętową linę. Widać było, że ofiara musi być już sporo po czterdziestce. Jej skóra miała barwę alabastru, a pośrodku czoła widniał niewielki otwór.

- Nie była w wodzie długo, bo skóra nie jest zmacerowana, no i ma jeszcze gałki oczne - mruknął policjant. - Chociaż ta folia chroniła przed dostępem ryb.

- Naprawdę musi pan się ze mną dzielić takimi szczegółami?

Przeworski drgnął jak wyrwany z zamyślenia i spojrział na niego.

- Tylko głośno myślę. Zastanawiam się, jak się tu znalazła i jak długo pływała.

- Wczoraj wieczorem jej tu nie było. Nie w okolicy mojej łodzi.

- Jest pan pewien?

- Tak.

- O której pan zasnął?

- Około pierwszej.

- Zamyka pan się w środku na noc?

- Spałem na górnym pokładzie, na świeżym powietrzu - powiedział, myśląc, że nie byłby chyba w stanie zasnąć w pomieszczeniu mniejszym niż hala sportowa.

- Nic pana nie obudziło?

- Śpię wyjątkowo twardo.

Nie uznał również za stosowne wyjaśnić, że sen jest indukowany farmaceutykami. Jakie to miało znaczenie? Spał. Po prostu spał. Mocno.

- Sugeruje pan, że ktoś je wrzucił do wody z nabrzeża? - zapytał policjanta.

Przeworski obejrzał się w kierunku wąskiej, wyłożonej betonowymi płytami drogi, która prowadziła tu od ulicy Stołczyńskiej.

- Mało uczęszczana okolica, nie ma domów... - Wzruszył ramionami. - Ale równie dobrze ciało mogło tu przyplłynąć od strony Odry.

- Wątpię.

- Dlaczego?

- To ślepy i płytki kanał. Woda tu stoi, nie ma nurtu. Mogło zostać zrzucone z łodzi, ale wtedy musiałyby tu wpłynąć na silniku. Nie sądzę, żeby ktoś, kto chce się pozbyć ciała w środku nocy, ryzykował taki numer. Tu się raczej nie pływa w nocy. Strzał też byłoby słychać... - Wskazał oczami otwór w czole kobiety.

Przeworski milczał, wpatrując się w to samo miejsce. Vogel uznał, że już wystarczy.

- Nie znam jej - stwierdził autorytatywnie, wracając do początku i jednocześnie ucinając wszelkie dalsze dywagacje na ten temat.

Zdał sobie nagle sprawę, dlaczego policjant poprosił go o obejrzenie ciała, choć nie było w tym krzty sensu, a to, że pływało akurat przy jego łodzi, było czystym przypadkiem i on to musiał wiedzieć. Stygmatyzacja. Z jednej strony mógł to zrozumieć, a przynajmniej postarać się, jednak z drugiej, to on był naznaczony tym piętnem, które tylko w teorii ścierało się po dziesięciu latach. W rzeczywistości, o czym świadczyła cała sytuacja, stygmat zostawał na całe życie. I nic nie mógł z tym zrobić.

Nie patrząc na Przeworskiego, zacisnął pięści i z pochyloną głową wycedził mocno i dobitnie:

- Wyrok jest już zatarty. W świetle prawa jestem osobą niekaraną.

Policjantowi chwilę zajęło zrozumienie, do czego pije, co postawiło go w oczach Vogla w nieco lepszym świetle.

- Wiem - odparł spokojnie. - Tak się składa, że trochę znam się na przepisach.

- Więc po co to wszystko?

- Widzi pan: ja się znam na przepisach, ale pan nie ma pojęcia o policyjnej robocie. Może pan sobie myśleć, co chce, ale skoro pana o to poprosiłem... - Wskazał ciało dziewczyny. - To znaczy, że miałem w tym jakiś cel. I niekoniecznie było nim pogwałcenie pana. Mamy to wyjaśnione?

Vogel spojrział na niego bez słowa. Nie pokiwał głową, nie odezwał się, nie zrobił nic, co można by uznać za jakąkolwiek odpowiedź.

- Dobra. - Przeworski westchnął. - Powiem inaczej, wprost. Ja wierzę w przypadki i zbiegi okoliczności, rozumie pan? Jak najbardziej. Tylko czasem trzeba się zastanowić, czy to faktycznie przypadek, i na tym między innymi polega moja profesja. Niech pan się postara być choć odrobinę obiektywny, wtedy sam pan przyzna, że sytuacja jest dziwna. I nie chodzi o to, co pan zrobił kiedyś, za co odsiedział swoje. To zamknięty rozdział. Chodzi o to, że w ciągu kilku lat w pańskim bezpośrednim otoczeniu dwukrotnie ujawnia się zwłoki, w dodatku są to ofiary zabójstw. Co by pan zrobił na moim miejscu?

- To samo - przyznał Vogel po chwili milczenia, choć powiedział to takim tonem, jakby mówił: „a jednak”.

- Dziękuję. Widzę, że rozmawiam z rozsądnym człowiekiem. No i jednak był to dobry pomysł, bo pomógł mi pan wyjaśnić kilka kwestii.

- Wskazał kanał. - Za to też dzięki.

Przez chwilę obaj wpatrywali się w twarz dziewczyny i w otwór po pocisku.

- Będę jeszcze potrzebny? - zapytał Vogel.

Było mu trochę niedobrze. Nie z powodu widoku, tylko z głodu i ze zdenerwowania. W więzieniu widywał gorsze rzeczy, a może raczej takie, które ryły psychikę o wiele mocniej niż widok ludzkich zwłok. Martwy człowiek nie czuje już niczego, a tam, owszem, czuje się wszystko, bardzo boleśnie i bardzo długo.

- Nie. - Policjant pokręcił głową. - A przynajmniej nie teraz.

- Znów mi pan powie, że mam nigdzie nie wyjeżdżać?

- A planuje pan?

- Szczerze mówiąc, tak. Za jakiś czas. Za tydzień, może dwa.

- W porządku.

- Więc powie mi pan to, czy nie?

- Nie. - Przeworski spojrzał na niego poważnie. - Nie powiem. Do widzenia, panie Vogel. Życzę powodzenia.

Odebrał to jako jasny sygnał i ruszył w kierunku „Worśy”, widząc kątem oka, że policjant również idzie w swoją stronę. Po chwili przystanął i obejrzał się przez ramię.

- Kto zabił Helene? - zapytał cicho.

Przeworski odwrócił się i spojrzał na niego przeciągle.

- Nie pan - odparł po chwili.

- To wiem - prychnął Vogel w odpowiedzi. - Ale złapaliście go?

- Tak.

Odetchnął. Naprawdę głęboko.

- Dostał dożywocie, o ile dobrze pamiętam, z możliwością ubiegania się o przedterminowe zwolnienie po dwudziestu latach - wyjaśnił policjant, dodając: - Jeśli to pana choć trochę pocieszy.

Opuścił głowę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Było mu tylko smutno.

Przeworski na szczęście uznał, że żadna odpowiedź nie jest mu potrzebna i znów ruszył przed siebie, w kierunku samochodów. Vogel odprowadził go spojrzeniem, ale myślami był już zupełnie gdzie indziej, zarówno w czasie, jak i przestrzeni.

Jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd i ładnych kilka lat temu.

# HELENE

- Dlaczego chcesz tę pracę?

Ładna, niemłoda blondynka o ciemnych oczach przyglądała mu się z zaciekawieniem. Nazywała się Helene von Zussow, prowadziła w Berlinie sporą firmę budowlaną i deweloperską. Kolega, który pracował na jednej z jej budow, naraił mu tę robotę.

Siedzieli naprzeciw siebie w jej biurze na berlińskim Kreuzbergu. Wtedy jeszcze potrzebował pieniędzy.

- Bo mam prawo jazdy, umiem świetnie prowadzić, znam się trochę na samochodach i mechanice - odparł. - Poza tym jestem dyspozycyjny, kulturalny i aktualnie nie mam nic lepszego do roboty.

- Jesteś też trochę bezczelny - zauważyła, ale na jej twarzy błędził ledwo widoczny uśmiech.

- Możliwe - przyznał krótko.

Nie zależało mu na tej pracy aż tak bardzo. W McDonaldzie też szukali zawsze ludzi, a on nie był za bardzo wybredny i miał niewielkie potrzeby.

- I bardzo ładnie zbudowany. - Omiotła wzrokiem jego ramiona i klatkę piersiową, opiętą czarną koszulą.

- Możliwe - powtórzył.

- Umiesz się bić?

Poczuł, jak blednie.

- Umiem. - Zrobił wszystko, żeby odpowiedź zabrzmiała naturalnie.

- Coś nie tak? - Zmarszczyła ładnie wytatuowane brwi.

- Nie, wszystko w porządku. - Skrzywił się lekko. - Poradzę sobie, jakby co, choć nie wiem, czego pani będzie ode mnie wymagać.

Myślałem, że chodzi o szoferowanie?

- Tak tylko pytam. - Brwi wróciły na swoje miejsce. - Nie jesteś Niemcem, prawda? - Zaskoczyła go kolejnym pytaniem.

- To słyhać?

- Ja słyszę.

- Jestem Niemcem - odparł z naciskiem, zresztą zgodnie z prawdą. - W połowie, a od jakiegoś czasu z obywatelstwem.

- A ta druga połowa?

- Polak.

- Hmm...

- Coś nie tak? - Przeszedł do ataku.

- Nie. - Roześmiała się szczerze. - Ja też jestem trochę takim mieszańcem. Mój ojciec był, wyobraź sobie, polskim Żydem, matka Holenderką. A twój? Które było kim?

- Ojciec był Polakiem, mama urodziła się w NRD.

- To dlatego dostałeś obywatelstwo... Kim jest ojciec?

- Skurwysynem.

- Dobrze, nie pytam już o dalsze szczegóły. - Roześmiała się trochę z przymusem. - Ale się nastroszyłeś... Heini. Mogę się tak do ciebie zwracać?

- A zamierza pani?

- Tak. - Poprawiła włosy, zakładając ich kosmyk za ucho. - Przekonałeś mnie do siebie.

- Czym? - zapytał zaskoczony.

- Bo jesteś sobą, a to bardzo w ludziach lubię.

- Nie rozumiem...

- Nie szkodzi. - Skwitowała to wzruszeniem ramion i spojrzała na niego z ukosa. - Chcesz tę robotę?

- Dlaczego nie chce pani sama prowadzić swojego auta?

- Potrafiłam kiedyś człowieka, a kiedy wysiadłam, żeby zobaczyć, czy nic mu nie jest, rzucił się na mnie z pięściami - mruknięła,



odwracając na chwilę głowę. – Mój były, a wtedy jeszcze aktualny mąż nic nie zrobił, a przynajmniej nie w tamtej chwili. Więc jak?

– Biorę. – Wyszczrzył się do niej, a w jej ciemnych oczach coś błysnęło.

Poszli do łóżka kilka tygodni po tym, jak został szoferem Helene von Zussow. Wiedział, że dojdzie do tego prędzej czy później i nie miał nic przeciwko temu. Helene była rozwiedziona, sympatyczna, okazało się, że mimo prawie sześćdziesięciu lat ma zgrabne i zadbane ciało. Chłopaki spod celi oddaliby duszę diabłu za jedną noc z nią, nawet za dziesięć minut, więc nie wybrzydzał, tylko korzystał. Układ był prosty: łóżko i nic poza tym. W pracy, nawet kiedy byli w samochodzie sami, wciąż zwracał się do niej „proszę pani”. Ten pierwszy raz był spontaniczny; nudny wieczór w hotelu w Hamburgu zmienił się w gorącą noc, z obopólną satysfakcją. Kiedy rano zsunęła z niego kołdrę i usiadła nago okrakiem na jego pośladkach jak na koniu, z jej ust wyrwał się krótki okrzyk. Nie widziała dotąd jego ciała, bo wcześniej wszystko rozegrało się w ciemności, jakby wstydziała się go trochę. Teraz przez okno wpadało światło poranka, on leżał na brzuchu, nagi, z rękami pod głową.

– Chryste... Co to jest? – zawołała.

Poprawiła się na nim, poczuł na dole pleców jej wilgoć, a na łopatkę dotyk palca.

– Nie widzisz? – mruknął rozespany. – Tatuaż.

– Jest... Piękny. Przerazający i piękny. Dlaczego akurat to?

– Od nazwiska. – Wspomnienia znów zalały falą jego umysł, więc skoncentrował się, żeby odsunąć je jak najdalej.

– Przecież nazywasz się „ptak”?

– Zmieniłem je.

– Z jakiego powodu?

– To długa historia.

– Mamy jeszcze trochę czasu.

– Ale ja nie chcę jej opowiadać.

– Hmm, mój drogi Heini... Pobawmy się zatem w detektywa. – Poglądziła ostrożnie tatuaż, a potem przesunęła po nim paznokciem. – To wspinała robota, znać mistrzowską rękę, ale barwa przypomina raczej...

– Możemy pobawić się w coś innego? – przerwał jej, odwracając się gwałtownie na bok i zrzucając ją na materac obok siebie.

Pisnęła zaskoczona, a potem się roześmiała. Położył się na niej dolną połową ciała i kręcąc biodrami, wpasował się między jej uda. Objęła go nimi, kładąc stopy na pośladkach, a dłonie na barkach. Jego ramiona były wyprostowane.

– Byłeś w więzieniu, prawda? – zapytała, patrząc mu w oczy i poprawiając poduszkę.

Mógł uniknąć jej wzroku, odwracając głowę, ale nie zrobił tego.

– Czy to ważne? – odpowiedział pytaniem.

– Tak. – Jej stopy mocniej nacisnęły na jego pośladki. – Chcę to wiedzieć, Heini.

– Zwolnisz mnie? – Poczuł, jak jego męskość tężeje.

– Za co siedziałeś?

– Nie dostałaś jeszcze odpowiedzi na pierwsze pytanie.

– Za co?

– Za to, że stanąłem w czyjejs obronie, a potem wszystko wymknęło się spod kontroli.

– Mówisz prawdę? – Wciąż patrzyła mu w twarz, przenosząc wzrok z jednego jej miejsca na drugie, aż w końcu wróciła spojrzeniem do jego oczu.

– Tak. – Słyszał w swoim głosie pewność i wiedział, że Helene mu uwierzyła.

– Długo?

– Pięć lat.

– Długo... – Westchnęła i zażądała: – Wejdz we mnie. Teraz.

- Wiem, o co ci chodzi, ale wyszedłem na wolność już dość dawno temu. - Roześmiał się cicho, ale jej twarz była poważna.

- Wejdz we mnie, Heini - powtórzyła.

Zrobił to. Był już gotowy, więc wszedł w nią i zaczął się rytmicznie poruszać, patrząc, jak Helene zamyka oczy i poddaje się temu rytmowi. Przyciągnęła go do siebie. Czuł na klatce jej twarde, wypełnione implantami piersi i jej gorący oddech na swoim uchu. Wplotła mu palce we włosy i przyciągnęła za głowę jeszcze mocniej. Spóźnili się wtedy na spotkanie z jakimś ważnym prezesem.

Niecałe półtora roku później jakiś skurwiel odebrał Helene von Zussow życie. A on był wtedy z nią, w tym samym hotelu, jedno cholerne piętro niżej.

Spał, kiedy to się działo.

Po prostu, kurwa, spał.

# MECENAS

Vogel zrobił zakupy, które ledwie zmieściły się w kufrze vespy. Kupił najpotrzebniejsze rzeczy, które miały mu wystarczyć na podróż do Berlina. Obliczał ją na jakieś trzy dni, na spokojnie. Upał dawał się we znaki jak cholera, więc większość czasu spędzał na wodzie albo w cieniu tentu, czytając książki. Właśnie podnosił z brzegu przykrytą już plandeką vespę, podczepioną do niewielkich żurawi zainstalowanych na rufie, kiedy zadzwonił telefon.

Tylko dwie osoby znały jego numer. Jedna nie żyła, to jej imię nosiła łódź. Z drugą chciał mieć jak najmniej wspólnego, ale skoro ta osoba się z nim kontaktowała, musiało się coś stać. Coś poważnego, inaczej ten człowiek nie dzwoniłby teraz.

– Dzień dobry, panie mecenasie – rzucił obojętnie do telefonu.

– Dzień dobry, Henryk. Wiesz oczywiście, w jakiej sprawie dzwonię.

– To nie było pytanie, jak gdyby Popławski był pewien swojego.

– Nie wiem, ale się domyślam.

Przez chwilę w telefonie panowała cisza.

– Jak to... To ty nie wiesz? Dlatego nie dzwoniłeś...

– Niech mi pan po prostu powie, nie przedłużajmy, podejrzewam, że chodzi o ojca, prawda? – Westchnął, opierając się o jeden z żurawików.

– On nie żyje.

Zacisnął palce na komórce. Nie czuł nic, tylko pustkę. Ani żalu, ani szczęścia, po prostu niczego. Ta wiadomość obeszła go tyle, co zeszłoroczny śnieg.

– Jak umarł? – Pomyślał, że może powinien o to zapytać, choć to też go nie interesowało.

- Naprawdę nie słyszałeś? Aż nie mogę uwierzyć. Trąbią o tym wszędzie.

- Nie czytam gazet, nie słucham radia, nie oglądam wiadomości ani nie sprawdzam ich w internecie. Więc jak? - Nie postarał się, żeby wykrzesać w głosie choć odrobinę zainteresowania.

- Zginął w katastrofie swojego śmigłowca. Tydzień temu.

Wciąż wpatrywał się w bagażnik vespy, choć go nie widział.

- Dziękuję za informację - powiedział w końcu.

- Musielibyśmy się spotkać, Henryk.

- To konieczne?

- Raczej tak. Nie wiem, gdzie teraz jesteś, ale gdybyś był w pobliżu jakoś niedługo i przy okazji mógł do mnie wpaść, do kancelarii, to byłbym ci wdzięczny.

- Jestem w Szczecinie, panie mecenasie.

Mógł tego nie mówić. Mógł powiedzieć, że jest w Niemczech, mógł nawet nie odbierać tego cholernego telefonu. Ale odebrał. I powiedział, gdzie jest.

- O! - W głosie Popławskiego było słycać zaskoczenie. - To jak będzie? Wpadniesz?

Zapatrzył się na wodę i myślał, co zrobić.

- Dobrze, podjadę do pana. - Zdecydował w końcu. - Będę w ciągu godziny.

- Świetnie, Henryk, bardzo się cieszę. Do zobaczenia. Pamiętasz, gdzie urzęduję?

- Pamiętam. Do zobaczenia - mruknął, rozłączył się, schował telefon do kieszeni bermudów i zaczął zdejmować plandekę z vespy.

Kancelaria Popławskiego mieściła się na parterze dużej kamienicy w alei Jana Pawła II. Kiedy tam zajechał, spostrzegł, że elewacja budynku jest odnowiona, a przed nim znajduje się obsadzony hortensjami przedogródek, chroniony niskim ogrodzeniem. Zaparkował vespę na chodniku w pobliżu wejścia do bramy, choć do

kancelarii wchodziło się z ulicy. Minął furtkę wstawioną pomiędzy przęsła ogrodzenia, wszedł po paru stopniach, otworzył ciężkie drzwi i po chwili znalazł się w holu zajmującym cały ryzalit parteru. Ogromne okna zasłonięte do połowy stylowymi, drewnianymi żaluzjami wpuszczały zaskakująco mało światła dziennego, w środku panował lekki półmrok, rozpraszany dyskretnym oświetleniem niewielkich lampek pod sufitem.

- Dzień dobry, do mecenasa Popławskiego, jestem umówiony - rzucił do dziewczyny za kontuarem, w skupieniu pracującej na laptopie.

Uniosła głowę znad klawiatury.

- Proszę, pan mecenas czeka. - Wskazała jedno z drzwi, więc nie tracąc czasu, ruszył w ich kierunku.

Prowadziły bezpośrednio do gabinetu Popławskiego. Kiedy tam wszedł, zobaczył go siedzącego za biurkiem, czytającego jakieś dokumenty. Chrząknął cicho i mecenas oderwał się od pracy. Widząc go w drzwiach, odsunął papiery i wstał.

Vogel patrzył na niego z mieszanymi uczuciami. Ostatni raz widział go na pogrzebie matki, od tamtej pory niewiele się zmienił, choć on pamiętał go najbardziej z sądu. Obaj mieli wtedy po dwadzieścia lat mniej, Popławski był szpakowatym, niskim mężczyzną z niewielkim wąsikiem pod bulwiastym nosem, zawsze eleganckim. Teraz był starszym panem, siwym jak gołąbek, z niewielkim brzuszkiem, choć wciąż nosił się z nienaganną elegancją. Zniknął tylko wąsik, a na nosie pojawiły się okulary.

- Przykro mi - powiedział mecenas Popławski, z zakłopotaniem rozkładając ręce, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić w takiej chwili.

- Niepotrzebnie. - Vogel zamknął za sobą drzwi i skrzywił usta, przyglądając mu się. - Mi nie jest w ogóle przykro, więc ten temat uznajmy za zamknięty.

- Jak sobie życzysz - mruknął mecenas. - Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Załatwmy to jak najszybciej.

– Jasne, usiądź, proszę. – Wyszedł zza biurka i odsunął stojący po stronie Vogla fotel pokryty jasną skórą, z wysokim oparciem i regulowanym zagłówkiem.

Vogel zajął wskazane miejsce i złożył ręce na brzuchu, a mecenas wrócił za biurko i zasiadł za nim, moszcząc się w swoim fotelu.

– Jak sobie radzisz? – Uśmiechnął się i lekko przekrzywił głowę; zmarszczki na twarzy pogłębiły się.

Vogel roześmiał się. Naprawdę się roześmiał, szczerze, bo to niespodziewane pytanie wydało mu się niesłychanie zabawne, choć sam nie wiedział dlaczego. Po prostu go rozbawiło.

– Naprawdę musimy o tym rozmawiać? – zapytał, poważniejąc.

Popławski przez chwilę zrobił minę, jakby zrobiło mu się przykro, ale już sekundę później na jego twarzy znów zagościł profesjonalny chłód.

– Dobrze, nie wracajmy do tego, co było.

Vogel pochylił się w jego stronę.

– Właśnie to robię, panie mecenasie, każdego pieprzonego dnia: usiłuję nie wracać do tego, co było.

Powiedział to poufałym tonem, bez emfazy i wyrzutu. Po prostu poinformował mecenasa o tym.

– Jasne, w takim razie przejdźmy do interesów.

Vogel pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie będzie żadnych interesów. Wiem, co pan chce mi powiedzieć, ale oświadczam, że nie interesuje mnie jego majątek. Zamierzam zrzec się spadku, nie chcę mieć nic wspólnego z jego forszą. Gównu mnie ona obchodzi i w zasadzie przyjechałem do pana tylko po to, żeby panu to powiedzieć. I tylko dlatego, że akurat byłem w Szczecinie. Przykro mi to mówić, ale gdybym był gdzieś dwadzieścia kilometrów dalej, to nawet bym się nie fatygował.

Popławski wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Był twoim ojcem.

- Nie - parsknął. - Nie był. Był tylko kimś, kto mnie spłodził, a nie moim ojcem. Różnica jest, wie pan, dość istotna. Nie życzę nikomu dochodzenia do takich wniosków, ale nie ma się co oszukiwać. Zostawił mnie. Wyrzucił mnie na śmieci. Zrobił to już wcześniej, ale nie byłem tego aż tak świadomy. Huk kłapy od śmietnika usłyszałem dopiero w sądzie.

Mecenas pogładził się kciukiem i palcem wskazującym po górnej wardze, tak, jakby wciąż był na niej wąs. Musiał zgolić go niedawno, skoro wciąż jeszcze miał ten odruch.

- Jestem prawnikiem twojego ojca od ponad trzydziestu lat. Nie chcę, żebyś myślał, że wiem wszystko o jego majątku, o jego firmach i interesach. Tym zajmowała się pewna kancelaria w Warszawie, ja reprezentowałem go raczej, powiedziałbym, lokalnie i w dość niewielkim zakresie, dotyczącym, najogólniej, nieruchomości i umów z kontrahentami. Podejrzewam, że współpracował ze mną z przyzwyczajenia, może z jakiejś lojalności...

- On nie był lojalny względem kogokolwiek, z wyjątkiem siebie - przerwał mu. - I pan to wie.

- Miałem na myśli, że może z powodu tego, że byłem z nim niemal od początku, kiedy tylko zaczął wypływać na szersze wody - ciągnął mecenas niezrażony. - Powiedział mi kiedyś, dawno temu, że przynoszę mu szczęście...

- W szczęście też nie wierzył - przerwał mu ponownie. - Wierzył tylko w siebie, a jeśli ktoś twierdził, że zawdzięcza sukces szczęściu, on uważał, że ten ktoś na sukces nie zasługuje, bo jest po prostu głupi.

- Dobrze, Henryk. - Popławski zaczynał się chyba lekko denerwować. - W każdym razie chodzi o to, że upłynie sporo czasu, zanim wszystko się wyjaśni, i będzie to trochę kosztowało, honorarium dla warszawskiej kancelarii pewnie będzie odpowiednio wysokie.

- Może sobie pan wziąć wszystko. To tyle, jeśli chodzi o mnie.

- To tak nie działa.



- Zdamę sobie sprawę, ale nawet nie będę pytał, jak działa. Nie zamierzam się w to wikłać. Nie zginął przypadkiem, panie mecenasie, jego śmierć jest konsekwencją życia, jakie prowadził, a właściwie interesów.

- Wierzysz w te bzdury o bombie?

- O jakiej bombie?

- Podobno to był zamach bombowy, Henryk, tak twierdzą pismaki. Ale oni zrobią wszystko, żeby podbić klikalność i sprzedaż.

- A pan wierzy, że on grał czysto?

Popławski odepchnął się od biurka i uderzył lekko plecami w oparcie fotela.

- Nie wiem. Nie będę zgadywał ani domniemywał. Nie mam takiej wiedzy, bo jak powiedziałem, nie zajmowałem się jego interesami.

- Tak, wiem, jest pan prawnikiem i będzie pan mówił jak prawnik. - Podjechał fotelem do biurka mecenasa i oparł się o nie łokciami. - Pan dobrze wie, jakim człowiekiem był. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł kierować którąkolwiek z jego spółek, firm czy jak to się nazywa, bo po pierwsze, w ogóle się na tym nie znam, po drugie, w ogóle mnie to nie interesuje, a po trzecie, brzydzę się wszystkim, czego dotyczył i co stworzył. Wszystkim, z wyjątkiem siebie. Dziękuję za spotkanie, panie mecenasie. Jestem do dyspozycji, ale tylko w wyjątkowo ważnych sprawach. Niedługo wyjeżdżam, jeszcze nie wiem gdzie i na jak długo. Proszę pana, żeby zajął pan się wszystkim w niezbędnym zakresie. Moje stanowisko pan zna. - Odsunął się z krzesłem i wstał z niego.

Patrzył z góry na Popławskiego. Mecenas był lekko stropiony. Vogel zagryzł lekko wargę i spojrzął w okno, wychodzące na podwórze.

- Nigdy panu nie podziękowałem... - powiedział nagle cicho.

- Robiłem, co mogłem, Henryk.

Zajął mu chwilę, zanim zrozumiał, co Popławski miał na myśli. Chciał do tego nawiązać, ale uznał, że to nie ma sensu. Nie tu i nie dziś. A może nawet nigdy.

– Nie o tym mówię – mruknął. – Chodzi mi o mamę.

Mecenas uśmiechnął się z zakłopotaniem i opuścił głowę, milcząc.

– Dziękuję, że przekonał pan ojca, żeby coś jej zostawił, poza niezbędnymi wspomnieniami z małżeństwa.

Popławski spojrział na niego, miał lekko zamglony wzrok.

– Ich rozwód mnie również kosztował trochę emocji – powiedział. – Nie jest łatwo kibicować którejkolwiek ze stron, kiedy zna się obie. Staralem się być mediatorem, a nie prawnikiem jako takim.

– Rozwód, do którego na szczęście pan przyłożył rękę, był tylko zakończeniem jej gehenny. Nie mogła skończyć się lepiej i pozostaje tylko żałować, że tak późno. Te kilka ostatnich lat życia spędziła szczęśliwa i wreszcie wolna, i za to jestem panu wdzięczny. Za doradzanie jej w kwestiach finansowych również. I nie mówię tego przez przyzmat spadku, dzięki któremu jestem ustawiony...

– Należało ci się, Henryk – przerwał mu Popławski gwałtownie, mówiąc to mocnym, zdecydowanym głosem. – Jak nikomu innemu. – Roześmiał się nagle. – Wiesz, że potrafiła zadzwonić o dwudziestej trzeciej, żeby zapytać, co sądzę o jakiejś spółce, która wydawała się jej atrakcyjna i dobrze rokująca? Dostała mały kapitał, ale potrafiła go pomnożyć. Myślę, że znalazła w tym jakąś przyjemność, wiesz? I nie robiła tego tylko dla siebie. Szkoda, że zniknąłeś na parę lat po... Po wyjściu na wolność.

– Odzywałem się do niej przecież... – W jego głosie pojawiła się niebezpieczna miękkość.

– Wiem. Ale ona robiła to przede wszystkim dla ciebie, nie dla siebie. Czy może raczej z myślą o tobie.

Vogel westchnął głęboko. Chciał jeszcze na chwilę usiąść, ale zamiast tego tylko chwycił oparcie krzesła, jakby musiał się go przytrzymać. Obróciło się lekko, a on machinalnie powtórzył ruch, już świadomie, kręcąc nim w prawo i lewo.

– Tylko widzi pan... Ja... Ja nie mogłem tu wrócić. Nie byłem gotowy. Zatrulbym ją, jak on. Nie mogłem żyć w miejscu, w którym... Z którym

więzały się wspomnienia, złe wspomnienia. A ona z kolei nie chciała wyjeżdżać, bo już była stąd, a nie stamtąd.

Zatrzymał krzesło i zdjął rękę z oparcia. Mecenas odebrał to jako jednoznaczny sygnał.

– Dam znać, co i jak – obiecał, wstając ze swojego miejsca. – Gdybyś był w pobliżu, jesteś tu zawsze mile widziany.

Vogel uśmiechnął się lekko i pokiwał głową. Wyciągnął do mecenasa rękę, tamten zrobił to samo i uściśnęli je sobie mocno, po męsku. Rozejrzał się jeszcze po gabinecie i ruszył w kierunku drzwi.

– Henryk... – Zatrzymał go nagle słaby głos Popławskiego.

– Tak? – Przystanął i obejrzał się na mecenasa.

– Naprawdę robiłem wtedy, co mogłem, wiesz?

Znów pokiwał głową.

– Wierzysz mi?

– Tak – odparł bez zastanowienia.

Popławski patrzył na niego, jakby się zastanawiał, czy on z kolei może wierzyć jemu.

– Cieszę się, że nie jesteś taki jak on – powiedział w końcu. – I że więzienie cię nie zniszczyło, jak wielu innych.

– Ja też się cieszę, panie mecenasie. Gdyby Bóg istniał, podziękowałbym Mu za to serdecznie.

Wyszedł na ulicę, myśląc o tym, co powiedział mu mecenas na odchodnym. Popławski miał rację tylko częściowo: faktycznie nie był taki jak ojciec. Mylił się za to w tej drugiej kwestii.

Bardzo.

Usiadł na siedzisku vespy i zanim odpalił silnik, wyciągnął telefon, wszedł w internet i sprawdził informacje o katastrofie, w której zginął jego ojciec. Typowy bełkot mający sprawić wrażenie, że dziennikarze są dobrze poinformowani, a tak naprawdę wiedzieli niewiele, albo nawet nic. Pewne było tylko miejsce rozbicia się helikoptera, leżące w pobliżu jakiejś niewielkiej miejscowości w Meklemburgii niedaleko granicy

z Polską, oraz to, że życie stracił w niej pilot, który był jego ojcem. Reszta była domysłami, jak informacja o bombie, hipotezami i wypełniaczami. Obejrzał zdjęcie zwęglonych i poskręcanych szczątków śmigłowca. Obok było drugie, które przedstawiało maszynę jeszcze w całości. Pysk wilka na greckim hoplonie rzucał z burty czarnego robinsona R44 wrogie spojrzenie. To było logo największej z firm ojca, agencji ochrony, od której zaczynał. Wyzywająca nazwa i równocześnie jej motto: „Molon Labe” świadczyły o jego charakterze. Przywłaszczył sobie słynne zawołanie Spartan, mieszając z błotem jego wydzźwięk i kalając pamięć bohaterów, ale ojca to nie obchodziło, zapewne nie zdawał sobie nawet z tego sprawy. Buta i pycha, jakie prezentował na zewnątrz, nie były tylko na pokaz i nie stanowiły elementu wizerunku firmy prowadzonej przez silnego człowieka. Były składowymi jego charakteru. On nie krzyczał, jak kiedyś Leonidas do Kserksesa „przyjdź i weź”. On po prostu przychodził i brał, co chciał, a sukces i bogactwo, które zdobył, w jego własnym przekonaniu sankcjonowały w coraz większym stopniu agresywny sposób prowadzenia interesów oraz brutalne często decyzje biznesowe.

Tak było kiedyś, ale Vogel nie sądził, żeby to się zmieniło. Spojrzał ostatni raz na poczerniały wrak, potem schował telefon do kieszeni i pojechał do siebie.

## KOMISARZ BANACH

– Dzień dobry, czy pan Heinrich Vogel?

Słyszac to pytanie, Vogel poczul, jak znów lekko tężęją mu mięśnie ud. Wyprostował się i odwrócił w stronę brzegu, skąd dochodził głos. Na kei stała jakaś kobieta, ręce opierała na biodrach, ubrana była w luźny, szary T-shirt i ciemnoszare, obcisłe dżinsy. Na stopach miała buty, a w zasadzie buciory, które on założyłby dopiero w listopadzie. Na oko była trochę młodsza od niego, miała krótkie włosy spięte z tyłu gumką, ciemne okulary zasłaniały oczy i niemal połowę twarzy, dlatego dość ostrożnie szacował jej wiek, choć widział, że nie jest nastolatką.

– Słucham – burknął nieprzyjemnym tonem, mając nadzieję, że się odzepi.

Nadzieja była płonna, ale podobno zawsze warto próbować.

– Komisarz Iwona Banach, Centralne Biuro Śledcze Policji w Szczecinie. Można? – Wskazała wzrokiem łódź.

Sięgnął po butelkę z wodą, wpatrując się w kobietę, powoli odkręcił zakrętkę i wziął spory łyk. Zbliżał się wieczór, ale słońce wciąż mocno grzało. Ciepły, nagrzwany jego promieniami płyn smakował plastikiem i drapał w przelyk.

– Zapraszam – rzucił w jej stronę, zakręcając butelkę.

Nie kazał jej zdejmować butów, pomny sytuacji z Przeworskim. Policjantka przeszła z kei na łódź i przez chwilę łapała równowagę, szeroko rozkładając ramiona. „Worśa” była spora i nie rozbijała się zbyt mocno, jednak dla kogoś, kto nie pływał, było to raczej niekomfortowe uczucie. Banach zeskoczyła z rufy na pokład, a Vogel zszedł do niej i stanął przed nią. Byli dość blisko, ten pokład nie był obszerny, więc cofnął się lekko w stronę wejścia do mesy.

- Przychodzę w sprawie denatki znalezionej w sąsiedztwie pana łodzi. - Policjantka rozejrzała się dookoła, a potem wróciła spojrzeniem do jego twarzy, przekrzywiając lekko głowę. - Bałam się, że pana nie zastanę. Że pan gdzieś już popłynął.

- Powoli się szykuję - przyznał. - Niewykluczone, że widzimy się ostatni raz.

Na twarzy policjantki wykwitł uśmiech, bardzo słaby, już więcej go było w jej oczach. Sięgnęła do tylnej kieszeni i wyciągnęła z niej legitymację, a potem podstawiła mu ją niemal pod sam nos.

- No, to formalności mamy za sobą - stwierdziła wesoło, chowając ją w to samo miejsce, i zapytała: - Mieszka pan tu?

- Tak.

- Sam?

Potwierdził ruchem głowy. Ciągłe dawał policjantce sygnały, także niewerbalne, że nie jest tu mile widziana. Wyglądało na to, że ich nie zauważa albo się nimi nie przejmuje.

- Henryk... - Obrzuciła spojrzeniem jego twarz i tors. - Nietypowe imię jak na czterdziestokilkulatka.

- To po dziadku. Poza tym mam na imię Heinrich.

- Imienia pan nie zmienił?

Milczał przez chwilę. Mógł się spodziewać, że ten cholerny Przeworski uświadomi swoich kolegów.

- Nie - odparł w końcu beznamiętnie.

Sam się czasem zastanawiał, dlaczego tylko zniemczył swoje imię, a nie pozbył się całkowicie, skoro go tak nienawidził. Może z szacunku dla dziadka. Ojciec jego matki w przeciwieństwie do drugiego dziadka kojarzył mu się bardzo dobrze. Miły starszy pan, z zabawnym akcentem i wielkimi, siwymi wąsiskami, wakacje w Cottbus, wypady do Szwajcarii czesko-saksońskiej, dobre, enerdowskie słodczyce i atmosfera starego domu z tradycjami. Do dziś znał Ojczy nasz, choć w kościele ostatni raz był za dzieciaka. Pamiętał też kilkanaście innych słów po lużycku.

- A skoro już jesteśmy przy imionach... Worša?

- Skąd pani wie, że to imię?

- Domyśliłam się. W końcu to łódź, prawda?

- Tak, to imię – przyznał Vogel po krótkiej chwili wahania.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Łużyckie.

- Ma jakiś polski odpowiednik?

- Urszula.

- Kim była? – zapytała Banach.

- Czy to ważne? – Vogel wzruszył ramionami. – To prostu imię, jak każde inne. Ładne.

Zerknął odruchowo w kierunku łodzi sąsiada Pawła: „Niko” pochodziło od imienia jego wnuka.

- Słyszałam, że jeśli ktoś nadaje łodzi imię kobiety, to ta kobieta musi dla niego bardzo dużo znaczyć.

- To moja matka. – Skapitulował. – Była Serbołużyczką, miała na imię Ursula, po łużycku Worša.

- Była?

- Zmarła kilka lat temu. – Vogel spojrzał na policjantkę lekko zniechęcony. – Czy te pytania mają coś wspólnego z tym, po co tu pani przyszła?

- Nie, to tylko ciekawość. Nie zawodowa: po prostu ciekawość. Czemu pan tak na mnie patrzy?

- Zastanawiam się.

Patrzył na nią twardo, zdecydowany na przejście do ataku, który był najlepszą obroną.

- Nad czym? – zapytała niezrażona.

- Nad kilkoma rzeczami. Na przykład właśnie nad tym, po co te pytania o imiona, które niczego nie wnoszą do sprawy. Potem nad tym, ile razy jeszcze tu przyjdziecie, żeby zakłócić mój spokój. Ale chyba najbardziej zastanawia mnie inna rzecz.

- Jaka?

- Za każdym razem przychodzi ktoś inny. Macie za dużo ludzi?

Banach patrzyła na niego zagadkowo.

- Byliśmy tu dopiero dwa razy, spokojnie. Ale już panu wyjaśniam, dlaczego wizyta się powtórzyła i dlaczego przyszedł ktoś inny. Jestem funkcjonariuszką Centralnego Biura Śledczego Policji.

- Pamiętam, mówiła mi to pani kilka minut temu.

Nie wyglądała, jakby szpila ją zaboląła.

- Poprzednio rozmawiał pan z funkcjonariuszami komendy miejskiej.

- Ta sprawa to jakiś gorący kartofel? Przerzucacie ją sobie, jak leci?

Banach spojrzała na niego zagadkowo.

- A to nawet ciekawe, że pan tak to określił. - Uniosła na chwilę brwi.

Pomyślał, że musi być bardziej ostrożny. Nie wiedział, o co jej chodzi, ale nieświadomie dotknął jakiejś czulej struny.

- Co w tym ciekawego? - Wzruszył ramionami.

- Można powiedzieć, że coś w tym jest.

- Co takiego? - Mięśnie ud napięły mu się lekko.

Nie było jeszcze powodu do paniki, ale coś się kroilo. Czuł to. Widział to w jej oczach i postawie. Odczytywanie mowy ciała i oczu było w Goleniowie bardzo przydatną umiejętnością.

- Sprawa zabójstwa tej kobiety została przekazana do CBŚP, ponieważ łączy się z pewnym prowadzonym przez nas postępowaniem.

- Ma to coś wspólnego ze mną? - zapytał zimno.

- Właśnie próbuję to ustalić.

- Jestem o coś...

- Nie. - Nie dała mu dokończyć. - Zaraz panu wszystko wyjaśnię, ale zacznijmy od początku.

- Słucham.

- Pan prawdopodobnie znał denatkę.



Nogi się pod nim ugięły, ale ustał.

– Proszę? – Prychnął bezwiednie.

– Nazywała się Monika Matysiak.

Roześmiał się z ulgą i pokręcił głową.

– Przykro mi, pudło, nie kojarzę nikogo o takim nazwisku.

– Od wielu lat była asystentką pańskiego ojca...

Vogel zamknął oczy i poczuł, jak zapada się w jakąś otchłań. W głowie zabrzmiało mu echo słów Przeworskiego; tych o ofiarach zabójstw znajdowanych w jego pobliżu. Jego myśli natychmiast pobiegły ku tamtemu dniu, w którym bezpowrotnie stracił swoje dawne życie.

## MONIKA

Wszedł pewnie do firmy ojca na piątym piętrze biurowca Pazimu. Jej biura zajmowały połowę kondygnacji.

Zajęcia na uczelni skończyły się wcześniej, więc złapał pociąg do Szczecina i dotarł na miejsce w okolicach pory obiadowej, a ponieważ już od jakiegoś czasu planowali z chłopakami wyjazd do Drezna, przyjechał do centrum odwiedzić starego. Bynajmniej nie z powodu tęsknoty i chęci zobaczenia się z nim. Chciał go po prostu naciągnąć na trochę kasy. Nigdy nie był z nim blisko, zresztą ojca prawie nigdy nie było w domu, bo był zajęty interesami, w dodatku miał wrażenie, a właściwie pewność, że nie spełnia jego oczekiwań jako syn. Zainteresowania Ptasznika juniora były dalekie od tych, które ojciec uważał za przydatne w życiu; wyprawę do muzeum Prado w Barcelonie w zeszłym roku uznał za wybryk i głupotę, i gdyby nie matka, pewnie by tam nie pojechał. Studia na historii sztuki też uznał za głupotę, największą, jaką zrobił w życiu. Tylko karate, które trenował z upodobaniem od dziecka, pokrywało się mniej więcej z oczekiwaniami, jakie prezentował ojciec. Najbardziej chciałby, żeby jego jedyny syn po technikum poszedł do wojska licząc trochę życia prawdziwego mężczyzny, a potem dołączył do firmy, zaczynając od najniższego szczebla ochroniarza w supermarkecie, by skończyć karierę na miejscu ojca, kiedy ten zdecyduje już, że czas oddać mu jej stery.

Minął biurko sekretarki i otworzył kolejne przeszklone drzwi pokryte matową folią. Ojciec stał przy szklanej ścianie wychodzącej na zachód i wpatrzony gdzieś w horyzont ogryzał skórkę na kciuku.

- Hej - powiedział Henryk, zamykając drzwi.

Ojciec odwrócił się, zaskoczony. Nie lubił być zaskakiwany, a syn był jedyną osobą, która odważała się wejść do jego gabinetu bez pukania czy anonsu sekretarki.

- Dzień dobry - odpowiedział sucho, odsuwając dłoń od twarzy i odruchowo wycierając kciuk o marynarkę. - Co się stało?

Nie: „cześć, synu”, tylko „dzień dobry”. Nie: „co słyszc”, tylko: „co się stało”. I tak pewnie wiedział, po co przyszedł.

- Słuchaj, jest sprawa... - zaczął, ale przerwał mu dźwięk stojącego na biurku telefonu.

Ojciec uniósł rękę.

- Poczekaj - powiedział i ruszył do biurka.

Zdjął z bazy słuchawkę, wcisnął przycisk, przyłożył ją do ucha i popatrzył na syna spojrzeniem bez wyrazu, mówiąc:

- Prosiłem cię o coś, prawda?

- Przecież czekam - zdziwił się.

- Poczekaj na zewnątrz. - To nie była prośba, to było polecenie.

Wyszedł z gabinetu, nawet nie kładąc uszu po sobie, tak jakby to było naturalne: i to, co powiedział i w jaki sposób to zrobił ojciec, i to, co potem zrobił on. Kwestia przyzwyczajenia.

Kiedy zamykał dźwiękoszczelne drzwi, przez szparę dobiegło go jeszcze stanowcze: „Słucham!”. Uśmiechnął się do sekretarki i usiadł na kanapie, odchylając głowę do tyłu i zamykając oczy. Rozmowa widać przedłużała się, bo sekretarka wciąż nie dawała znać, że może wejść do środka. Tak właśnie ojciec komunikował się ze światem zewnętrznym, kiedy siedział zamknięty w swoim biurze: przez interkom. Nie tracił czasu na podejście do drzwi, otwarcie ich i wyjrzenie, żeby zaprosić oczekujących osobiście.

Otworzył oczy. Przy kserokopiarce stała jakaś dziewczyna, widział ją od tyłu. Była ubrana w białą bluzkę, ciemną spódniczkę nad kolana, a na plecy spływały jej kaskadami gęste, błyszczące, kasztanowe włosy.

- Hej! - zawołał do niej.

Odwróciła głowę w bok, niepewna, czy to do niej, i kto wołał. Zobaczył zza zasłony włosów, że ma zgrabny, lekko zadarty nos. Po chwili znów zajęła się swoją robotą, maszyna zaczęła wypluwać kolejne kopie jakiegoś pisma.

– Hej! – powtórzył głośniejsze.

Tym razem dziewczyna odwróciła się w jego stronę. Nie była może piękną, ale te włosy robiły robotę: w ich burzy raczej pospolita uroda zyskała na atrakcyjności.

– Hej... – odparła niepewnie, odgarniając je na bok.

– Cześć. – Rozparł się na kanapie, świadomy swojej atrakcyjności, nie tylko fizycznej, ale i tej wynikającej z tego, kim jest.

Czy może raczej: czym synem jest. Nie widział przeszkód, żeby to wykorzystywać, jako jedną z niewielu rzeczy, które dał mu ojciec.

– Pracujesz tu? – zapytał.

– Tak. – Skinęła głową i włosy zafalowały. – To znaczy jestem na stażu.

– Jak ci się podoba?

– Dopiero zaczęłam, więc...

– Rozumiem, kserowanie pism i wysłanie korespondencji nie jest szczytem twoich marzeń. – Wskazał kopiarke.

– Raczej nie. – Zebrała kopie z podajnika i stuknęła ich plikiem o obudowę, żeby złożyły się równo.

– No i synowi właściciela firmy nie wypada odpowiedzieć, że robota jest do dupy.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego kąpiąco.

– Mało wyrefinowane. Przecież wiem, kim jesteś.

Zrobił skruszoną minę.

– Pewnie ze zdjęcia na biurku ojca, co?

Wessała usta, jakby chciała się roześmiać, ale postanowiła, że jednak nie wypada.

– Nie umówiłabyś się ze mną? – Kuł żelazo, póki gorące.

– Co mi możesz zaproponować, czego nie mam?

– Dobrą zabawę, fajne towarzystwo, interesującą rozmowę i to, na co będziesz miała ochotę.

– Czyli?

Zerknął na sekretarkę: siedziała za biurkiem skupiona na swojej pracy, a przynajmniej tak wyglądała, ale wiedział, że nic nie umyka jej uwadze. Ojciec bardzo ją sobie cenił, co było w jego przypadku rzadkością. Nie cenił prawie nikogo, a kobiet w szczególności.

– Wszystko, co nie jest prawnie zakazane, a co sprawia, że dobrze się bawisz. Co ty na to? – Założył ramiona i przyglądał się dziewczynie.

– Przemyślę jeszcze tę propozycję.

– Jak dużo czasu na myślenie potrzebujesz?

Zerknęła na zegar wiszący na ścianie nad wilkiem szczerzącym się z wielkiego logo. Hoplon z wizerunkiem zwierzęcia zajmował niemal całą ścianę, a zegar nad nim wyglądał jak jeden z galileuszowych księżyców przy swojej macierzystej planecie. Albo jakby znalazł się tam przypadkiem.

– Już – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się do niego.

– Jak brzmi odpowiedź?

– Tak – odparła po prostu.

– Super! Jak masz na imię?

– Monika.

– Bardzo mi miło. Ja jestem Henryk.

Ledwie słyszalna przerwa przed imieniem była echem nienawiści, jaką darzył je od dziecka. Odstawało od Michałów, Jacków i Marcinów, których pełne były listy obecności w szkolnych dziennikach, i dopiero kiedy ojciec zrobił karierę w biznesie, przestało być obiektem drwin, choć nigdy nie przestało być powodem wstydu.

– Wiem. – Pochyliła się wyzywająco w jego stronę, jakby miała zaraz pokazać mu język, a jej oczy zaśmiały się. – Z twoich dyplomów za osiągnięcia na ścianie w gabinecie twojego ojca.

Docenił żart, choć biorąc pod uwagę, że słyszała go również sekretarka, nie wróżył Monice długiej kariery w firmie.

– Przyjadę po ciebie o dwudziestej, może być? – zapytał.

– Może. – Przycisnęła plik papierów do piersi.

– Gdzie mieszkasz?

– Bądź na osiedlu Kaliny, przy samie. Będę tam czekać.

– Ostrożna, co? – Uśmiechnął się.

– Zawsze. – Zmrużyła oczy, odwróciła się i wyszła z sekretariatu, a włosy falowały w rytm sprężystych kroków.

Odprowadził ją wzrokiem, ale nie drapieżnym, łakomym i samczym, tylko raczej zainteresowanym. Musiał przyznać, że zrobiła na nim wrażenie swoim refleksem i inteligencją. Spojrzał na drzwi gabinetu ojca, które wciąż były zamknięte, i machnął ręką, wstając z kanapy. Może nie dostał tego, po co tu przyszedł, ale to, co dostał, też go satysfakcjonowało, przynajmniej chwilowo.

Kiedy wychodził, sekretarka pogroziła mu żartobliwie palcem, patrząc na niego spod gęstych, niewydepilowanych brwi. Puścił do niej oko, wysłał całusa i zniknął za drzwiami.

Podjechał po Monikę wieczorem, tak jak obiecał. Wnętrze auta pachniało perfumami i było nieskazitelnie czyste. Lubił to, lubił też szybką jazdę i to była chyba druga rzecz, jaka podobała się jego ojcu. Kiedyś jeździł na gokartach, a kiedy miał czternaście lat, ojciec zabrał go swoim mercedesem gdzieś na szosę, posadził za kierownicą i uczył prowadzić. „Nie jedź jak pizda, to mercedes, a ty nosisz moje nazwisko”, padły słowa, kiedy jadąc czterdzieści na godzinę, próbował zgrać pracę nóg na pedałach z dźwignią zmiany biegów.

Pamiętał je do dziś.

Przyjechał nieco wcześniej, tym samym mercedesem, którym uczył się jeździć. Teraz był jego: auto miało już dwanaście lat, ale na tle kolegów, którzy jeździli rozpadającymi się peugeotami albo nawet maluchami, i tak wypadł niezłe.

Kiedy zobaczył Monikę wyłaniającą się zza sklepu, wyskoczył z auta i otworzył jej drzwi od strony pasażera.

- Dżentelmen. - Roześmiała się, a w jej oczach zobaczył lekkie zdziwienie.

- Zawsze!

Dośłownie kilka minut później zajechali na miejsce, które wybrał; nie zdążyli nawet zacząć jakiejś sensownej rozmowy. Monika była lekko zdziwiona, kiedy powoli zbliżyli się do „Hormona”. Zauważył to, ale nie skomentował. Nie chciał jej brać do eleganckiego klubu, imponować forszą, stawiać drogich drinków w otoczeniu nadzianych kasą gości i wypindrzonych panienek z biustem wylewającym się przez dekolty krótkich, obcisłych sukienek. To nie był ten typ dziewczyny. W „Szmacie”, jak nazywali „Hormon” bywalcy, byli sami swoi, dobra muzyka, smaczne i diablo skuteczne wściekle psy, a lekki smrodek potu wygrywał z zapachem perfum. Poza tym zawsze mogli się przenieść w inne miejsce, noc była młoda i oni też. Zaparkował prawie przy placu Grunwaldzkim, bo dopiero tam znalazł wolne miejsce.

Nawet nie doszli do klubu.

Zastanawiał się później wielokrotnie, głównie podczas bezsennych nocy w Goleniowie, czy gdyby zaparkował wtedy w innym miejscu, ruszył spod samu minutę, może dwie później, albo nawet zdecydował po drodze, że zmienia plan i jada gdzieś indziej, doszłoby do tego. Dochodził do oczywistego wniosku, że nie, ale problem w tym, że czasu nie da się już cofnąć.

Stali przy bramie jednej z kamienic na Piłsudskiego, na krótkim odcinku między placem Grunwaldzkim a placem Odrodzenia, blisko którego był „Hormon”. Było ich trzech. Śmiali się głośno. Kiedy ich mijali, ordynarnie skomentowali wygląd Moniki, ale on tylko się uśmiechnął do siebie i dotknął lekko jej łokcia.

- Spokojnie - szepnął uspokajająco. - Idziemy dalej, nic się nie dzieje.

Był pewny siebie i swoich umiejętności. Nagle między ich głowami przeleciała butelka. Roztrzaskała się z głuchym hukiem o chodnik tuż przed nimi, niedopite piwo chlusnęło na granitową płytę, zostawiając spieniony, mokry mazaj, a okruchy zielonkawego szkła błysnęły w świetle lampy. Poczuli, że mięśnie napinają mu się bez udziału woli.

Stanął i odwrócił się.

– Pojechało was? – zapytał spokojnie. – Nudzi wam się?

Trzy ciemne postaci do tej pory przylepione do ściany oderwały się od niej i ruszyły ku nim powoli. Idąc, kołysali się na boki; uliczne cwaniaczki, goście na dzielni, a w rzeczywistości zakompleksione mendi, które w pojedynkę siedziałyby w swoich norach, nad puszką piwa zabijając czas przeciekający im przez palce.

– Chodź – szepnęła Monika. – Proszę cię...

Nie drgnął ani o milimetr. Ona tego nie wiedziała, ale teraz nie mógł się odwrócić, bo to tylko pogorszyłoby sytuację. Stał więc, patrząc na tamtych, usiłując jak najwcześniej zidentyfikować przywódcę. W każdej takiej grupie jest ten najmocniejszy, reszta to przydupasy: wystarczy zgasić jednego, a reszta przeważnie odpuszcza. Widział, jak jeden wysuwa się do przodu. Miał go. Patrzył, jak tamten puszy się, napina kaptury, a ramiona lekko unoszą się do góry. Po prostu klasyka. Pozwolił mu podejść na metr od siebie i wystawił rękę. Tamten stanął, lekko zaskoczony.

– Dajcie sobie luzu, co? – poprosił ich. – Idziemy się bawić i tyle, okej?

Negocjacje. Czasem skutkują, a czasem nie. Nie kazał mu przeproszać Moniki za niewybredne określenia. Nie groził wezwaniem policji. Po prostu poprosił o zostawienie ich w spokoju. Tamten odtrącił jego wyciągniętą rękę. Uderzenie nie było mocne, bardziej jak zdecydowane odsunięcie.

– Dajcie nam spokój. – Dał im ostatnią szansę: jego głos stwardniał, a powieki zwężyły się.



Nie skorzystali. Twarze pozostałej dwójki majaczyły za plecami napastnika; nie widział ich dokładnie, widział tylko tę jedną, wykrzywioną gniewem. Pamiętał, że miał bardzo wydatne usta okolone ciemnym, krótkim zarostem, a nad jedną z brwi pozbawioną włosów cienką bliznę, pewnie pozostałość po jakiejś bójce. Podobno pracował na budowach. Zwykły robot, jak on później, lata później. Nie był agresywny, raczej lubiany w pracy, miał dziewczynę, mieszkał jeszcze z rodzicami. Lubił wypić i wtedy zdarzało się, że coś w niego wstępowało. Tak jak w tamtej chwili.

– Znudziło ci się przez nos oddychać? – Poczul na twarzy drobinki śliny tamtego, co oznaczało, że jest trochę za blisko, ale uznał, że i tak sobie poradzi. – Cię, kurwa, zaraz jebnę, pedale, to będziesz zęby z chodnika zbierał.

– Heniek, daj spokój. – Monika dotknęła jego ramienia, ale nie pociągnęła go za nie.

To było nieśmiałe dotknięcie, jakim zwykle jest pierwszy kontakt fizyczny między dwojgiem poznających się dopiero ludzi. W tamtym momencie wszystko jeszcze było pod kontrolą. Oddychał spokojnie, szukając się na wszystko i na wszystko gotowy. Wtedy tak sądził.

– Heniek? – Gnój odwrócił się do kolegów ze zdumieniem, a potem wrócił wzrokiem do jego twarzy. – Ja pierdolę, słyszeliście to? Ty cioto jebana, nie będziesz zębów zbierał, bo ja ci je zaraz w ryj wbiję.

Prawe ramię tamtego cofnęło się i obniżyło lekko i wiedział już, że najwyższy czas zakończyć spotkanie.

Był młody, głupi i zbyt pewny siebie, chciał zaimponować dziewczynie. I dał się sprowokować. Powinien zgasić mu światło normalnym sierpem wymierzonym w staw zuchwowo-skroniowy, a gdyby tamci dwaj jednak podeszli, ich też położyłby spać albo chociaż złożył w pół i miałby spokój. Cofnął się o pół kroku. W kopnięciu z półobrotu włożył wszystkie siły i umiejętności. Był wtedy bogiem, panem życia i jak się okazało tydzień później, również śmierci.

# MILICJANT

- Nie rozpoznał jej pan, kiedy moi koledzy pokazali panu ciało? -  
Pytanie zawisło w przestrzeni mesy. - Panie Vogel?

Nie słyszał głosu Banach, pogrążony we własnych myślach. Jak automat zszedł do mesy, usiadł na kanapie, nie zwracając nawet uwagi, że ona idzie za nim.

- Panie Vogel? - powtórzyła głośniejszą policjantka.

- Słucham? - Ocknął się, wyrwany z zamyślenia i spojrzął na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Pytam, dlaczego pan jej nie rozpoznał?

Prychnął lekko.

- Bo widziałem ją po raz ostatni ponad dwadzieścia lat temu, w dodatku spotkałem ją dwa razy w życiu, zresztą w ciągu kilku godzin. Tego dnia, kiedy... - Urwał, czując nagłą suchość w ustach, i przez głowę przebiegła mu myśl, jak długo jeszcze będzie się tak działo przy każdym powrocie do tego wieczoru, czy to w rozmowie z kimś, czy we własnych wspomnieniach.

- Rozumiem - mruknęła Banach.

- Naprawdę? - Obrzucił policjantkę spojrzeniem, w którym była słabo zawalowana kpina.

- Miałam na myśli, że wiem, o jakim dniu pan mówi. Sprawdziłam pana przeszłość. - Banach spojrziała na niego uważnie. - Więc nie domyślił się pan, że to ona?

- Nie. Wtedy była po prostu fajną dziewczyną, którą poznałem przypadkiem w biurze ojca. Jeszcze miał je tutaj, w Szczecinie. Trafiła do niego na staż, studiowała chyba ekonomię albo prawo, nie pamiętam. Zagadałem do niej i umówiliśmy się na wieczór. Nic

zobowiązującego: była w miarę ładna i zgrabna, miała fantastyczne włosy: gęste i falujące, i myślałem wtedy, że wszystko zakończy się jak zwykle. Pub albo klub, impreza, potem pójdziemy do mnie, a jak będzie fajnie, to umówimy się jeszcze raz, a potem może następny. Taki kiedyś byłem. Beztroski chłopak z bogatego domu, który opływał we wszystko, oprócz miłości ojca.

- Nie było następnego razu?

Spojrzał na nią ponuro.

- Nie zobaczyłem jej już nigdy więcej, wie pani? Nawet nie pamiętałem, jakie ma nazwisko, nie pytałem jej wtedy. Przewinięło się w procesie, ale nie była to jakaś istotna rzecz do zapamiętania. Kiedy mnie zawijali na komisariat, widziałem ją ostatni raz. Nie przyszła ze mną porozmawiać, wesprzeć mnie jakoś, nie wiem... - Wzruszył ramionami. - Choćby podziękować. Miała być świadkiem na moim procesie, ale była podobno chora i złożyła zeznania poza sądem. Z tego, co pamiętam, po prostu opisała wszystko tak jak było, przynajmniej do momentu, kiedy kopnąłem tego chłopaka. - Nabrał głęboko powietrza w płuca, a potem wydmuchnął je przez ściągnięte usta, aż zaświszczało. - Nie wiedziałem, że wciąż pracowała u ojca.

- Tak jak wspomniałam, była jego asystentką.

- Asystentką? - Nie zdołał opanować wybuchu śmiechu. - W jego przypadku pojęcie asystentka sprowadza się do atrakcyjnej dziewczyny z dobrym ssaniem. Przepraszam... - Zreflektował się i poczuł, że lekko czerwienieje na twarzy.

- Proszę się nie przejmować, niejedno widziałam i słyszałam.

- W każdym razie nie pasuje mi to. - Zmarszczył brwi. - Wiem, że śmierć zmienia rysy twarzy i ciało też, ale ona nie wyglądała mi na zbyt zadbaną i atrakcyjną. Po prostu się zestarzała. Jak my wszyscy: jedni lepiej, inni gorzej. Może była tym drugim przypadkiem. Nie myślałem, że ojciec mógłby mieć asystentkę starszą niż dwadzieścia pięć lat.

- Według naszej wiedzy była jego asystentką w tym normalnym znaczeniu. A nawet kimś więcej. Można wręcz powiedzieć, że prawą

ręką.

Przez chwilę myślał, że się przesłyszał.

– Prawą ręką? Kobieta? – Zrobił wielkie oczy.

– Ma pan coś przeciwko temu? – Twarz komisarz Banach była nieruchoma jak maska.

– Nie, absolutnie nie! – Znów roześmiał się, tym razem z lekkim zakłopotaniem. – Ale sądziłem, że on owszem, tak. O ile pamiętam, nigdy nie wyrażał się zbyt pochlebnie o kobietach. Chyba że mu zależało, żeby którąś... No, wie pani.

– Wiem. Przelecieć.

– Dokładnie.

– Od początku nie pasowała na ofiarę zbrojnicę. Nie było śladów gwałtu, była po czterdzieście i niezbyt atrakcyjna, jak sam pan zauważył, a ja się z tym zgodzę. W dodatku zapakowana w tę folię, no i sposób, w jaki ją zabito: jak mafijna egzekucja. Pytanie, oprócz tych najważniejszych, czyli kto ją zabił i z jakiego powodu, brzmi: dlaczego trafiła tutaj.

– Do Szczecina?

– Do pana. Nie znalazła się tutaj przypadkiem. I zanim trafiła do Odry, minęło trochę czasu. Kilka godzin. W dodatku miała w płucach wodę.

– Żył, kiedy ktoś ją wrzucił do wody? Z kulą w głowie?

– Nie, była już martwa. To nie była woda z Odry. To była czysta woda.

– Utopił ją wcześniej? A potem dla pewności dostrzelił?

– Też nie. Wody w płucach było niewiele, a śmierć bez wątplenia nastąpiła od strzału w głowę.

– Może topiła się wcześniej?

– Może... Dziwna sprawa, panie Vogel, ktoś zadał sobie sporo trudu.

Kto wie, że mieszka pan na łodzi?

– Mam nadzieję, że nikt.

– Ktoś jednak wie.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek?

- Zniknęła wczesnym popołudniem, w Warszawie. Między pierwszą a piątą w nocy znalazła się tutaj. Jej ciało zostało przywiezione samochodem, który zaparkował na tej mijance w połowie drogi między Stołczyńską a przystanią. Prawdopodobnie audi. Była już zawinięta w tę folię. Ktoś ją przeciągnął kilkadziesiąt metrów i włożył do wody koło pańskiej łodzi. Mówię: włożył, a nie: wrzucił, bo zrobił to po cichu.

- Skąd to wiecie?

- Z sekcji, badań kryminalistycznych i oględzin miejsca odnalezienia zwłok. Kiedy poskładaliśmy to wszystko do kupy, wyszło nam to, co przed chwilą panu powiedziałam. Ona nie znalazła się tu przypadkiem. To właśnie pan miał ją znaleźć.

- Po co?

- Tego nie wiem. Ale inaczej to nie ma sensu. Może niech się pan nad tym zastanowi.

- Nad czym mam się zastanawiać? Kobieta, z którą widziałem się raz w życiu dwie dekady temu... - Wzruszył ramionami. - Równie dobrze mógłby to być mój dawny dentysta, nauczycielka czy ktokolwiek inny.

- Tak, tylko to nie był dentysta ani pana nauczycielka. Ani ktokolwiek inny. I oni pewnie żyją, a ona nie. Niech pan zobaczy: najpierw w katastrofie ginie pana ojciec. Potem asystentka, jego prawa ręka, i to dosłownie dwa dni później. A w jego firmach dzieją się różne rzeczy...

- Jakie rzeczy?

- Pan wie, kim był pana ojciec?

Vogel uśmiechnął się wątle.

- Pamiętam, jak parę lat temu ktoś zadał mi to samo pytanie. I pamiętam, co wtedy odpowiedziałem. Teraz odpowiem tak samo: był skurwysynem.

Banach spojrzała gdzieś w bok.

- Co pan wie o jego działalności biznesowej?

- Praktycznie nic. Od dwudziestu lat nie mamy... Nie mieliśmy ze sobą kontaktu.

- Z jakiego powodu?

- Bo tak sobie życzyłem. Możliwe, że on też, ale nie pytałem go o to. To był mój wybór. On swojego dokonał dużo wcześniej, tylko ja byłem za mały, żeby coś z tym zrobić.

- Co pan wie o jego przeszłości?

- Niewiele. Wiem, że był za komuny milicjantem. Mieszkaliśmy wtedy w Gorzowie. Odszedł z milicji jeszcze przed osiemdziesiątym dziewiątym, założył firmę, zaczynał chyba od kantoru wymiany walut, potem miał stoiska na bazarze przy granicy, w Kostrzynie. Chyba miał coś wspólnego z ochroną bazaru. Później przeprowadziliśmy się do Szczecina, robił to samo w Lubieszynie, ale kiedy coś tam zaczęło się dziać, sprzedał interes i na pewien czas wyjechał do Niemiec. Kiedy wrócił rok później, założył firmę ochroniarską. Agencję ochrony ludzi i mienia, jak to się szumnie nazywało.

- A potem?

- Potem? - Spojrzał na policjantkę. - Potem to nie wiem. Wpadało mi czasem coś w oko, kiedy przeglądałem internet. Jeden z setki najbogatszych ludzi w Polsce. Co prawda na samym dole tej listy, ale pewnie strasznie się tym chlubił i robił wszystko, żeby wdrapać się wyżej.

- Ta łódź to za jego pieniądze?

- Trochę niedyskretne pytanie. I chyba bez związku ze sprawą.

- Nigdy nie zadaję pytań niezwiązanych ze sprawą, w której akurat do kogoś przychodzę, panie Vogel.

- Nie, to za moje. - Spojrzał jej hardo w oczy. - Od niego nie wziąłbym grosza, nawet gdybym umierał na raka i potrzebował forsę na nier refundowaną terapię, która mogłaby mnie uratować.

- Ile razy w życiu spotkał pan osobę umierającą na raka?

- To pytanie też ma związek ze sprawą?

Nie odpowiedziała, ale w jej oczach był jakiś smutek.

- No dobrze... - Zgarbił się lekko. - Chodziło mi o jak najtrafniejsze porównanie. Może wyraziłem się niezręcznie, ale mam nadzieję, że zrozumiała pani, o co mi chodziło?

Pokiwała powoli głową i zapatrzyła się na widok za wąskim, poziomym okienkiem, wychodzącym na dziób łodzi.

- Nie był milicjantem - powiedziała, wciąż wpatrzona w zieleni po drugiej stronie kanału.

- Formalnie był - mruknął, czując, że rozmowa schodzi na niewygodne tory.

- Uhm. Czyli pan wie, że pracował w pionie Służby Bezpieczeństwa?

- Tak - przyznał po chwili, nie patrząc policjantce w oczy.

Był za to na siebie zły. Na to, że poczuł wstyd. Jeszcze jeden grzech ojca, który wywoływał w nim poczucie zawstydzienia, jak gdyby w jakimkolwiek stopniu był za to odpowiedzialny.

- Wie pan coś więcej o jego karierze w bezpieczeństwie?

- Nie - odparł zgodnie z prawdą. - Byłem jeszcze mały, kiedy odszedł z... Ze służby. A potem w domu się o tym po prostu nie mówiło. Nawet mundur gdzieś zniknął, zawsze wisiał w szafie, lubiłem go dotykać. - Znów z zawstydzieniem spuścił wzrok.

- Pański ojciec był funkcjonariuszem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gorzowie Wielkopolskim, w stopniu kapitana Służby Bezpieczeństwa. Pracował w wydziale piątym Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, potem przekształconej w WUSW, od marca osiemdziesiątego drugiego pełnił funkcję starszego inspektora do spraw ochrony przemysłu w tamtejszym Inspektoracie Ochrony Przemysłu. Odszedł ze służby w połowie osiemdziesiątego ósmego roku, z powodów zdrowotnych.

- Zdrowotnych? - Vogel parsknął. - Mówimy o moim ojcu? Okazie zdrowia, który w dodatku sądził, że choroby się go nie imają, a śmierć go nie dotyczy?

- Tak, mówimy o pańskim ojcu.

- Skąd pani ma takie szczegółowe informacje? - zapytał, bo autentycznie go to zainteresowało.

- Z IPN-u. - Spojrzała na niego nagle z jakąś ciekawością w oczach. - Nikt nigdy panu nie zarzucił, że jest pan synem esbeka? Na ulicy, w szkole?

- Nie - odparł krótko i pomyślał, że kiedy był dzieckiem, istniały odmienne powody, dla których był gnębiony przez inne dzieciaki.

Banach przypatrywała mu się uważnie i czekała, choć on nie wiedział na co. Może tę przerwę wymusił na niej widok jego twarzy.

- Sądzę, że pana ojciec był jedną z osób, która musiała wiedzieć o pracach nad ustawą Wilczka. - Podjęła po chwili wątek. - Wie pan, co to takiego?

Pokręcił przecząco głową.

- To wprowadzona pod koniec okresu komuny ustawa o działalności gospodarczej. Była bardzo liberalna. Można było już robić legalnie wiele rzeczy, które wcześniej były zakazane dla prywatnych przedsiębiorców. Między innymi handlować walutą albo zakładać firmy ochroniarskie, choć była do tego potrzebna koncesja. Ustawa weszła w życie z początkiem osiemdziesiątego dziewiątego i kto się szybko orientował, otwierał biznes w tej dziedzinie, na której się znał, albo taki, na którym można było najlepiej zarobić. Wiadomo: kto pierwszy, ten lepszy. Ale niektórzy byli szybsi od innych.

- Na przykład mój ojciec? - Domyślił się, do czego zmierza.

- Owszem. Jako oficer SB, w dodatku związany w jakiś sposób z resortem przemysłu, musiał wiedzieć o planach uwolnienia rynku i odpowiednio wcześniej się do tego przygotował. Odszedł ze służby, zdobył koncesję, otworzył firmę: jedną, drugą, trzecią... I wybił się. Ale w tamtych czasach, żeby móc robić takie interesy na taką skalę, trzeba było mieć nie tylko refleks i głowę na karku. Trzeba było mieć również mocne plecy i szeroki kark. Oraz koneksje. A on je niewątpliwie miał, jako osoba związana z aparatem bezpieczeństwa. A rozwiewając



pańskie wątpliwości dotyczące mojej wizyty: pański ojciec uwikłany był w handel bronią na dużą skalę. To dlatego sprawę przejęło CBŚP. Zdziwiony?

- Wcale...

Mało brakowało, a by się roześmiał, ale uznał, że nie byłoby to wskazane, a wręcz mogłoby zostać odebrane opacznie.

- Naprawdę? - Policjantka zmarszczyła brwi.

- Nie dziwi mnie to, bo jego było stać na wszystko, wie pani? A teraz widzę, że w pogoni za pieniędzmi stracił rozum, zdrowy rozsądek i resztki człowieczeństwa, o ile w ogóle kiedykolwiek je miał. Mam na myśli to ostatnie.

- Uhm...

- Rozumiem, że obecnie w części dotyczącej mojego ojca sprawa jest bezprzedmiotowa?

- Bo nie żyje?

- Dokładnie.

- Nie do końca. Uważamy, że śmierć pańskiego ojca ma bezpośredni związek z jego domniemaną i nielegalną działalnością. I tylko dlatego z panem o nim rozmawiam: bo nie żyje. A śledztwo się nie skończyło.

Pomasował sobie kark, odchylił głowę do tyłu i westchnął.

- To faktycznie był zamach, jak pisali? - zapytał.

- Niczego więcej nie mogę panu powiedzieć.

- Okej, i tak mnie to nie obchodzi.

- Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że śmierć jego asystentki również może mieć z tym jakiś związek. - Banach popatrzyła mu uważnie w oczy.

- A ze mną? - On też spojrzał na nią.

- Nic na to nie wskazuje.

Vogel czekał na słowa „na razie”, ale takie nie padły.

- Czy coś jeszcze? - zapytał zrezygnowany.

- Nie, to w zasadzie wszystko, choć poprosiłabym pana jeszcze o numer telefonu.

Podał jej swój numer, a ona wpisała go od razu do komórki, a potem wstała ostrożnie, lekko pochyłona, chociaż nawet wyprostowana nie dotknęłaby głową sufitu.

- Dziękuję za rozmowę, pozwolę sobie zadzwonić w razie czego - rzuciła jeszcze.

Nie zapytał, co to oznacza. Banach wyszła na zewnątrz, on zrobił to samo. Patrzył, jak stoi przez chwilę w milczeniu; widać było, że błędnie płała jej figle: ledwo dostrzegalne ruchy łodzi, do których on przyzwyczyił się dawno temu i w ogóle ich nie dostrzegął, dla niej były czymś nienaturalnym.

- Mogę jeszcze chwilę zostać? - zapytała niespodziewanie, oglądając się na niego.

- Tutaj? - Zdziwił się.

- Tak. - Włożyła dłonie do tylnych kieszeni spodni. - Tutaj. Na chwilę.

Nie wiedział, co powiedzieć. Nie wiedział też, co zrobić z oczami, więc rozejrzał się nieco bezradnie po pokładzie, a potem wrócił wzrokiem do jej twarzy. I wtedy właśnie, patrząc jej w oczy, uświadomił sobie, że widzi w nich to samo, co w swoich, kiedy codziennie spogląda w lustro. Ta kobieta też była poturbowana przez życie. Nie zamierzał pytać, co się stało, nie obchodziło go to, ale czuł z nią jakąś wspólnotę, znajdując w sobie zrozumienie i szacunek dla niej.

- Tak - powiedział w końcu, trochę wbrew sobie. - Możesz.

Odwrócił się i zaczął schodzić powrotem do mesy.

- Tu jest taki spokój. - Usłyszał jej głos. - Zaraz sobie pójde, obiecuję.

Odwrócił się do niej.

- Możesz zostać, ile chcesz. - Dopiero po chwili uświadomił sobie, jak to mogło zabrzmieć, więc dodał, chociaż nie do końca zgodnie z prawdą: - Nie przeszkadza mi to.

- Dziękuję - mruknęła.

Zmarszczył brwi i spojrział w niebo. Słońce schowało się już za drzewami, z drugiej strony błękit przechodził powoli w fiolet.

- Nie musisz wracać do roboty? - zapytał.

- Jestem po służbie. - Wzruszyła lekko ramionami. - I nigdzie mi się nie spieszy.

- Jasne - mruknął i zszedł na dół.

Położył się na kanapie, wziął książkę i zaczął czytać. Co jakiś czas wracał do niego w myślach temat ojca, więc zmuszał się, żeby znów zagłębić się w świat powieści. Kiedy zauważył, że na zewnątrz jest już całkiem ciemno, odłożył książkę i cicho poszedł na górę sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Nie spodziewał się, że ją tam jeszcze zastanie. Banach leżała na siedzisku na górnym pokładzie i spała, buty stały obok ustawione idealnie równo. Stanął nad nią, nie wiedząc, co robić. Budzić? Pozwolić jej tu spać? Odgonił od twarzy komara i ze skrzynki pod siedziskiem wyciągnął koc, a potem okrył ją nim delikatnie, żeby jej nie obudzić. Nawet nie drgnęła. Wzruszył lekko ramionami i poszedł do siebie. Kajuta była ciasna, ale była też jego wymarzonym domem, więc poczucie klaustrofobii, które wzbudzała w nim cela, tu nie było tak dojmujące. Wziął leki nasenne, zgasił światło i zasnął wkrótce potem, żegnany rechotaniem żab.

Kiedy się obudził, było już jasno. Dopiero po chwili dotarło do niego, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru. Zerwał się z kanapy i poszedł na górę. Pokład był pusty, starannie złożony w kostkę koc leżał na siedzisku. Spojrzął w kierunku brzegu, ale niewielki parking przed bramą przystani był pusty. Schował koc na miejsce i wrócił na dół, żeby wziąć prysznic, nastawiając po drodze wodę na herbatę.

## REJS

Przyszła znowu dwa dni później. Wraciał właśnie z łazienki na nabrzeżu, kiedy zobaczył ją za kierownicą samochodu wjeżdżającego zdewastowaną drogą od strony Stołczyńskiej. Zatrzymał się i poczekał na nią.

- Stało się to „w razie czego”? - zapytał, patrząc, jak idzie powoli w jego stronę.

- Nie, na razie nic się nie zmieniło - powiedziała cicho.

Miała zmęczoną twarz, zobaczył to, kiedy podeszła bliżej.

- Dziś miałam nockę i wracając z roboty, pomyślałam sobie, że wpadnę - wyjaśniła.

- Bardzo proszę, to miejsce publiczne.

Patrzyła w ziemię, na czubki swoich butów.

- Chciałam przeprosić - bąknęła.

- Za co? - Zmarszczył brwi

- Za... przedwczoraj. To się nie powinno było wydarzyć.

Spojrzał na nią jak na dziw natury.

- Mówisz tak, jak byśmy się schlali i poszli do łóżka. Co w tym dziwnego, że zmorzył cię sen?

- Byłam bardzo zmęczona. - Widział, że jest skrępowana. - Nie tylko fizycznie. A tu... - Rozejrzała się dookoła. - Tu jest taki niezmiernie spokojny.

- Więc czemu się sobie dziwisz? - zapytał spokojnie.

- Bo...

- Nie jestem podejrzany? - Upewnił się.

- Nie, dlaczego? - Spojrzała na niego zdumiona.

- Więc tym bardziej nie rozumiem twoich obiekcji. Za to rozumiem, czemu zostałaś, nawet wbrew sobie.

- Odleciałam, po prostu. Zasnęłam, zanim się zorientowałam, że to się dzieje.

- Zanim odleciałaś - podkreślił z naciskiem. - Rozumiem, bo wiem, jak to jest. Dlatego mieszkam na łodzi. Bo mogę wybrać miejsce, gdzie chcę być, a jeśli okaże się, że coś przestaje mi w nim pasować, po prostu zwijam się i szukam nowego.

- To nie powinno było mi się przydarzyć - powtórzyła z jakimś dziwnym uporem. - Nie policjantce.

- Mówiłaś wtedy, że jesteś po służbie?

- To nie ma znaczenia. - Pokręciła głową, zamykając oczy.

- Uhm... A skoro już przy tym jesteśmy... Czemu przysłałaś wtedy do mnie po pracy?

- Gliniarze pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę. To nie praca, to służba.

- Wyświechtany frazes. Gliniarz też człowiek.

Mierzyl się spojrzzeniami jak bokserzy na wazeniu.

- Tak się składa, że mam po pracy dużo wolnego czasu, z którym nie mam co zrobić. Mówiłam ci to.

- A teraz?

- Co masz na myśli?

- Czy masz czas teraz?

- T-tak... A co?

- Miałem zaraz wypłynąć, nawet już zgłosiłem to w bosmanacie. Muszę opróżnić zbiornik na szarą wodę. Jeśli masz ochotę... - Zrobił nieokreśloną minę. - Zapraszam.

- Co to jest szara woda? - zapytała.

Roześmiał się. Niespodziewanie dla samego siebie.

- To, co robię, kiedy nie chce mi się iść na brzeg albo jestem na wodzie. W sensie: wypłynę gdzieś.

- Ładna nazwa.

- Jeśli wolisz dosadniej, to muszę zrzucić szambo.

- To tak wolno?

- Wolno, tylko nie tutaj. Można je wyssać w marinie albo zrzucić na otwartych wodach morskich.

- Do morza chyba kawałek?

- Cały zalew i Odra od ujścia aż do Trasy Zamkowej to morskie wody wewnętrzne. Płyniesz?

- Tak.

Powiedziała to bez zastanowienia, tak jak on bez zastanowienia chwilę wcześniej zaproponował jej rejs. Założyła przeciwsłoneczne okulary i ruszyła w kierunku nabrzeża. Kiedy weszli na łódź, odwiązał cumy od słupków, wciągnął obijacze i włożył je do kosza na dziobie, a potem zasiadł za sterem na górnym pokładzie. „Worša” miała zdublowane stanowisko, wybrał to na górze, bo pogoda była piękna. Włączył skaner i ploter, na wszelki wypadek sprawdził jeszcze prognozę w aplikacji „Windy”, a potem odpalił silnik i obejrzał się. Banach usiadła na ławeczce, na achterpiku i wystawiła twarz do słońca. Kiedy dotarł do niej smród spalin, skrzywiła się lekko.

- Na wodzie nie będzie czuć - powiedział głośniejszym głosem, żeby go usłyszała przez klekot diesla.

Czuł pod stopami lekkie drżenie pokładu. Przesunął manetkę do przodu i wibracje zwiększyły się na moment, a potem łódź powolutku wypłynęła ze stanowiska. Vogel skręcił w prawo i ostrożnie wypłynął pomiędzy słupków, kierując się w stronę Kanału Skolwińskiego. Mijali trzcinowiska, wciąż z niewielką prędkością, zostawiając za sobą spieniony kilwater. Zanim wypłynęli na Odrę, minęło trochę czasu, który spędzili w milczeniu, przyglądając się krajobrazom. Pokazał jej białą czapkę siedzącą na zwałonym drzewie, a potem bobrze żeremie. Na Odrze zrobiło się odrobinę chłodniej. Woda zmieniła kolor, a on przyspieszył, czując, jak dziób łodzi nieco się unosi. Płynęli ku Roztoce

Odrzańskiej, chciał dopłynąć do Stepnicy i wrócić, cała trasa miała zabrać jakieś dwie i pół do trzech godzin. Pomyślał, że tyle wystarczy.

Iwona usiadła na fotelu obok.

- Co to? - zapytała, wskazując coś ręką.

- Azoty czy tam Polimery w Policach. Hałda odpadów, nazywają to Białą Górą. Przepłyniemy tamtędy, wracając.

Pokiwała głową i zamilkła. W tym milczeniu spędzili prawie godzinę. Zerkał kątem oka, jak przygląda się odległemu brzegowi, wodzie albo jak wystawia twarz do słońca. Na szczęście nie była gadatliwa, a on lubił ciszę.

W Goleniowie bez przerwy się gadało, bo co innego można było robić, żeby zabić czas i doczekać do nocy. Ciągle te same historie: głupie, płytkie. Wspomnienia, plany, które i tak nie miały nigdy wypalić. Zmieniały się drobne detale, dochodziły nowe, ale to wciąż były te same opowieści o dupie Maryni. Po jakimś czasie znał wszystkie tak dobrze, że mógł je powtórzyć obudzony w środku nocy, a słuchając ich po raz setny i tysięczny, miał wrażenie, że sam jest ich bohaterem i że to są jego własne wspomnienia. Milczenie było tam na wagę złota. To dlatego tak lubił noc. Bo wtedy nikt nic nie mówił. Nocną ciszę z rzadka przerywały pierdnięcia, chrapanie i pomrukiwanie przez sen, jakieś dalekie krzyki dochodzące z sąsiednich cel.

Kiedy dopłynęli do Stepnicy, zapytał:

- Chcesz zacumować?

Pokręciła przecząco głową, więc tuż przed sieciami rozstawionymi blisko wejścia na marinę skręcił ostrzej i nawrócił, kierując się znów na Szczecin.

- Dlaczego wyjechałeś do Niemiec? - zapytała. - I postarałeś się o obywatelstwo?

Nie spodziewał się takiego pytania, nie spodziewał się w ogóle, że będzie chciała rozmawiać.

- Musiałem zmienić klimat. Chyba rozumiesz? - Spojrzał na nią.

– Co tam robiłeś?

W jej głosie nie było niezdrowej ciekawości. Brzmiał naturalnie, cicho. Siedziała rozparta w fotelu, z głową opartą o zagłówek, z ręką wystawioną ponad przednią szybę, jakby łapała w nią wiatr.

– Oddychałem – odparł po chwili zastanowienia. – Oddychałem czystym powietrzem. Pracowałem w różnych miejscach, czasem na czarno, byle przeżyć, a nie miałem dużych potrzeb. A kiedy mama umarła... Już nie musiałem pracować. Wróciłem i kupiłem łódkę. I nie robię już nic, poza oddychaniem. I dobrze mi z tym, wiesz? Nie wiem, co będzie jutro, i nie muszę wiedzieć. Żyję z dnia na dzień i niczym się nie przejmuję. Nikogo nie widuję, z nikim nie rozmawiam, bo nie chcę. Jak mi się zachce, to to zmienię.

– Na przykład teraz? – Uniosła lekko głowę i zerknęła na niego znad okularów.

– Na przykład teraz – przyznał. – Na tym polega prawdziwa wolność, a nie na tym, że po prostu nie siedzisz w więzieniu. Wiesz, kiedy okazało się, że będę garował tyle czasu, przeraziło mnie wiele rzeczy. Ale chyba najbardziej ta, że więzienie zabierze mi najlepsze lata życia. Kiedy wyszedłem, postanowiłem sobie, że te najlepsze w moim życiu to będą te, które są dopiero przede mną. Mam czterdzieści trzy lata, nie siedzę od piętnastu, ale ten czas, który minął i który spędziłem na łodzi, traktuję jako najlepszy, rozumiesz? Nie wiem, gdzie byłbym teraz, gdyby nie to, co się stało. Nawet się nad tym nie zastanawiam, bo nie ma po co; to po prostu nie ma sensu. Stało się. Zabiłem człowieka, nieważne, że się broniłem...

– Nieważne?

– Jak się okazało, nie do końca. Dziś sam to wiem. Musiałem to sobie poukładać i potrzebowałem na to właśnie czasu. I perspektywy. Mogłem załatwić go inaczej, nie tak brutalnie. Nie wiedziałem, że walnie głową o ten pierdolony krawężnik, ale wiedziałem, co robię i jak to się czasem kończy. Mogłem to przewidzieć. Ale byłem młody i głupi. Jak każdy kiedyś, tylko nie każdemu zdarzyło się kogoś zabić.



Zapatrzył się w niebo, które po chwili pociemniało i zmieniło kolor na czarne. Znów był tam, pod „Hormonem”. Nie uciekł po tym, co się stało. Nie zwykł uciekać, cokolwiek by się wydarzyło. Pamiętał krzyki i groźby tamtych dwóch, którzy pochylali się nad kolegą, ale bali się cokolwiek zrobić: i z tamtym, i z nim. Próbowali go ocucić i byli przerażeni. Później, już podczas procesu, pytano go, dlaczego nie próbował tamtego ratować. Powiedział, że był w szoku: powiedział to, bo tak doradził mu mecenas. A tak naprawdę już wtedy wiedział, że niewiele może zrobić. Wyraźnie słyszał to obrzydliwe chrupnięcie, kiedy tamten uderzył głową w krawężnik. Widział jego drgawki, sztywne, wyciągnięte ręce i nogi, widział nierówne źrenice i miał pewność, że w tamtym momencie nic już nie może poradzić. Miał wtedy jeszcze nadzieję, że tamten się jakoś wyrehabilituje.

Pamiętał pusty wzrok Moniki, która stała obok niego jak sparaliżowana, kiedy on siedział z głową objętą przedramionami, a pomiędzy nimi zerkał na sztywno wyprężone ciało leżące przy krawężniku i tamtych dwóch. Pamiętał kałużę krwi wokół głowy tamtego i jej strugę spływającą do kratki kanalizacji burzowej, niemal czarną w półmroku. Światło pieprzonego neonu za nim padało pod takim kątem, że odbijało się dokładnie we krwi: ze swojej perspektywy widział różowe refleksy i myślał, że wygląda to po prostu głupio. Potem był jęk syren. Wtedy jeszcze nie zadzwonił do ojca, zrobił to dopiero po przewiezieniu na komisariat. Telefon w sumie niewiele zmienił, zamiast ojca pojawił się Popławski, a matki nie było wtedy w Polsce. Wtedy wszyscy, oprócz niej, byli przeciwko niemu. Tamci dwaj, którzy przed sądem zaklinali się na wszystkie świętości, że wcale go nie prowokowali ani nie zaczepiali; to on zaczął, szukając zaczepki. Rodzice tamtego, występujący jako oskarżyciele posiłkowi. Monika, która mogła przyjść i powiedzieć, jak było: własnymi słowami, może popłakać się i spojrzeć na niego z wdzięcznością, zrobić mały spektakl, po którym prokurator i sędzia spojrzeliby na niego przychylniej. Zamiast tego sąd odczytał jej suche zeznania. Co z tego, że były prawdziwe, że

przedstawiła wszystko tak, jak faktycznie się odbyło? W ustach sędzi brzmiały beznamiętnie i pusto. Młody, rozbestwiony bogactwem ojca gówniarz, który sądził, że może więcej. Tak o nim myśleli. Nawet mecenas, który wcale go nie znał, a ponieważ znał dobrze jego ojca, wyrobił sobie odpowiednią opinię.

Był sam. A potem było jeszcze gorzej.

Błękit wrócił, tak samo jak monotony warkot silnika i szum wody. Vogel odwrócił głowę w stronę Iwony.

- Nie masz pojęcia, jakie to uczucie zabić człowieka - powiedział gardłowo.

Nagle zobaczył, jak jej twarz się zmienia. Policzki obwisły, usta otworzyły się lekko i wygięły w podkowę, a spod okularów zaczęły wyciekać łzy. Skuliła się w fotelu, oparła o półkę pod przednią szybą i zaczęła się trząść, a po chwili rozległ się jej głośny płacz. Zatkano go. Siedział przez chwilę jak skamieniały i patrzył, jak jej ramiona podskakują. Okulary zsunęły się, kiedy osłoniła głowę przedramionami, i spadły na pokład. Nie wiedział, co zrobić. Nie chciał jej dotykać, głaskać po włosach ani objąć. Czekał. Zwolnił nieco i wpatrzony w horyzont sterował łodzią, nie odzywając się. Chwilę później płacz ucichł, ramiona przestały się trząść i Iwona uniosła głowę. Schylił się i podniósł okulary, a potem położył na półce. Banach westchnęła głęboko, zabrała je i złożyła zauszniak, jakby musiała zająć czymś ręce.

- Przepraszam. Kurwa, przepraszam. - Kręciła głową, ocierając twarz i nie patrząc na niego. - Coraz lepiej...

- Co: coraz lepiej? - Nie zrozumiał.

- Nic, nieważne. Po prostu zapomnijmy o tym, dobra?

- Okej. - Uniósł ręce. - Nie ma sprawy. Przepraszam na chwilę, mam sprawę do załatwienia. Może przez moment nieładnie pachnieć. A ty możesz potrzymać ster.

- Nie potrafię kierować łodzią - zaprotestowała, patrząc na niego mokrymi od łez oczami.

Patrzył na jej rzęsy sklezione wilgocią.

– Przesiądź się – poprosił.

Zrobiła to. Delikatnie położył jej dłoń na kole sterowym i pokazał coś za przednią szybą.

– Widzisz reling na dziobie, tę część na prawej burcie? – zapytał, a kiedy pokiwała głową, wyjaśnił dalej: – To twój celownik. Jeśli pojawi się na nim coś zbyt blisko, po prostu lekko skreć, najlepiej w prawo, i obserwuj, co się dzieje. Zmiana toru trwa chwilę, więc nie kręć zbyt mocno. Manetki nie ruszaj. Ja zaraz wrócę, a jakby co, krzycz.

Zostawił ją samą, zrzucił nieczystości ze zbiornika do wody i wrócił na górę, przejmując ster. Iwona aż do przystani nie odzywała się, nawet kiedy mijali Białą Górę, którą chciała zobaczyć. Kiedy wpłynął rufą na swoje stanowisko, bardzo ostrożnie, bo dziś było tłoczno, wyłączył silnik i od razu poszedł zrzucić odbijacze i zawiązać cumy. Kiedy wiązał ostatnią, dziobową, nagle zachwiał się. Ponieważ nie miał się czego chwycić, runął do wody głową w dół, w ostatniej chwili prostując się, żeby nie wyrzucić jej w płytkie dno. Kontakt rozgrzanego ciała z chłodną wodą wywołał lekki szok. Vogel wypłynął na powierzchnię, parskając i wypluwając listki rżęsy. Kiedy stanął na nogach, przejechał dłońmi po twarzy od dołu do góry, odgarniając włosy, z których wciąż ściekała woda. A potem ryknął śmiechem. Kiedy odwrócił się w stronę łodzi i przetarł oczy, zobaczył, że Iwona robi samo. Wciąż nie wierząc w to, co się przed chwilą wydarzyło, zaczął brnąć w kierunku brzegu. Wszedł między łodzie, złapał się oczepu i podskoczył, wdrapując się na górę. Otrzeputując się z wody jak pies, wskoczył na łódź i stanął przed Iwoną, opierając się dłońmi o kolana.

– Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło, wiesz? Odkąd pływam. Nigdy... – Znów się roześmiał i bez zastanowienia zdjął z siebie mokrą koszulkę, a potem kucnął na burcie i wyjął ją do wody.

– Boże słodki... – Usłyszał nagle jęk Iwony.

Odwrócił się szybko i widząc jej twarz, domyślił się, o co chodzi, pełen pretensji do samego siebie. Jak mógł o tym zapomnieć?

– On jest... Stamtąd, prawda? – Zakryła dłonią usta.

– Tak. – Nie patrzył jej w oczy. – Urodził się w Goleniowie.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że powiedział „urodził się”, a nie na przykład „powstał”, albo „został zrobiony”.

– Gdyby nie był jednobarwny, chyba bym wrzasnęła. Jest tak realistyczny, że aż ma się ochotę go dotknąć i spięprzać jednocześnie.

Uśmiechnął się lekko.

– Możliwe. Nigdy go nie widziałem...

– Słucham? – Iwona zdjęła okulary z nosa, ale jej ręka została w pobliżu twarzy.

– Mówię, że go nigdy nie widziałem – powtórzył, choć zaczynał być na siebie zły, że jej to powiedział.

– Jak... Jak to?

– W końcu jest na plecach, nie? – Puścił do niej oko.

Nie roześmiała się.

– Ty naprawdę go nie widziałeś...

Opuścił głowę.

– Ale nie dlatego, że jest na plecach, prawda? – dopytywała.

Przytaknął.

– Dlaczego? – zadała kolejne pytanie.

– A jak myślisz?

– No właśnie nie mam pojęcia. To po cholere go sobie zrobiłeś?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Do dziś się nad tym zastanawiam, po co. Robiłem w Goleniowie wiele rzeczy, których nie zrobiłbym poza murami.

– Bolało? Jest bardzo duży.

Spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

– Rubens robił go na raty. I... I chciałbym tam przeżywać tylko taki ból, wiesz? Nie miałbym nic przeciwko temu.

Iwona wciągnęła wargi, nie wiedząc, co powiedzieć, a potem wstała z fotela.

– Dziękuję za wycieczkę – powiedziała, muskając zagłówek ręką.

Uklonił się szarmancko.

– Dziękuję za możliwość wygadania się. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. – Był lekko skrupowany i ona to musiała widzieć.

Tak jak on widział, że ona czuje to samo.

– Może powinienes. – Ni to stwierdziła, ni zapytała.

– Może... – Pokiwał głową bez przekonania. – Może ty też kiedyś powinnaś.

– Ale nie dziś, wybaczone. – Jej głos był stanowczy. – I nie wiem ani kiedy, ani czy w ogóle, Heinrich.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Miała niezły akcent, który świadczył o tym, że musi znać niemiecki.

– Jasne. – Odsunął się, widząc, że rusza w kierunku rufy.

Chwilę później była już na brzegu i szła w stronę parkingu. Patrzył za nią, zastanawiając się, dlaczego tyle gadał, dlaczego się przed nią odślonił, mimo że do tej pory tego nie robił. Nigdy. Może nie miał przed kim, a może po prostu nie chciał, ale nie wiedział, który powód jest prawdziwy. Może oba? I dlaczego akurat ona? Bo po raz pierwszy od wielu lat spędził z kimś więcej czasu? Czy dlatego, że czuł z nią jakąś więź i nie chodziło nawet o ten jej wybuch, który mógł potwierdzać, że również wiele przeszła w życiu?

Zobaczył, jak Iwona staje i odwraca się, a potem lekko podnosi okulary i macha mu z daleka. Zrobił to samo. Nawet z tej odległości widział, że się uśmiecha, więc pozwolił, żeby na jego twarzy też pojawił się uśmiech.

Kiedy odjechała, zszedł do mesy i otworzył wąskie drzwi małej łazieneczki. Wziął głęboki oddech, wyprostował się przed lustrem i spojrzal sobie w oczy. Były szeroko otwarte, a on wiedział, że czas to wreszcie zrobić.

Za chwilę miał ujrzeć demona swojej przeszłości, dzieło życia człowieka, który go stworzył, czy raczej zwizualizował, a przynajmniej sam tak twierdził. Odwrócił się powoli plecami do lustra i wziął drugie, niewielkie, okrągłe, na stojaczku, którego używał do strzyżenia

maszynką tyłu głowy. Zawsze robił to w koszulce, teraz po raz pierwszy od wielu lat miał zobaczyć swoje plecy. Plecy i to, co na nich było.

Podstawił lusterko do twarzy i zanim jeszcze ustawił je tak, żeby zobaczyć swoje odbicie w tym dużym, znowu popatrzył sobie w oczy. A potem lekko odwrócił wzrok i zobaczył go.

Tatuaż nie wyblakł, na co miał gorącą nadzieję. Był wciąż tak wyraźny, jakby Rubens skończył go robić nie dalej jak wczoraj. Wielki na pół pleców pajak ptasznik wspinał się po nich, rzucając na skórę również wytatuowany złowrogi cień. Odwzorowany w najdrobniejszych detalach, nawet z włoskami na odnóżach pysznił się na plecach Vogla, stanowiąc równocześnie świadectwo kunsztu jego twórcy. Wielkie jak pięść dorosłego mężczyzny karapaks i odwłok Rubens zakomponował na łopacie, dzięki czemu wydawały się jeszcze bardziej wypukłe. Ptasznik miał nawet refleksy światła we wszystkich parach oczu, a uniesione szczękoczułki i nogogłaszczki sprawiały wrażenie, jakby właśnie szykował się, żeby wejść swojemu żywicielowi na kark i dalej na głowę.

Kiedy Vogel napiął mięśnie grzbietu, pajak poruszył się na naciągniętej skórze, zdawało się, że na chwilę ożył, a on nagle poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Rzucił się do miski ustępowej i jego ciałem wstrząsnęły torsje. Gdy ustały, klęczał jeszcze przez chwilę pochylony nad muszlą i łapał oddech, mrugając gwałtownie, kiedy oczy zaczęła zasnuwać mgła wspomnień.

# RUBENS

Rubens garował ósemkę za wprowadzanie do obiegu fałszywych dolarów, zresztą podrabianych przez siebie. Miał prawie siedemdziesiątkę na karku, to była jego jedenasta odsiadka; w pierdłu spędził prawie połowę życia, zawsze zamykany za mniej więcej to samo. I nie żałował niczego.

- Byli lepsi, po prostu - filozofował po swojemu. - I złapali mnie, a może to ja dałem się im złapać. Ale jak wyjdę, Heniusz, to dalej będę robił to, co umiem najlepiej. Puszki mam zbierać czy ulice zamiatać? Kurwa, niedoczekanie... - Kręcił siwą głową, ale oczy mu błyszczały. - Dopóki wzrok pozwoli i palce!

Od razu znaleźli wspólny język. Uwielbiał słuchać historii Rubensa, bo tylko jego opowieści z życia były interesujące. O tym, jak podrabiał szkice znanych artystów, wciskał je antykwariuszom i desom po całej Polsce, a potem gryzł paznokcie, czekając na wyniki ekspertyz. Jak prał i odmaczał w jakichś miksturach banknoty jednodolarowe, żeby na oryginalnym papierze robić je od nowa, ale już jako setki. Przy nich opowieści Miszy o potyczkach z pogranicznikami, tygodniowych imprezach, rozbijaniu się furami i błędzeniu po lesie w okolicach Nowego Warpna z kilkudziesięciokilogramowymi plecakami z zawartością tyleż cenną, co nielegalną były jak bajki dla niegrzecznych dzieci. A Gliwa w ogóle nie miał nic ciekawego do powiedzenia.

Kiedyś w jednym z aresztów Rubens ozdobił malowidłami ściany więziennej kaplicy. Tak ją przyozdobił, że aż przyjeżdżali redaktorzy z zagranicznych czasopism o sztuce. Malował portrety naczelników wszystkich więzień, które zaliczył, a także ich żony, dzieci, psy i kochanki. Rysował kumpli spod celi i robił im tatuaże własnoręcznie

skonstruowanymi dziargalkami. Ta skonstruowana przez niego w Goleniowie zrobiona była z silniczka od jakiejś zabawki, obudowy długopisu i gitarowej struny; stanowiła przedmiot jego dumy. Nie przypominała tych prymitywnych maszynek, którymi co bardziej uzdolnieni plastycznie więźniowie kaleczyli swoich ziomali, tatuując im niezdarne cynkówki, pagony, herby zakładów karnych i tym podobne, przypominające naskalne malowidła pierwszych człowiekowatych. Rubens przemyślał sprawę i podszedł do zagadnienia po inżyniersku.

- Zobacz, Heniusz - objaśniał, pokazując mu maszynkę. - Tu się rozchodzi nie o to, żeby igła biła, tylko żeby równo i szybko biła, rozumiesz? Dlatego musiałem popracować nad tym cholernym silniczkiem. Nie z walkmana, tylko od porządnego samochodzika sterowanego radiem. Może nie wygląda to pięknie i nie jest zbyt wygodne, za to skuteczne, tak ci powiem. I nie ma jednej igły, tylko sześć, dlatego musiałem wziąć obudowę od wielokolorowego długopisu, bo jest większa, rozumiesz? Trochę ją spłaszczyłem na końcu i jest git. No i tusz, Heniusz. Żadne tam gówno z długopisu. Tusz to jest mój patent, nikomu go nie zdradzę.

Rubens dbał też o higienę. Jego niewielki i nielegalny zapas spirytusu do odkażania był bezpieczny. Każdy, kto by go tknął, narażał się na ciężkie pobicie, zlecone przez grypserów. Wiek, talent i bezcenne usługi, jakie Rubens świadczył za darmo osadzonym, czyniły go nietykalnym.

Lubił patrzeć, jak Rubens tatuuje więźniów. Układ z klawiszami był taki, że przyprowadzali więźniów z innych cel na sesje, które trwały zwykle parę godzin. Obserwował cały proces, ciesząc się ciszą, która zwykle wtedy panowała, i nawet brzęczenie silniczka mu nie przeszkadzało. Aż kiedyś przyszło mu do głowy, że jego też Rubens mógłby przyozdobić. Poprosił go o to któregoś dnia. Był już przygotowany.

- Chcesz? - zapytał go tamten zdziwiony, choć wyraźnie ucieszony. - Nie ma sprawy! Tylko ty mnie rozumiesz, Heniusz. Zrobię ci



najzajebistszy tatuaż pod słońcem, ale pod jednym warunkiem!

– Jakim?

– Obiecaj mi, że jak stąd wyjdiesz, to wrócisz na studia i je skończysz. Masz mi tu, kurwa, klęknąć i obiecać!

Śmiał się wtedy. Faktycznie klęknął i przysiągł Rubensowi, że wróci i że skończy.

– Co to ma być? – zapytał Rubens, kiedy on wstał już z kolan.

Sięgnął pod materac i wyciągnął spod niego niewielki plakat na kredowym papierze, który matka wydebiła na jego prośbę od jakiegoś hodowcy i dała mu na widzenie. Była cholernie zdziwiona, jeszcze bardziej niż poprzednim razem, kiedy poprosił ją o prospekt łodzi motorowych.

– No jasne, Heniuś! – Rubens klepnął się rozbawiony w czoło. – Ptasznik, kurwa, a cóż by innego! Kładź się!

– Już? Tak od razu?

– A na co chcesz czekać? Na amnestię?

Mieli dużo czasu dla siebie, bo siedzieli przecież w jednej celi. Mimo bólu, do którego i tak w końcu się przyzwyczaił, lubił te długie chwile, kiedy Rubens żmudnie cyzelował tatuaż, mimo że nie wiedział, jak wygląda. Ale ufał mu, przecież widział, jak pracuje.

– Wiesz, czemu oni wszyscy się tatuują? – zapytał pewnego dnia Rubens. – Czemu robią sobie te gówna na całym ciele? Nie dlatego, że to coś znaczy. To znaczy, to też, oczywiście, ale jest jeszcze jeden aspekt, z którego oni nie zdają sobie sprawy. Tak samo jak z grypsera. Tajny język, nie? Chują tam tajny, Heniuś, tak ci powiem. Połowa gadów rozumie grypsere, a przynajmniej na tyle, żeby się zorientować, o czym zbóje pierdola. Jak ja: nigdy nie grypsowałem, ale siedziałem tyle lat, że się normalnie osłuchałem. I gady też.

– To o co chodzi?

– No właśnie, Heniuś. Bo nie chodzi o to, co widoczne, tylko o to, co niewidoczne. Język i skóra to jedyne obszary wolności i swobody, jakie

tu mają, rozumiesz?

- Nie bardzo - przyznał, zresztą był nieco oszołomiony tym kluciem i nie chciało mu się myśleć.

- Kiedyś zrozumiesz - stwierdził Rubens po chwili zastanowienia. - Jeszcze parę sesji i będzie gotowy. Nie oglądaj go jeszcze ani nie pokazuj nikomu. Zobacysz i pokażesz dopiero, jak skończę. Posrają się, jak go zobaczą, ja ci to mówię. Normalnie narobią w gacie! Powinien długo trzymać i nie wyblaknie tak szybko, mówiłem ci, że atrament jest mojego patentu.

- Nie dostanę raka? - Przekreślił głowę, żeby spojrzeć na Rubensa.

- Sraka, Heniuś, nie pierdol. Mam przestać? No! Leż prosto. To jest dzieło mojego życia, tak ci powiem - stwierdził Rubens, ścierając gazą nadmiar tuszu. - Wiesz, kiedyś sprzedali mojego Gierymskiego na aukcji za koszarne pieniądze. Kiedy się o tym dowiedziałem, pękałem z dumy. Albo kiedy już po tym, jak mnie wsadzili tutaj, usłyszałem, że moją studolarówkę pokazali jakimś szychom z FBI i tego ichniego Departamentu Skarbu i tamci nie wierzyli, że to jest ręczna robota. Też mi się miło zrobiło, tak ci powiem.

- Wiem, Rubens, opowiadałeś nam setki razy.

- Ale to... Czegoś lepszego już nigdy nie zrobię. I to takim gównem...

- Rubens uniósł dziargalkę i poprawił okulary jej końcem. - To mój prezent dla ciebie, Heniuś, na trzydzieste urodziny.

- Skończysz, zanim wyjdę? - roześmiał się.

- Najwyżej dokończę na kimś innym! Miszka! - Rubens odwrócił się w stronę Miszy wyciągniętego na swojej pryczy. - Ty byś nie chciał?

Ten popatrzył na niego tylko tym swoim spojrzeniem bez wyrazu. Pamiętał ten jego wzrok, bo zerknął wtedy, ciekaw, jak zareaguje. Reakcja była typowa, czyli jej całkowity brak.

- Gdybyś był Żydem w latach czterdziestych, Pajączku, to poszedłbyś do gazu, a twoja skóra wisiałaby na ścianie u Himmlera w gabinecie - odezwał się nagle, nie zmieniając pozycji.

Rubens przerwał, wyłączył maszynkę i spojrział na niego krzywo.

– To nie było potrzebne, Misza – powiedział cicho. – Jestem Żydem z pochodzenia. Moi dziadkowie zginęli w Auschwitz.

– To nie moja wina, Rubens. – Misza mlasnął językiem, podłożył sobie ręce pod głowę i zagapił się na spód pryczy nad sobą.

Tatuaż był skończony tydzień później. Kiedy Rubens uznał, że postawił ostatnią kropkę, klepnął go w tyłek, a potem patrzył z szelmowskim uśmiechem, jak zakłada podkoszulkę, krzywiąc się lekko z bólu. Nie bolało mocno, ale było to upierdliwe.

– Jutro zdejmiesz opatrunek i go sobie obejrzysz w lusterku w całej krasie. A potem będziemy musieli zatkać nosy, tak ci powiem.

– Dlaczego?

– No bo się wszyscy zesrają, jak go zobaczą, nie pamiętasz? Spod przysznica będą na twój widok uciekać i wrzeszczeć jak baby, zobaczysz!

Następnego dnia miał dyżur w bibliotece, gdzie spędził kilka godzin. Kiedy klawisz odprowadził go do celi, z zaskoczeniem zauważył, że nie ma w niej Rubensa.

– Co jest? – zapytał. – Gdzie Rubens?

– W szpitalu – mruknął Misza.

Gliwa się nie odzywał: leżał na swojej pryczy odwrócony twarzą do ściany, chyba spał. Albo udawał.

– Jak to w szpitalu? – Rozejrzał się jeszcze, jakby miał nadzieję, że Rubens gdzieś tu jednak jest. – A co mu się stało?

– Złamał rękę. – Głos Miszy był obojętny.

– Gdzie?

– W kilku miejscach.

– Pytam, gdzie i jak?

– Nie wiem. Pewnie wypadek. Wypadki chodzą po ludziach, Pajęczku. Trzeba bardzo uważać. Bardzo.

Niedługo później okazało się, że wypadek nie był wypadkiem. To Misza połamał Rubensowi rękę. Taboretami. A on dowiedział się tego od Gliwy, który był świadkiem. Misza nawet nie kazał mu po wszystkim

milczeć. Po prostu ściągnął Rubensa z pryczy na podłogę, postawił nad nim taboret, klęknął, chwycił za prawe ramię i za pomocą zwykłej dźwigni złamał mu rękę gdzieś pomiędzy łokciem a nadgarstkiem. Potem jak gdyby nigdy nic położył się na koju, wziął gazetę, a kiedy zaalarmowany krzykiem i jękami Rubensa strażnik otworzył drzwi, oznajmił: kolega spadł z pryczy i chyba złamał sobie rękę, panie klawisz.

- Odjechało mu już totalnie - szeptał Gliwa w bibliotece, gdzie nazajutrz miał dyżur. - Po prostu wstał i mu to zrobił. Zawsze był pojebany, ale teraz to przesadził, co nie?

Od razu po rozmowie z Gliwą zgłosił, że źle się czuje i chce wrócić do celi. Nawet niczego nie podejrzewali, bo był chyba biały jak papier. Gdy trafił już na miejsce, a klawisz zamknął drzwi, odczekał chwilę, oddychając głęboko, a potem rzucił się na Miszę, który siedział przy stoliku i robił sobie herbatę. W telewizorze lecieli *Kiepscy*.

- Dlaczego, skurwysynu? Dlaczego? - Szarpał go za dres, czując, że zaraz się rozplacze.

Misza spokojnie chwycił go za nadgarstki i pociągnął, przybliżając swoją twarz do jego.

- Sam stwierdził, że to dzieło jego życia - powiedział bez cienia emocji w głosie. - Dałem mu pewność, że niczego lepszego nie zrobi. Wyluzuj, Pajączku, w sumie zrobiłem to dla ciebie.

Pomyślał, że się przesłyszał.

- Dla mnie, kurwa? - warknął, niemal z obłędem w oczach. - Dla mnie!? Odjechało ci?

- Do wesela się zagoi, będzie trochę sztywna i tyle. Będzie się szarpał lewą i chuj, co nie?

Misza nie wyglądał na przejętego. Jego oczy dalej były puste, bez poczucia winy czy strachu. Skurwysyn nie bał się nikogo, jego też nie, a on wiedział, ile mu zawdzięcza.

- Był nietykalny... - wyszeptał, puszczając ubranie Miszy.

- To ja decyduję, kto tu jest nietykalny, Pajączku. - Misza popukał się w pierś. - Ja i tylko ja. Rozumiesz? Pytam, czy rozumiesz?

Gałki i powieki były nieruchome jak u lalki, a on wtedy nie wytrzymał i zrobił jedyną chyba rzecz, jaką mógł zrobić. Zaczął wrzeszczeć mu prosto w twarz ciągłym, jednostajnym krzykiem. Trwał, póki starczyło mu tchu w piersiach. A potem ucichł, pełen poczucia bezsilności i rozpacz. Kopnął pryczę, zwał pięścią czajnik i zerwał suszące się dresy Gliwy. Kiedy wreszcie się uspokoił, usiadł na swojej pryczy i schował głowę w ramionach, nieświadomy, że Misza przygląda mu się w milczeniu, wciąż tym samym pustym spojrzeniem bez wyrazu. A potem przyszedł zwabiony hałasami wychowawca i zabrał go na rozmowę. Nie powiedział, co się stało. Milczał. Tylko to mógł zrobić.

Rubens nie wrócił do celi. Złamanie było otwarte i w ranę wdało się zakażenie, którego w więziennym szpitalu nie potraktowano zgodnie ze sztuką lekarską. Przeniesienie do szpitala wojewódzkiego nie pomogło, sepsa była piorunująca i Rubens zmarł na OIOM-ie sam jak palec.

Pająk ptasznik był nie tylko jego najlepszym dziełem, ale i ostatnim, jakie stworzył. A obdarowany nim człowiek nigdy nie dotrzymał obietnicy. Nie tylko nie ukończył studiów na wydziale historii sztuki, ale nawet nigdy nie próbował na nie wrócić.

## VANESA

Vogel obmył twarz z wymiocin, przebrał się, umył zęby i postanowił, że pojedzie do miasta. Potrzebował bodźców, żeby odciąć się od wszystkiego.

Teraz.

Natychmiast.

Opuścił vespę na nabrzeże i ruszył do centrum. Powłóczył się trochę bez celu po placach i ulicach, zjadł coś, a kiedy już zbliżał się wieczór, podjechał na postój taksówek, zaparkował skuter nieopodal i wsiadł do pierwszej taksówki.

- Dokąd? - Kierowca zerknął na niego przez ramię.

- Pan mnie zawiezie do jakiejś agencji towarzyskiej - rzucił obojętnie, patrząc w okno.

- Klub z chętnymi dziewczynami?

- Nie. Agencja. Nie chcę się bawić.

- Rozumiem. Szanowny pan chce sobie po prostu poruchać! - Kierowca zarechotał. - No to jedziemy!

Pojechali na Pogodno. Nie kojarzył tej uliczki, bywał tu za młodu rzadko, później w ogóle, kiedy sprowadzili się do Szczecina, zamieszkali na Kijewie, w prawobrzeżnej części. Kierowca zatrzymał się przed jednym z domów ukrytych za bujną zielenią.

- Proszę uprzejmie, jesteśmy na miejscu - zaanonsował. - Mały biały domek. Mam czekać?

- Tak. - Vogel dał mu stówę i otworzył drzwi.

- Przyjemności życzę... - Tym razem taksiarz był mniej wulgarny.

Otworzył furtkę. Nie spodziewał się, że na niej albo na elewacji będzie jakaś tabliczka informacyjna, ale przez chwilę poczuł się zagubiony. Dom był zwyczajny, wcale nie mały, wszystkie okna były pozasłaniane. Zadzwoił domofonem przy drzwiach, a kiedy brzęczyk obwieścił, że może wejść, pchnął je i zanurzył się w mroku korytarza. Niemal natychmiast zjawiała się pulchna, wyzywająco ubrana dziewczyna w okularach. Przywitała go jak starego znajomego, którego dawno nie widziała; tak dawno, że nawet nie pamięta jego imienia. Zapytała go o nie, on tylko przecząco pokręcił głową, a ona podała mu swoje, pewnie nieprawdziwe i tak wymyślne, że niemal natychmiast zapomniał, jak brzmiało. Wprowadziła go do środka, paplając coś po drodze, i nagle znaleźli się w zaskakująco przestronnej sali z barem i kanapami. Vogel domyślił się, że dom musiał być rozbudowany od tyłu. Wszystkie stołki przy barze były zajęte, z siedzisk zwieszały się długie nogi dziewczyn oplatające trzony hokerów, na niektórych swoje tyłki posadzili amatorzy cielesnych uciech.

- No to słucham cię, kochany. - Dziewczyna wyraźnie sondowała wyraz jego twarzy, zapewne chcąc stwierdzić, czy mu się podoba. - Wypowiedz życzenie.

- Chciałbym dziewczynę.

- Jasne, słoneczko, po to tu przyszedłeś. Godzinka, dwie?

- Godzina wystarczy.

- To będzie czterysta w szeleszczących banknotach. Jakies specjalne wymagania?

- Nie. Raczej mniej wymalowana, taka... - Przez chwilę nie mógł się zdecydować, jakiego słowa użyć. - Normalna. Bez plastiku, jestem uczulony.

Dziewczyna roześmiała się.

- W takim razie Vanesa powinna ci się spodobać. Poczekaj chwilę, sprawdzę, czy jest wolna. Może napijesz się czegoś przy barze?

- Prowadzę.

- Szkoda. A może chociaż postawisz mi szampana? - Wskazała za siebie, na bar.

- Nie lubię szampana.

- Ale ja lubię... - Popatrzyła na niego filuternie, a on udał, że tego nie widzi, omijając ją wzrokiem.

Podejrzewał, że mała butelecarka, jaką miała przed sobą niemal każda dziewczyna przy barze, kosztuje co najmniej pięć dych, jeśli nie więcej, a cały proceder miał na celu wyłącznie naciąganie klientów.

Dziewczyna zniknęła, zostawiając go samego. Stał pod ścianą, przyglądając się porozsiadanym na kanapach i stołkach mężczyznom o nalanych twarzach i wałkach tłuszczu wylewających się z fałdów drogich koszul. Ich miny świadczyły o pewności siebie i przekonaniu, że mimo niedostatków urody są dla przymilających się do nich dziewczyn wyjątkowo atrakcyjni. Któryś z nich spojrzał nagle na niego, odwracając się od baru, a on przez chwilę utrzymywał z nim kontakt wzrokowy, choć niezbyt długo. Potem zerknął w głąb korytarza, w którym zniknęła dziewczyna, i nagle zobaczył ją, razem z inną, dużo wyższą i nieco szczuplejszą.

Podeszły do niego. Ta pierwsza, wyraźnie obrażona, kiedy tylko oddała koleżankę w jego ręce i skasowała gotówkę, odwróciła się i poszła naciągać innych. Ta druga, na oko dwudziestoparoletnia, stanęła przed nim i spojrzała mu śmiało w twarz.

- Hej, jestem Vanesa. Przez jedno „s” - dodała po chwili, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. - A ty?

- A ja nie - odparł.

Kiedy zaskoczenie minęło, roześmiała się, robiąc na nim tym samym całkiem sympatyczne wrażenie.

- Uuu, Pan Tajemniczy... - Przyjęła pozę i zrobiła minę zaskoczonej nastolatki, brakowało tylko, żeby włożyła palec do ust i pociągnęła się za dolną wargę. - A co pan lubi? Czy to też jest tajemnica?

Poczuł nagle, że jest zmęczony, i przez chwilę pożałował, że tu przyjechał.



- Wiesz, Vanesa, bardzo cię przepraszam, bo jesteś miła i sympatyczna, ale nie chce mi się gadać.

Zmarszczyła brwi.

- Chcesz inną dziewczynę? - zapytała, ale nie wyglądała, jakby ją to dotknęło.

- Nie. Chcę ciebie. Tylko po prostu nic nie mów, dobra?

- Dobra... Jak sobie życzysz. Chodź. - Wzięła go za nadgarstek i poprowadziła gdzieś ciemnym korytarzem oświetlonym tylko różową poświatą ukrytych pod podwieszanym sufitem ledowych diod.

Minęli kilkoro jednakowych drzwi niezbyt oddalonych od siebie i po chwili weszli do niewielkiego pokoju, w którym stało tylko ogromne łóżko zasłane czerwoną kapą. Okno zasłonięte było storą w takim samym kolorze. Światło było przygaszone.

- Potrzebujesz jakichś zabawek? - zapytała.

- Nie.

- Okej. Rozbierz się, zaraz wrócę. - Uśmiechnęła się do niego i zniknęła za drzwiami.

Usiadł na skraju łóżka i zapadł się w miękkim materacu. Vanesa przyszła kilka minut później, już naga.

- A ty co, zaspasłeś? - zapytała z rozbawieniem, widząc, że wciąż jest ubrany.

Spojrzał na nią. Młode, opalone ciało wzbudziło w nim zachwyt, i to chyba nawet większy niż pożądanie. Dziewczyna zachowywała się naturalnie, jakby nagość nie budziła w niej żadnego skrępowania. Stanęła przed nim, piersi zakółsały się, a potem uniosły, kiedy założyła pod nimi ramiona i spojrzała na niego wyczekująco.

- No?

Wstał i zaczął się powoli rozbierać, przodem do niej, a ona tymczasem wskoczyła na łóżko, aż zatrzeszczały deski pod materacem. Ściągnął T-shirt i wciąż nie odwracając się plecami, zdjął spodenki oraz slipy i stanął przed Vanesą tak, jak go Pan Bóg stworzył.

Nic nie powiedziała, zajęta sobą. Po chwili zakręciła tubkę z nawilżaczem i dopiero wtedy na niego spojrzała.

- Ładniutki nawet jesteś - stwierdziła krótko i wyciągnęła w jego stronę rękę.

W palcach trzymała prezerwatywę. Wziął ją od niej, wszedł kolanami na łóżko i dotknął jej piersi. Były ciężkie i jędrne. Po chwili zatopił się w niej i kilka minut później było po wszystkim. Vanesa nie skomentowała. Obserwowała go przez cały czas i bardzo udanie udawała orgazm, ale Vogel uznał, że to po prostu element usługi, poza tym tak naprawdę nie po to tu przyszedł. To stało się samo, bo dziewczyna była atrakcyjna, a on bardzo dawno nie był z kobietą. Kiedy doszedł do siebie, położył ją na boku i przylgnął do niej w pozycji na łyżeczkę, obejmując ją od góry. Jedną rękę położył sobie pod głowę, a drugą dłonią objął jej pierś. To było miłe uczucie. I tego pragnął.

- Poleżmy chwilę, dobrze? - poprosił cicho, wtulając się w nią i zamykając oczy.

- Chciałbyś później jeszcze raz? - zapytała zaskakująco miękkim głosem, odwracając głowę w jego stronę.

Jej włosy załaskotały go w nos.

- Nie - odparł zdecydowanym tonem.

- Mamy jeszcze jakieś czterdzieści minut. Zdążymy, obiecuję.

Otworzył oczy i westchnął, nie wypuszczając jej z objęć.

- Miałaś nic nie mówić, pamiętasz?

Zamilkła wreszcie, a on ponownie zamknął oczy, podsunął się bliżej i słuchał jej oddechu, chłonąc jednocześnie ciepło i zapach jej ciała. Leżeli tak, dopóki nie rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Nikt nie próbował ich otworzyć, nikt nic nie mówił, to był po prostu sygnał. Tak działa każda fabryka: na czas. A czas to pieniądz.

Wypuścił Vanesę z objęć i wstał z łóżka, zanim ona się przekręciła w jego stronę.

- Nie miałbyś ochoty się ze mną umówić? - zapytała z lekkim uśmiechem, obserwując, jak wkłada slipy.

Ten uśmiech był bardzo nieśmiały, a w jej głosie dało się wyczuć wahanie. Nagle cała pewność siebie zniknęła i Vogel zorientował się, że dotyczy bardziej ciała niż duszy.

Nie odpowiedział, tylko odwrócił się do niej plecami, udając, że sięga po swój T-shirt, choć leżał blisko niego. W ciszy rozległ się świst powietrza, kiedy Vanesa gwałtownie wciągnęła je do płuc.

- Wyjeżdżam jutro, na bardzo długo - powiedział, nie odwracając się.

- Okej, tak tylko pytałam. - Tym razem usłyszał w jej głosie wyraźną ulgę. - Nie myśl, że pytam wszystkich.

- Nie myślę - zapewnił, wciągając szorty.

Kiedy skończył się ubierać, odwrócił się do Vanesy.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się najmilej, jak potrafił, choć dawno tego nie robił i nie wiedział, czy w ogóle pamięta, jak to się robi szczerze i bez udawania. - Naprawdę bardzo ci dziękuję.

Chyba zadziałało. Dziewczyna, wciąż siedząc na łóżku w pozie kopenhaskiej syrenki, odsunęła z twarzy kosmyk włosów.

- Jesteś... dziwny, wiesz? - Też się uśmiechnęła i przekrzywiła głowę, przyciskając ją do nagiego ramienia.

- Przez to? - Podniósł rękę i wskazał swoje plecy.

- Nie. - Pokręciła głową, a włosy zafalowały. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mi po wszystkim podziękował.

Coś go podkusiło. Klęknął na łóżku, złapał Vanesę za podbródek i pocałował mocno w policzek. Zostawił ją z otwartymi ze zdziwienia ustami i po prostu wyszedł. Taksówka czekała na ulicy. Nie odpowiedział na pytanie kierowcy, jak było, tylko kazał się odwieźć na ten sam postój, z którego wyruszyli niecałe dwie godziny wcześniej. Tam przesiadł się na vespe i już o zmroku wrócił na przystań. Skuter

zaparkował na kei obok łodzi, bo nie chciało mu się już go wciągać na pokład. Był naprawdę zmęczony.

Kiedy wszedł na łódź, do mesy, stwierdził nagle, że coś jest nie tak. Wyczuwał zapach, którego nie znał; lekko kwaśny, chemiczny. I słyszał dźwięk, którego nie powinien słyszeć. Nie na swojej łodzi. Mógłby pomyśleć, że zapach dochodzi z fabryki w Policach, ale wtedy nie słyszałby tego dźwięku.

To był czyjś chrapliwy oddech.

- Witaj, Pajączku. - Usłyszał nagle w ciemności. - Minęło trochę czasu, co?

Nie znał zapachu, znał za to ten głos.

Od chwili, w której Iwona uświadomiła mu, kim była martwa kobieta pływająca w pobliżu jego łodzi, sądził, że z jakichś nieznanых mu bliżej powodów przeszłość dobija się do drzwi jego życia.

A teraz miał już kurewską pewność, że rozwalila je w drzazgi, wlażła w nie buciarami i prędko z niego nie wyjdzie. I uosabiał ją on, żywe wcielenie diabła.

Misza.

## MISZA

Brama do świata, który znał, zamknęła się po południu osiemnastego stycznia dwa tysiące trzeciego roku. W nowym, którego nie znał, a którym miał być zakład karny w Goleniowie, miał spędzić najbliższe pięć lat. Pięć pierdolonych lat jego życia. Najlepszych. Plany runęły, przyszłość stała się czarną otchłanią. Przechodząc z więźniarki do budynku, wiedział, że czystego i bezkresnego nieba nad sobą nie zobaczy długo, bo będzie je widział w kadrze ciasnych murów spacerniaka, poszatowane płataniną rozpiętej nad nim drucianej siatki. Był już po areszcie, więc nie miał złudzeń, choć między więzieniem a aresztem była jedna, zasadnicza różnica. Tam mógł liczyć jeszcze na uniewinnienie, nawet karę w zawieszeniu. Tu już było pozamiatane. Dlatego chłonał ten błękit najdłużej jak się dało, aż funkcjonariusz służby więziennej musiał go lekko popchnąć, żeby poszedł dalej.

Na początku przeszedł ścieżkę, którą przechodzili wszyscy przed nim i będą przechodzić ci, którzy przyjdą po nim. Zawsze taką samą. Pomieszczenie transportowe, gdzie odebrano mu w depozyt wszystko to, co miał przy sobie, a co łączyło go z tamtym światem: zegarek, portfel. Ewidencję, gdzie sprawdzono jego tożsamość. Psycholog i jego przyszły wychowawca. Wszędzie papiery, deklaracje, tabele. Trwało to w sumie kilka godzin. Już samo zamknięcie w transportówce było szokiem: pomieszczenie o ścianach wymalowanych lśniąca farbą, spod której pod odpowiednim kątem widać było wypukłości zamalowywanych systematycznie liter wydrapanych w poprzednich warstwach: HWDP i tym podobnych. Okno z kratą i mleczną szybą wpuszczającą mdłe światło słońca. Prycza przytwierdzona do podłogi,

taki sam stolik i okienko zasłonięte roletą, przez które odbyła się procedura depozytu, kiedy ktoś wreszcie raczył ją uchylić. Późniejsza rozmowa z wychowawcą była jak odległe światelko w długim tunelu, ale przyszłość miała pokazać, że to tak naprawdę nie miało znaczenia: światelko było widać, ale nijak nie dało się do niego dojść. I to było jeszcze gorsze. Jak cukierek za szybą dla ubogiego dziecka. Jak zdjęcie ukochanej osoby, która odeszła.

- Nazywam się Marcin Andrzejewski, będę twoim wychowawcą - powiedział człowiek, który na najbliższe lata miał się stać jego jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. - Co jakiś czas trafiają tu tacy jak ty. Ofiary okoliczności. Ludzie, którzy nigdy nie powinni się tu znaleźć, bo wyjdą stąd tylko gorsi, a nie lepsi. Lepsi już byli. Znam twoją historię. - Położył dłoń na jego teczce, otwartej na uzasadnieniu wyroku. - I dlatego będę miał na ciebie oko. Będziesz tu na pewno słyszał i być może widział straszne rzeczy, ale nie daj się zepsuć. Nie wejdź w to bagno. Przetrwaj. Za jakiś czas trafisz do półotwórki, będziesz miał więcej luzu. Jeśli będziesz grzeczny, wyjdiesz pewnie trochę szybciej, i myślę, że warto o to grać. To moja dobra rada na początek. Nie mam innego wyjścia i muszę cię posadzić z jednym zbójem, ale dwaj pozostali w tej celi są w miarę przyzwoici. Tamten odsiaduje wyrok za zabójstwo, to gangus, chociaż trochę utemperowany. Drugi siedzi za rozbój i wygląda, że wyjdzie na ludzi, a trzeci jest przy nich aniołem. To fałszerz, recydywista, ma prawie siedemdziesiątkę na karku i jest całkiem sympatyczny. Nie mieszaj się w żaden syf, nie przystawaj do żadnej grupy, po prostu przetrwaj. Do rygoru i rozkładu dnia przywykniesz. Jesteś inteligentny, mamy tu bibliotekę i radiowęzeł, możesz się udzielać. Psycholog mówił mi, że jesteś wrażliwy, ale nie przydzieliliśmy ci statusu OZS, osoby zagrożonej samobójstwem. Jakby co, mamy tu kapelana, a w razie czego ja jestem do twojej dyspozycji, po prostu zgłoś się i pogadamy jak człowiek z człowiekiem. Nie lubię, jak ludzie, którymi się zajmuję, zostają moją porażką, wolę sukces. Bądź moim sukcesem, jeśli mogę cię prosić.

Pokiwał wtedy tylko głową i zapytał, czy to już wszystko, a potem trafił do swojej celi. Wciąż miał w głowie obraz, który ujrzał, kiedy stanął po raz pierwszy w jej drzwiach. Wrył się w pamięć na stałe, dołączając do kolekcji najbardziej wstrząsających obrazów, jakie widział od czasów dzieciństwa. Matka ojca, biała jak śnieg i z otwartymi ustami, wyprężona sztywno w łóżku, w którym w nocy zastała ją śmierć. Ciało motocyklisty, jego leżący kilka metrów dalej kask, w którym wciąż tkwiła głowa, i łącząca je oleista, czerwona smuga na asfalcie. E.T. w szafie, kiedy znajduje go tam matka Elliotta: jeden z największych strachów jego dzieciństwa. A teraz dołączył do nich widok niewielkiego pomieszczenia z zakratowanym oknem, o odrapanych ścianach, z metalowymi, piętrowymi pryzkami, pomiędzy którymi na rozpiętych sznurkach wisiały elementy garderoby. Elektryczny czajnik na parapacie. Kolekcja panienek Gliwy świecących golizną ze ściany nad jego pryzką. Sracz za niedomykającymi się i wypaczonymi drzwiami z październikowej płyty. Syf i smród, którego wrażenie nierozzerwalnie związało się z obrazem. Jego nowy dom. I ten człowiek: pierwsza osoba, na którą padł jego wzrok.

Na dolnej pryzcy po prawej leżał tęgawy mężczyzna. Miał zamknięte oczy, spod podwiniętej koszulki wystawał brzuch z wklęsłym pępkiem. Głowę miał opartą o założone pod nią ramiona. Krótkie, nastroszone włosy były koloru blond, choć wyglądały na niezbyt starannie utlenione. Wzrok przyciągał jednak naczyniak, który szpecił prawą skroń nad brwią. I wtedy mężczyzna jakby wyczuł, że ktoś na niego patrzy. Otworzył oczy, a jemu na moment zabrakło tchu. Nigdy wcześniej nie widział takich oczu. Błędnych, o pozornie beznamiętnym spojrzeniu, w którym było jednak coś, co budziło respekt, a może nawet strach. Zastanawiały tym brakiem wyrazu, a ich spojrzenie pozostawiało na moment pustkę w głowie.

Misza nie wstał z pryzcy, kiedy on niezgrabnie witał się z pozostałymi. Gliwa, ogolony na zero młody chłopak, sprawiał wrażenie obojętnego: przywitał się bez entuzjazmu i znów zaczął gapić

się w zaczytaną niemal na śmierć gazetkę motoryzacyjną. Rubens, chudy i żyłasty, za to energiczny staruszek z rzadkimi, białymi włosami szczesanymi mokrym grzebieniem na tył głowy wręcz się na niego rzucił, ściskając mu obie dłonie naraz, jakby cieszył się, że wreszcie będzie miał tu kogoś na poziomie. Polubili się od razu. A Misza nie powiedział nawet słowa, tylko znów zamknął oczy, wskazując po chwili pryczę nad sobą. Odczytał to jako jasny sygnał, a właściwie dwa. Jeden wskazywał, którą pryczę ma zająć, choć była tylko jedna wolna. Drugi był jeszcze jaśniejszy. Pokazywał, kto tu rządzi.

– On taki po prostu jest, Heniuś, nie przejmuj się – powiedział Rubens nazajutrz na pierwszym spacerze, kiedy szli ramię w ramię wzdłuż murów spacerniaka. Gliwa ćwiczył mięśnie brzucha na prymitywnym trenażerze, a Misza siedział pod ścianą, z twarzą skąpaną w plamie słonecznego światła: jej wąski prostokąt sięgał tylko w jeden narożnik. Trójka z innej celi trzymała się razem, paląc papierosy pod murem. – Ale trzymaj się od niego z daleka, na tyle, na ile się da. Bo to diabeł. Skurwysyn.

– Dlaczego mówią na niego Misza?

– Widziałeś, co ma na ryju? Jak Gorbaczow, tylko w innym miejscu. I jest trochę jak on: rządzi tu i wszyscy się go boją.

– A nie wygląda.

Rubens spojrzał na niego zezem.

– Osądzanie po pozorach to jest to, Heniuś, czego masz się tu pozbyć w pierwszej kolejności, tak ci powiem. Mówią, że on jest ciepły, rozumiesz?

– To znaczy?

– Lubi ptaszki. No, bawić się siusiakami.

– Homo? – szepnął zdziwiony do Rubensa. – I rządzi tu?

– Co ci przed chwilą mówiłem o pozorach? No dobra, nikt nie ma pewności, może lubi i chłopców, i dziewczynki, a chłopców używa z przymusu, jak wielu tutaj. Nikt do niego nie przychodzi na widzenia,



nikt nie przysyła paczek ani do niego nie pisze, on do nikogo też nie. A wszyscy tu się go boją.

- Gady też?

Rubens skrzywił się lekko.

- Nie przeszkadzają sobie wzajemnie. Pamiętaj, że oni wychodzą po robocie do domu, mają rodziny. A tam, na zewnątrz, wciąż są jego koledzy.

- Ci koledzy, którzy tak chętnie piszą i przysyłają paczki? - zapytał rozbawiony, popatrując na Miszę.

- Heniuś, kurwa... Chodź, nie patrz na niego.

- No tak, Rubens. Nie dziwi cię ta sprzeczność? A może to właśnie ty sądzisz po pozorach? I wszyscy, którzy trzęsą przed nim dupami?

- Obyś się nigdy nie przekonał, jaki on jest. Nie na własnej skórze, Heniuś.

Przekonał się dwa dni później, w łaźni. Stracił czujność. Wiedział, że nowi są zawsze obiektem czasowego zainteresowania, ale jak do tej pory przejawiało to się wyłącznie szybkimi spojrzeniami, którymi niektórzy skazańcy obrzucali go podczas rzadkich przejść pomiędzy różnymi miejscami zakładu karnego. Wysoki, dobrze zbudowany, z oczami, z których biła inteligencja; na tle zniszczonych życiem mężczyzn wyróżniał się tak bardzo, że wzbudzało to w nim uczucie niepokoju. Myślał nawet, czy nie ogolić się na tyso, ale matka by tego chyba nie przeżyła.

Kiedy tamtego dnia klawisz zaprowadził ich do łaźni, nie spodziewał się niczego. Stał pod prysznicem, usiłując zmyć z siebie niezmywalny smród celi. Stojąc nago pod gorącym, rzadkim strumieniem ciurkającym ze zdezelowanej słuchawki i szorując włosy, starał się nie myśleć o niczym, a na pewno nie o Miszy. Nagle poprzez szum wody usłyszał czyjś głos.

- Mamy tu dziewicę. Ładna, soczysta dupcia.

Odwrócił się zaskoczony, ścierając mydlaną pianę z twarzy. Stało przed nim dwóch gnojów, nagich, tak jak on. Mniejszy miał ogromny,

ciemny członek zwisający pod obwisłym brzuchem, był łysy i miał dziobatą twarz. Ten wyższy, dorównujący mu wzrostem, był umięśniony, jasną skórę znaczyły głupawe tatuaże, które wyglądały, jakby zrobił je uczeń pierwszej klasy liceum plastycznego, który dostał się tam wyłącznie dzięki protekcji, a nie zdolnościom.

Popatrzył im w oczy, oceniając swoje szanse. Nie były wielkie. Zerknął szybko na boki i zauważył, że wszyscy zniknęli spod natrysku, nawet Rubens. Klawisza też nie było, jakimś cudem byli tu we trójkę sami.

- Możesz wybrać, laleczko - powiedział ten mniejszy, chwytając się za genitalia. - Któremu obciągniesz najpierw?

Przelknął ślinę i przyjął postawę do walki, choć ramiona wciąż jeszcze zwisały swobodnie wzdłuż ciała.

- Właśnie wybrałem - oznajmił chrapliwie. - Najpierw wpierdołę tobie, potem twojemu koledze.

Wiedział, że sprawa nie skończy się tutaj, nawet jeśli ich położy. Konsekwencje będą długofalowe. Bo oni wrócą i będzie ich więcej, a on będzie miał również kłopoty innego rodzaju. Brak widzeń z matką, albo tylko przez szybę i wewnętrzny telefon, skasowane na jakiś czas paczki i inne szykany. I sam nie wiedział, co będzie gorsze.

- Zrobisz z połykiem, kurwo. - Ten z tatuażami zrobił krok naprzód. - I mnie, i jemu. Teraz. Klękaj.

Prawie wybuchnął śmiechem. Nie z rozbawienia, tylko z ogarniającej go paniki i bezradności. To była klasyka z głupich filmów, która stała się nagle jak najbardziej realnym koszmarem. I wtedy pojawił się Misza. Z ręcznikiem owiniętym wokół pasa stanął za gnojami i przejechał dłońmi po tlenionych włosach.

- Wypierdalać, dziewczynki - warknął i wtedy po raz pierwszy usłyszał, jak wypowiada więcej niż jedno słowo. Tamci odwrócili się jak na komendę. - Pajaczek jest mój. Jeśli któryś go tknie, obudzi się z własnym kutasem w ustach. Nie opłaca się, co nie? - Potoczył po nich martwym spojrzeniem wodnistych oczu.

Ten umięśniony uniósł rękę. Pod pachą miał niezdarne wytatuowane runy SS.

- Spoko, Misza, kurwa, po co te nerwy? - Jego głos stał się nagle wyższy. - Wszystko jasne, nie? Nie wiedzieliśmy.

- To teraz już wiecie. Myć grzecznie pizdy i do budy! - Pokazał gdzieś w bok.

Gnoje zmyli się jak niepyszni. Misza odprowadził ich wzrokiem, a potem znów odwrócił się w jego stronę.

- Witaj w rajku, Pajęczku - powiedział, obrzucając go przeciągłym spojrzeniem od stóp do głów, na dłużej zatrzymując je w okolicach pasa. W ten sposób miał się do niego zwracać już do końca. - Mniemam... Oszczędziłem ci porcji dodatkowego białka, co?

I tak właśnie z jakichś niezrozumiałych dla siebie względów trafił pod skrzydła Miszy. Przez cały czas, który spędzili razem w celi goleniowskiego zakładu karnego, nigdy go nie dotknął ani nie próbował niczego, co mogło sugerować, że faktycznie stał się dla niego obiektem seksualnej fascynacji.

Co nie oznaczało jednak, że Misza go w jakiś sposób nie zniszczył.

## NIEBEZPIECZNI LUDZIE

Vogel zapalił światło i mesę zalał żółtawy, mdły blask podsufitowych lampek. Misza siedział rozparty na jednej z koi, nogi trzymał na rozkładanym stoliku na środku. Miał na sobie jakiś dziwny płaszcz, a na stopach zniszczone buty. Cały wyglądał na zniszczonego życiem. Wychudł i postarzał się, na twarzy pojawiły się brzydkie znamiona. To zupełnie naturalne, że dotknął go upływ czasu, widzieli się ostatni raz ponad piętnaście lat temu, jednak Misza wyglądał naprawdę źle. Naczyniak nad brwią pociemniał, tak samo jak skóra pod oczami, włosy się przerzedziły, fałdy skóry niegdyś pulchnej twarzy zwisały po jej bokach, pojawiły się zmarszczki. Tylko oczy zostały takie same. Blade, puste i złe.

– Zmężniałeś. – Drapieżny uśmiech odsłonił pożółkłe zęby, na górze brakowało trójki. – Wreszcie wyglądasz jak mężczyzna, a nie chłoptaş.

– Jak mnie znalazłeś? I zdejmij nogi ze stolika.

– Prospekt, Pajączku. Twoje marzenie z celi. – Nogi Miszy zostały tam, gdzie były. – Każdy z nas tam o czymś marzył, pamiętasz? O dupach, o hajsie, o dobrym żarcu, o półlitrze, o strzale w żyłę. O pierdołach. Takie krótkotrwałe i szybkie marzenia, a wszystkie jednakowo nierealne w tamtych warunkach. Na zewnątrz zresztą też, przynajmniej dla większości. A ty miałeś marzenie o czymś pięknym i wielkim. O swojej własnej łodzi. I spełniłeś je...

Vogel zagryzł wargę. Pamiętał. Gapił się w to zdjęcie godzinami. Rozkładówka z holenderskiego prospektu prezentującego stalowe łodzie motorowe, który przyniosła mu matka, kiedy ją o to poprosił przez telefon. Wszyscy mieli na ścianach inne rozkładówki, a on miał łódź. Oni gapiłi się na włochate krocza kościstych dziewczyn

o pospolitych rysach twarzy wyrwane ze środka najtańszych, polskich świerszczyków, a on wyobrażał sobie, jak nazwie kiedyś swój nowy dom i dokąd nim popłynie.

- Od dawna zastanawiałem się, czy faktycznie spełniłeś swoje marzenie, Pajączku, wiesz? I to była pierwsza rzecz, jaką sprawdziliśmy, szukając cię. Wystarczyło zajrzeć w rejestr, a potem pojeździć po przystaniach w okolicy.

- Zajrzeć? My?

- Tak, zajrzeć. My. Na szczęście zarejestrowałeś łódkę w Polsce, a nie w Szkopowni.

- I szkoda, że tak zrobiłem.

- Za późno na żale: trafiony, zatopiony. - Misza poprawił się na kanapie, podrapał w policzek i rozejrzał po wnętrzu mesy. - Tam też byśmy to sprawdzili. Nie zapytasz, co u mnie słyhać?

- Gównu mnie obchodzi, co u ciebie słyhać. Powiedz, czego chcesz, i wypierdalaj z mojej łodzi.

- Nieładnie mnie przyjmujesz...

- Włamałeś się do mnie. Mógłbym cię... - Urwał nagle.

- Serio, Pajączku? - Misza roześmiał się nieprzyjemnie. - I pewnie powiesz jeszcze, że każdy sąd by cię uniewinnił, co? Daj spokój. Musimy pogadać.

- Nie chcę z tobą gadać. Nie mam o czym.

- Nie przyszedłbym bez powodu. Pierdolenie o starych czasach też mnie nie interesuje. Jest sprawa. Poważna sprawa. Dasz mi szklanek wody?

- Nie.

- Pytam poważnie. Naprawdę chce mi się pić. Siedzę tu już trochę czasu.

- Trzeba było sobie nalać.

- Potrzebuję łyk wody, Pajączku.

Misza powiedział to jakoś inaczej. Ledwo skrywana kpina, którą było słycać w niemal każdym jego słowie, zniknęła. Vogel wzruszył ramionami i poszedł do kambuza nalać wody do szklanki, której zwykle używał do mycia zębów. Była czysta. Nalał pół, wrócił do mesy i podał ją Miszy, unikając kontaktu z jego ręką. Ten wziął ją od niego, zdejmując wreszcie nogi ze stolika.

– Nie z rzeki? – zapytał podejrzliwie.

– Nie – odparł obojętnie. – Ze zbiornika. Też ją piję.

– Wiesz, muszę o siebie dbać. Zdrowie już nie to.

Misza wznosił szklankę jak do toastu, popatrzył mu w oczy i wychylił ją jednym haustem, jak doświadczony alkoholik setkę wódki. Odstawił szklankę na stolik i otarł usta.

– Jak już mówiłem, Pajączku, jest sprawa... Nie usiądziesz?

– Usiądę, jak skończysz i sobie pójdziesz. Nie mam kasy, nie mam miejsca na przechowanie cię, zresztą jutro wypływam do Niemiec. Jeśli przyszedłeś po którąś z tych dwóch rzeczy, nie wysilaj się. Żegnaj.

– Przyszedłem w sprawie twojego ojca.

Słowa jeszcze przez chwilę rezonowały w umyśle Vogla.

– Nie mam z nim nic wspólnego – rzucił zimno, kiedy już pozbiierał myśli. – Mówiłem ci to już w Goleniowie i od tamtej pory nic się nie zmieniło. Nic, rozumiesz?

– Owszem, zmieniło. – Misza pokiwał z przekonaniem głową i założył nogę na nogę, a ramię położył na oparcie kanapy, odwracając się bokiem. – Twój tatuś opuścił ten świat, prawda? I to podobno z hukiem.

– No i co z tego? To tym bardziej. Nie grozi mi już rozmyślenie się i pogodzenie z nim.

– To prawda. Tylko że widzisz, są ludzie, którym jego śmierć jest trochę nie na rękę.

– Oni też mnie nie obchodzą – przerwał mu.

Misza wyprostował się, wbił w niego wzrok i wyciągnął palec wskazujący w jego kierunku.

- Pozwolisz mi teraz dokończyć, Pajączku, i nie odezwiesz się, kurwa, słowem, dopóki ci nie pozwolę, czy to jest dla ciebie jasne? - wycedził.

Twarz Miszy stężała w dziwnym grymasie, a w mesie zrobiło się nagle lodowato. Vogel zacisnął usta. Mógł coś odpowiedzieć, odpowiednie słowa nawet się mu cisnęły. Mógł sprzedać mu strzałę i wynieść na brzeg, poczekać, aż się ocknie, i odpłynąć w siną dal, zanim się pozbiera z ziemi. Mógł... No właśnie nic nie mógł. Siedział przed nim człowiek po sześćdziesiątce, ale nagle ten starszy, sterany życiem pan na jego oczach i w ułamku sekundy zmienił się w tego dawnego Miszę, który trząsł zakładem karnym w Goleniowie i mógł tam niemal wszystko. W sposób, którego Vogel nigdy nie pojął, ten człowiek miał władzę nad każdym z nich. Teraz też miał władzę. Nad nim. Piętnaście lat później, na jego własnej łodzi. To, co się przed chwilą stało, uświadomiło mu dobitnie, że człowiek w końcu wyjdzie z więzienia, ale więzienie nigdy nie wychodzi z człowieka. Tkwi w nim do śmierci. I Misza też miał w nim tkwić do końca życia, jak pedofil czy kidnaper tkwi bolesną raną w duszy każdego dziecka, a ta rana nigdy się nie zabliznia.

Misza oklapł na kanapie. Jego twarz była już normalna. Oczywiście też. Nienormalnie normalne.

- Są ludzie, Pajączku, którzy nie lubią zostawiać pewnych spraw niedokończonych. - Podjął wątek, jak gdyby nigdy nic. - Bardzo niebezpieczni ludzie mówiący z obcym akcentem. Śmierć twojego ojca niewątpliwie pozostawiła trochę spraw rozbabranych. I o ile czasem można się pogodzić z nieuniknionymi rzeczami, takimi jak śmierć współnika i śmierć w ogóle, o tyle w naszym przypadku pojawiają się pewne wątpliwości. Otóż ci ludzie nie wierzą, że twój ojciec nie żyje. W dodatku wisi im grubą forszę. Chcesz coś powiedzieć, tak?

- Tak.

- Słucham.

- Mówisz o tych samych ludziach, którzy podłożyli bombę w jego śmigłowcu?

Misza uśmiechnął się lekko.

- To chyba się wyklucza?

- Podobno handlował bronią?

- Skąd masz te informacje?

- Nieważne.

- Pytam: skąd?

- Przesłuchiwała mnie policja. Nie byli zbyt wylewni, ale pytali, czy mam wiedzę o jego interesach w tym kontekście.

- Rozumiem. Co im powiedziałaś?

- A jak myślisz? Co mogłem im powiedzieć?

- No, tak. Tylko widzisz, Pajączku, twoja teoria, że pozbyli się go wspólnicy, jest trochę chybiona, właśnie z tego powodu, że ta śmierć nieco pokrzyżowała im plany. Nie obcina się głów kurom znoszącym złote jaja. Tylko idioci tak robią, a oni nie są idiotami. Stanowczo nie są.

- Co ty masz z tym wspólnego?

- Wynajęli mnie, żebym potwierdził ich podejrzenia. Albo udowodnił, że są jednak w błędzie, bo taka możliwość też oczywiście istnieje. I oni się z tym liczą, choć są raczej pewni tej pierwszej opcji.

- Wynajęli... Takiego kogoś jak ty?

- Tak, wyobraź sobie, takiego kogoś jak ja. A ja przyszedłem z kolei do ciebie, zresztą od tego kazali mi zacząć. Przyszedłem po pomoc, Pajączku. Nie muszę chyba dodawać, że nie akceptuję odmowy. Oni jej nie zaakceptują.

- Nie przyjmę spadku po nim, jeśli o to ci chodzi. Mogą sobie przejąć wszystko, co po nim zostało, ale bez mojego udziału. Mam to głęboko w dupie.

- Żle mnie zrozumiałaś. Masz mi pomóc dowiedzieć się, co się z nim naprawdę stało.



- Jak mam to niby zrobić?

- Nie wiem. Wiem tylko, że nie jesteś głupi, więc powinieneś sobie poradzić. Rozejrzyj się, popytaj, podraż.

- Pojechało cię? Kogo mam pytać?

- Wszystkich, którzy są w to zaangażowani. Policję, prokuraturę, generalnie śledczych, może dziennikarzy... W końcu jesteś synem ofiary, więc to rozumiały, że chcesz poznać wszystkie okoliczności śmierci ukochanego tatusia.

- Chciałeś być zabawny? To ci, kurwa, jednak nie za bardzo wyszło.

- Ja nigdy nie chcę być zabawny i nigdy nie jestem. A ty masz zrobić wszystko, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o okolicznościach jego śmierci, a jeśli była sfingowana, to masz go wytropić, rozumiesz?

Vogel pokręcił głową i roześmiał się niepewnie.

- To ty chyba czegoś nie rozumiesz. Oni też nie, dlatego może im to wytłumacz. Jestem trampem, Misza. Jestem żyjącym z dala od świata byłym więźniem i nie mam z tym światem nic wspólnego. I nie chcę mieć. A ty mi każesz dotykać spraw, na których się kompletnie nie znam!

- To się poznasz. Poza tym oni doskonale wiedzą, kim jesteś i jak żyjesz. I dla nich nie jesteś trampem, tylko przede wszystkim synem Zenona Ptasznika. Współpracuj, Pajączku, tyle ci mogę doradzić, zresztą trochę we własnym interesie. Współpracuj, bo inaczej przyjdą po ciebie. Jak myślisz, dlaczego ta Matysiak pływała akurat obok twojej łodzi?

Poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

- Skąd o tym wiesz? - wydusił przez ściśnięte gardło.

- Jak to skąd? Od nich. Mówiłem ci, że są niebezpieczni. Dużo wiedzą, dużo mogą i mają długie ręce.

Poczuł, że traci grunt pod nogami, i wiedział też, że Misza faktycznie musiał dowiedzieć się tego od tych ludzi, kimkolwiek byli. W końcu wspomniał, że mógł zarejestrować „Worśę” w Niemczech. I owszem, ale

zrobił to jednak tutaj, tyle że jako Heinrich Vogel. A kiedy ostatni raz widział się z Miszą w Goleniowie, nosił jeszcze nazwisko Ptasznik i nawet wtedy nie planował, że je kiedykolwiek zmieni.

– Dlaczego ją zabili? – zapytał.

– Nie wiem, choć mogę się domyślać, w końcu blisko współpracowała z twoim ojcem. Pewnie dużo wiedziała, choć niekoniecznie to, czego chcieli. Oni nie mówią mi wszystkiego. Jestem tylko szperaczem, Pajączku. Szperaczem do wynajęcia. Szperam sobie w życiu twojego ojca, żeby sprawdzić, czy nie wykręcił im jakiegoś brzydkiego numeru.

– Dlaczego to robisz?

– A dlaczego nie? Z czego trzeba żyć, prawda? Nie każdy dostaje spadek po matce.

– O tym też ci powiedzieli?

Misza rozłożył tylko ramiona.

– Ale dlaczego wybrali ciebie?

– Bo byłem akurat wolny i jestem dobry w tej robocie.

– Pierdolisz.

– No to pomyśl sam. Użyj tego... – Popukał się w skroń, tę z naczyniakiem. – Przecież przyszedłem, bo wiem, że potrafisz używać głowy.

– Nie chce mi się – wycedził.

– Rozumiem, jest wieczór, jesteś zmęczony ruchankiem...

– Ty skurwysynu! – Prawie się na niego rzucił. – Śledziłeś mnie!

– No już, dobrze, dobrze. – Misza uniósł dłonie, jakby chciał się przed nim bronić, choć pewnie doskonale wiedział, że to całkowicie zbędny ruch. – Oczywiście, że cię śledziłem. Ale nie podglądałem, żeby nie było. Jak tylko wszedłeś do środka, przyjechałem tutaj. A poważnie: dlaczego wzięli mnie? Bo znałem cię z dawnych czasów, Pajączku, przecież to oczywiste.

– Skąd wiedzieli, że kiblowaliśmy razem? Kim oni są? – Zaciśnął bezsilnie pięści.

– Już wystarczy. Za dużo pytań. To niezdrowe, a ty już wiesz tyle, ile było konieczne. – Wstał niezgrabnie z kanapy i Vogel znów uświadomił sobie, że Misza jest stary ze wszystkimi tego konsekwencjami. – Będę leciał, Pajączku, też jestem zmęczony. Dzięki za gościnę. Będę wpadał, i to raczej częściej niż rzadziej, żeby sprawdzić, co słychać w naszej sprawie, więc tę podróż do Niemiec odłóż sobie na później. I doradzam ci pośpiech. Nie mają dużo czasu. Zwłoka grozi poważnymi konsekwencjami i dlatego potraktuj to serio. I jeszcze jedno: nie uciekaj. To ci nic nie da, znajdą cię w końcu, prędzej czy później. Będziesz tylko dłużej i boleśniej umierał. Wierz mi, wiem, na co ich stać.

– Możemy się spotykać gdzieś na mieście. – Popatrzył na Miszę spode łba. – Nie musisz tu przyjeżdżać.

Misza rozejrzał się po mesie.

– Może i nie muszę, ale chcę. Tu jest całkiem sympatycznie. A powiedz, Pajączku, jak się żegnają żeglarze?

– To nie jest żaglówka.

– Więc jak się żegnają właściciele takich łodzi jak twoja?

Vogel w milczeniu wysunął środkowy palec, podstawiając mu go niemal pod sam nos.

– O, tak – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Misza skrzywił twarz w wątlym uśmiechu.

– Kiedyś przegniesz, Pajączku – ostrzegł go z lekkim rozbawieniem.

– Na razie jestem ci potrzebny – odparował.

– Dlatego masz jeszcze ten palec w całości.

– No tak, w końcu jesteś specjalistą od złamań, co?

Zmrużone powieki zasłoniły na chwilę blade oczy.

– I pamiętaj o tym. Zawsze. – Rozbawienie w głosie zniknęło. – Dzięki za gościnę i za wodę. Była przepyszna, w życiu lepszej nie piłem.

Kiedy Misza wyszedł, jeszcze przez chwilę łódź kotłowała się lekko na wodzie. Vogel odczekał jakiś czas. Gdy doszedł go trzask zamykanych drzwi samochodu i odgłos uruchamianego silnika, ruszył na górę. Stał na rufie, oparł się ręką o jeden z żurawi i wbił wzrok przed siebie. Lampy na brzegu rzuciły żółte placki światła na trawę, ale parking za ogrodzeniem spowijał mrok. Pomiędzy liśćmi samosiejek mignęły mu czerwone punkty tylnych lamp. Wrócił na dół, wziął ze stołu szklanę, z której pił Misza, i przeszedł z nią do kambuza. Tam umył ją dokładnie w zlewie, a potem uniósł głowę i zapatrzył się w wąskie, poziome okienko przed sobą. Za szybą była ciemność, więc zobaczył w szkle tylko odbicie swojej twarzy. Wpatrywał się w nią przez chwilę, zastanawiając się, co teraz.

Od lat żył w pojedynkę, ale jego życie było spokojne. Teraz przestało takie być i potrzebował kogoś, bo był świadomy, że nie przejdzie przez to sam.

Nie, kiedy obok był Misza.

Spojrzał na szklanę, a potem otworzył niewielki pojemnik na odpadki pod zlewem i wyrzucił ją tam.

## NA CELOWNIKU

- Dzień dobry, chciałem się skontaktować z panią Iwoną Banach. Pracuje u was.

- W jakiej sprawie?

- Jestem jej kolegą z przystani. Będzie wiedziała, w jakiej sprawie.

- Proszę zostawić swój numer telefonu.

- Ona ma mój numer. Niech pan jej po prostu przekazuje, żeby się jak najszybciej ze mną skontaktowała.

- Pana nazwisko?

- Kolega z przystani - powiedział po chwili. - Do widzenia.

Rozłączając się, żałował, że nie wziął numeru do niej. Nie bał się, że dyżurny po dziwnym telefonie rozpocznie procedurę identyfikacji numeru i zaczną go szukać. Taki telefon nie był zapewne niczym niezwykłym, a on nie lubił po prostu bez wyraźnej potrzeby ujawniać swojego nazwiska. Im mniej osób je słyszy, tym lepiej. Zwłaszcza teraz. Ostrożność weszła mu w krew w Goleniowie i wiedział, że już zostanie w jego żyłach, dopóki ta nie przestanie krążyć.

Iwona zadzwoniła do niego o czternastej i powiedziała, że będzie po pracy.

Około szesnastej nadeszła burza. Vogel wiedział, że przyjdzie: sprawdził, czy wszystkie szybki na łodzi są porządnie zamknięte i czy plandeka na wespie jest dobrze zamocowana. Na wodzie i na przystani zrobił się tłok, łodzie wracały z rzeki i zalewu, ich właściciele gorączkowo mocowali cumy na słupkach i zapinali plandeki chroniące motorówki bez kabin. Potem nagle przyszedł wiatr, który zaczął kłaść szczyty koron okolicznych drzew, szarpać gałęziami, a na wodzie pojawiły się pierwsze okręgi od ciężkich, zimnych kropel spadających

z łożonych chmur. Iwona przyjechała, kiedy już padało i zaczęło porządnie grzmieć i błyskać. Widział, jak biegnie od parkingu, skulona, z kurtką naciągniętą na głowę. Wpadła do mesy zdyszana i mokra.

- Co się stało? - zapytała, próbując ułożyć jakoś zmierzwiłone włosy.

Wielkie krople uderzały głucho w pokłady i dach nadbudówki, co jakiś czas błyskało i rozlegało się dudnienie. Stolik w mesie był rozłożony, na nim stały dwie herbaty. Vogel dotknął uszka swojego kubka, ale nie podniósł go, tylko głaskał jego gładką powierzchnię opuszką.

- Przyszedł do mnie ktoś - powiedział cicho.

- Kto?

- Demon przeszłości. Człowiek, z którym siedziałem w jednej celi. Nazywali go Misza. Odsiadywał piętnaście lat za zabójstwo, był gangusem, przemytnikiem i skurwysynem. Złym do szpiku kości. Bezlitosnym i bezkarnym.

- Dlaczego Misza?

Wyjaśnił jej. Pokiwała w zadumie głową i zapytała:

- Po co przyszedł? I jak cię znalazł?

- Po numerach rejestracyjnych łodzi.

- To sobie można ot tak sprawdzić?

- Istnieje taki rejestr dostępny w sieci prowadzony przez Ministerstwo Finansów, choć nie wszystko w nim jest. Ale on sprawdził. On i ludzie, którzy go przysłali. Chronił mnie w więzieniu. Z jakichś przyczyn upatrzył mnie sobie wtedy i wziął pod swoje skrzydła. Byłem dzięki niemu nietykalny, rozumiesz? Chyba tylko dzięki niemu przetrwałem to, bo nikt nie miał prawa mnie tknąć. Złamać.

- Przyszedł, żebyś spłacił dług?

- I tak, i nie.

Zamilkł, a Iwona czekała. Upił łyk herbaty, ale niewielki, jakby potrzebował tylko odrobiny płynu, żeby zwilżyć usta i język.

– Szuka mojego ojca – powiedział, odstawiając kubek na stolik. – Szuka go na polecenie ludzi, którzy go w tym celu zatrudnili.

– Przecież... – Iwona wyprostowała się gwałtownie i nie dokończyła.

Domyśliła się, co chce powiedzieć, a on po chwili potwierdził jej domysły.

– Oni nie wierzą, że to ojciec zginął w zamachu. Podobno był winny jakimś ludziom sporo pieniędzy. Uważają, że to, co się stało, jest bardzo wygodne. Podejrzanie wygodne.

– Co to za ludzie? – zapytała Iwona, kiedy już ochłonęła.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami, nie patrząc na nią.

– Groził ci? Ten Misza?

– Mi? – Pokręcił głową. – Nie wprost. Nie mówił, że mnie osobiście zabije, ani nic takiego. Wspomniał tylko, że tamci ludzie są bardzo niebezpieczni i wpływowi. I że mnie znajdują, jeśli nie zrobię tego, co mi każą. I że ucieczka nie ma sensu. Też mnie znajdują. Tylko będę dłużej umierał, tak się wyraził. Wyglądał przy tym, jakby wiedział, o czym mówi.

– Masz na to jakieś dowody?

– Jakie dowody?

Iwona zrobiła sceptyczną minę.

– Przychodzi do ciebie z ulicy facet, nawet jeśli jest twoim dawnym znajomym z celi, i mówi ci, że masz dowiedzieć się, co naprawdę stało się z twoim ojcem, inaczej jacyś tajemniczy ludzie cię zabiją. A ty mu wierzysz. Sorry, ale to trochę naiwne.

Spojrzał na nią z lekką kpina.

– Dowód pływał obok mojej łodzi, Iwona, już nie pamiętasz? On o tym wiedział. Wiedział o Monice i twierdził, że to tamci za tym stoją. Nie muszę mieć innych dowodów, a tak naprawdę nie potrzebuję ani jednego. Ja Miszę po prostu znam.

– To było... Piętnaście lat temu?

– Tacy ludzie się nie zmieniają. Ludzie mogą się zmienić tylko na gorsze, a w jego przypadku gorzej być nie mogło. To diabeł. Krzywdzi bez zmrużenia oka, bez śladu emocji. Psychopata. Wcielenie zła.

Iwona spojrzała na niego uważnie.

– Ty wciąż jesteś pod jego wpływem, wiesz? – stwierdziła po chwili.

– Wiem. – Przyznał i opuścił głowę.

Przez chwilę oboje słuchali dudnienia deszczu, a potem Vogel spojrział w okno, po którym spływały ciężkie krople.

– Nie jesteś w stanie tego pojąć – powiedział cicho. – Tej relacji, która łączy ludzi siedzących w jednej celi. Jest bardziej skomplikowana niż relacja rodzica z dzieckiem. Jest... – Rozłożył ramiona, nie mogąc znaleźć określenia. – Chora. Poznajesz człowieka na wylot, wiesz, że jest skurwielem, że na ulicy szkoda by ci było nawet śliny, żeby splunąć w jego kierunku. Ale tam, za murem... Żyjecie ze sobą na tych paru metrach kwadratowych. On cię chroni, a jednocześnie katuje psychicznie samym sobą. Nie masz oddechu, chwili odpoczynku, wiesz, że jeśli nawet jesteś gdzieś indziej, tak jak ja byłem w bibliotece, to będziesz musiała tam wrócić i patrzeć w te jego zimne oczy, słuchać jego pierdolenia i wachać jego smród. Nie da się żyć z nim, ale i bez niego też nie. Ucieczka nie ma sensu. Nie da się od tego uciec. Nie potrafię. Ani od niego, ani od ojca. Myślałem, że kiedy zerwałem z ojcem kontakt te kilkanaście lat temu, to się od niego uwolniłem. Ale myliłem się. Nie da się zerwać tych więzów. Nawet nie więzów krwi, tylko po prostu więzów.

– Ale są granice, Heinrich.

– Nie ma! – Powiedział to gwałtownie, oczy rozszerzyły mu się, jakby zobaczył coś, co nim wstrząsnęło. – W moim przypadku wszystkie zostały przekroczone tam, w Goleniowie. Nie mam wyjścia. Muszę mu pomóc, żeby pomóc sobie. I dlatego proszę o pomoc ciebie, bo sam po prostu nie dam rady.

– Jestem policjantką. To, o co mnie prosisz, jest... Niestosowne. I nieakceptowalne. Właśnie dostałam od ciebie podejrzanego



o zabójstwo tej kobiety. Powinnam natychmiast ustalić, kim jest, i zwinąć go.

- Skażesz mnie tym na śmierć. Tamci będą sądzić, że to ja go wystawiłem, i zemszczą się. Tego chcesz?

Milczała. A on czekał.

- Nigdy nie zламаłaś jakichś durnych przepisów dla dobra sprawy? - zapytał w końcu, przerywając ciszę. - Nie wybrałaś mniejszego zła?

Jej twarz stężała w dziwnym grymasie, jak wtedy, podczas rejsu do Stepnicy, gdy zaraz potem popłakała się. Ale tym razem jej wzrok był twardy.

- Mamy wspólny cel - tłumaczył jej dalej. - Oboje chcemy dowiedzieć się, czy ojciec żyje. Mamy tylko różne drogi do tego celu.

- Wcale nie. Moim celem jest znalezienie dowodów na to, że twój nieżyjący ojciec handlował bronią z krajami objętymi embargiem na jej dostawy. A twoim wskazanie go żywego jęgo wierzycielom.

- Ale to, czy faktycznie żyje, zmienia nieco optykę, prawda? Jego śmierć nie zamyka twojej sprawy, bo została jęgo firma i ludzie, z którymi robił interesy. Ich też chcecie dorwać. Ale jeśli jednak żyje, to całkowicie zmienia postać rzeczy. A ja chcę odzyskać spokój i bezpieczeństwo. Dlatego Misza musi być wolny, a ja muszę ustalić, czy jęgo... Czy ich podejrzenia są słuszne. Chociaż nie mam nawet pojęcia, jak się do tego zabrać. A ty jesteś moją szansą.

- On nie żyje. Zginął, rozumiesz? Badania genetyczne to potwierdziły. Nie ma niczego, co wskazuje na to, że było inaczej. Nie wiesz tego, ale twój ojciec na kilka tygodni przed śmiercią przeżył nieudany zamach. Ktoś strzelał do niego na ulicy, jednak nie trafił go. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zintensyfikował działania na terenie Niemiec. Miał tam jakiegoś partnera, dużęgo gracza na rynku handlu bronią. Legalnego handlu, ale gdzieś w tym potoku były małe strumienie, które płynęły w inną stronę: na wschód. Miał umowę z Bundeswehrą: wynajmował niewielką część kompleksu wojskowego na poligonie między Eggesin i Torgelow. To niewielkie miasteczka

kilkanaście kilometrów od granicy. Twój ojciec w porozumieniu ze swoim współnikiem korzystał z ich infrastruktury, oczywiście legalnie, ale podobno szkolił tam nie tylko funkcjonariuszy różnych służb, ale także wagnerowców, najemników i Afrykanów z krajów objętych sankcjami ONZ. Z jakichś powodów współpracy odmówiło mu nasze wojsko i kilka prywatnych, polskich ośrodków szkolących nasze służby. To właśnie tam leciał swoim śmigłowcem w dniu zamachu. I zginął w nim. Po prostu.

- Zginął albo nie zginął.

- Ale ty jesteś uparty. Słuchałeś, co mówiłam o badaniach?

- Badania zawsze można sfalszować.

- Przeprowadza je zakład medycyny sądowej. Jak sobie wyobrażasz sfalszowanie badań w takiej instytucji?

- Bardzo prosto. I nie mówię o wyniku. W wynik jak najbardziej wierzę.

- Chyba się pogubiłam.

- Badanie badaniem, Iwona, ale to, co się do niego dostarcza, to już zupełnie inna sprawa, prawda?

- Chcesz powiedzieć, że próbka porównawcza należała do tej samej osoby, która zginęła w zamachu, ale nie był to twój ojciec?

- Dokładnie.

- Chyba sam w to nie wierzysz.

- A dlaczego?

- Bo... - Iwona nie wiedziała, co powiedzieć.

Kiedy szukała argumentów, uświadomiła sobie, że to wcale nie jest takie nieprawdopodobne, jak jej się do tej pory wydawało. Vogel patrzył na nią, usiłując odczytać z jej twarzy tok myśli, i po chwili wiedział, że może nie tyle ją przekonał, co zasiał w niej ziarno wątpliwości.

- Dobrze, sprawdzę jutro, skąd wzięto próbkę - skapitulowała wreszcie, a on poczuł przypływ nadziei.

Deszcz zelżał. Iwona zapięła kurteczkę i pobiegła do samochodu, a on złożył stolik, rozłożył siedziska i położył się na nich z książką.

Iwona zadzwoniła następnego dnia tuż przed południem. Nie zdążył się nawet z nią przywitać, bo od razu weszła mu w słowo.

– Słuchaj, sprawdziłam to, o czym rozmawialiśmy. Próbkę DNA pobrano ze szczoteczki do zębów należącej do twojego ojca.

Jej głos był napięty, słyszał to wyraźnie.

– Skąd ją wzięli? – zapytał. – Z jego domu?

– Nie, bo wtedy nie mogło być pewności, do kogo należy. Mieszkał sam, ale sąsiedzi twierdzili, że bywały u niego kobiety. Ktoś ją śledczym dał.

– Kto? – zapytał bez tchu. – Faktycznie jakaś kochanka?

– Nie wiem, czy kochanka, ale na pewno najbliższy współpracownik.

– Kurwa mać... – Westchnął ciężko.

– Otóż to. Jego asystentka, Monika Matysiak.

## SPALONE MOSTY

Vogel spotkał się z Iwoną na mieście, na lunchu. Po wczorajszej ulewie nie było już śladu, upał wrócił, uderzając ze zdwojoną siłą. Siedzieli w lokalu o oryginalnej i dość mylącej nazwie „Kisiel”, serwującym śniadania i bruncha, a właściwie w należącym do niego wysypanym drobnymi kamyczkami przedogródkiem. Ulica Monte Cassino była zastawiona samochodami, ale cienie rzucane przez drzewa i kamienice dawały trochę wytchnienia od skwaru.

- To jeszcze niczego nie musi oznaczać - zastrzegła Iwona na samym początku.

- Wiem. - Zgodził się z nią. - Ale sama przyznasz, że jest w tym coś dziwnego?

- Mogli ją zabić tylko dlatego, że była asystentką twojego ojca. Niekoniecznie musiała mu pomagać w zniknięciu i mistyfikacji, jak zakładasz. I tak jak zakładali ci ludzie.

- A jeśli miałabyś pójść tym tropem? Co byś zrobiła? Od czego zaczęła?

Iwona nabrała na widelec trochę sałatki ze świeżych warzyw. Włożyła go w usta i przez chwilę żuła, rozglądając się po sąsiednich stolikach.

- Musieli mieć kogoś na podmianę. Nie wiem, jak i kiedy się to odbyło: czy ta osoba wsiadła do śmigłowca przy starcie, czy zamiana nastąpiła po awaryjnym lądowaniu, tam, w Niemczech?

- Awaryjnym lądowaniu?

- Tak. On najpierw wylądował, zgłaszając wcześniej awarię, a dopiero potem nastąpił wybuch. Nie wiedziałeś o tym?

Vogel nie odpowiedział, tylko patrzył na nią przez chwilę w wymownym milczeniu.

- I dalej masz wątpliwości? - zapytał w końcu.

- Już coraz mniejsze - przyznała, nabijając na widelec plasterek ogórka. - Widziałam zdjęcia z miejsca zdarzenia. Nie był to miły widok. Maszyna była spalona do cna i rozerwana wybuchem, wszystko dookoła było wypalone do gołej ziemi, nawet piasek miejscami się zeszklił. Ciało wyglądało okropnie, trudno było nawet poznać, że to był człowiek.

- No właśnie. Wszystko pasuje. Musieli zrobić tę zamianę na miejscu. Wybrali Bogu ducha winnego człowieka i zabili go. Poświęcili.

- Kto to mógł być?

- Nie wiem. Pewnie jakiś bezdomny. Ojciec dał mu trochę kasy, przekonał jakoś, żeby poleciał z nim i załatwił sprawę. A przedtem kazał mu umyć zęby.

- Hmm... Twój ojciec zniknął na kilka tygodni przed śmiercią. Nie pokazywał się w firmie, tylko dzwonił. Mówiono, że bał się po tej strzelaninie wychodzić z domu, ale w domu też go nie było. Nikt nie wie, gdzie był.

- Skurwiel... - Vogel roześmiał się gorzko.

- Co? - Iwona zmarszczyła brwi.

- Przygotowywał się, nie rozumiesz?

- Do czego?

- Do zniknięcia. Na co potrzeba czasu? I czemu nie można się pokazywać ludziom, których się zna?

- Nie wiem...

- Żeby się zagoiły rany po operacji plastycznej. I żeby nikt się nie zorientował, że ją się przeszło.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Ty go nie znałaś. On obmyślał wszystko bardzo drobiazgowo. Kreślił dziesiątki planów, kiedy jeden nie wypalał, natychmiast wdrażany był drugi. Ojciec przechodził do niego płynnie. Nie dało się go

zaskoczyć, wszystko miał zawsze starannie przeanalizowane. Strategie, scenariusze... Miał obsesję na tym punkcie. I robił rzeczy, jakich nie odważyłby się zrobić żaden szanujący się biznesmen, mówię teraz o ryzyku, jakie czasem podejmował. Tak było kiedyś, kiedy jeszcze coś tam wiedziałem o jego pracy, a podejrzewam, że z biegiem czasu to się tylko pogłębiło. Wiem, jak to, co powiedziałem, wygląda z twojego punktu widzenia. Kompletnie nieprawdopodobnie. A dla mnie nie. Ja nie byłbym tym zdziwiony.

- Takie rzeczy dzieją się tylko w głupich filmach.

Spojrzał na nią krzywo.

- Nie twierdzę, że przeszczepił sobie całą twarz. Chodzi mi o to, że wystarczą drobne zmiany najbardziej charakterystycznych cech. Nawet nowy komplet zębów trochę zmienia człowieka. Nos, policzki, kształt podbródka, owal twarzy... To nie są skomplikowane rzeczy. I mógł na przykład przytyć, wpięprzając po osiem tysięcy kalorii dziennie. Tam, gdzie się osiedli, nikt go przecież nie będzie znał. Jak myślisz, gdzie był? Bo ja obstawiam Turcję, jakąś klinikę chirurgii plastycznej.

- Jak by z tej Turcji wrócił taki zmieniony? Pierwsza kontrola na lotnisku i już ma kłopoty. Nie byłby podobny do siebie.

- To dziś w Turcji cała gałąź gospodarki: chirurgia i przeszczepy włosów, nikt by się nie dziwił. I nie mówię, że ojciec podawał się za kogoś innego. Miał tylko obandażowaną twarz i swój paszport biometryczny, który rozwiązał wątpliwości. I to wystarczyło. A potem zaszył się gdzieś na jakiś czas.

- Jaki sens miała nieduża zmiana? Ktoś, kto go dobrze zna, rozpozna go mimo wszystko.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie rozumiesz. On już tu spalił za sobą wszystkie mosty. Nie może nigdy tu wrócić i nie wróci. Zostanie tam do końca swojego plugawego życia.

- W Niemczech?

- Nie mam pewności, ale w Niemczech wcześniej przygotował sobie grunt. Wspominałaś, że on tam często latał.

- Zgadza się. I to mógłby być jakiś trop.

- Nie mam pojęcia o jego interesach za granicą. Tu zresztą też nie.

- Dlatego trzeba wziąć kogoś stamtąd. Kogoś, kto ma o nich pojęcie albo kto będzie w stanie się tego dowiedzieć.

- Nie znam nikogo takiego.

- Ale ja chyba znam. Tylko będziesz to musiał załatwić sam, poza mną.

- Nie ma sprawy. Kto to?

- Prywatny detektyw z Berlina. Miałam z nim kiedyś styczność. Nazywa się Benner, był wysokim funkcjonariuszem Bundeskriminalamtu, teraz robi w prywatce. Dam ci namiar do niego, powołasz się na mnie. Pewnie się spotkacie, wyjaśnisz mu wszystko i zobaczymy, do czego się dokopie. Tylko...

- Tylko co?

Zerknęła na niego nieco skrepowana.

- To pewnie będzie trochę kosztować.

Roześmiał się.

- To akurat nie jest problem. A jeśli chodzi o osobę, którą ojciec podstawił za siebie... Jak można to sprawdzić? I czy to w ogóle możliwe?

- Przychodzi mi do głowy tylko jeden pomysł, tak na szybko. Trzeba przejrzeć bazy osób zaginionych. W internecie. Ta na stronach policji jest dość obszerna, poza tym są rozmaite fundacje, które zajmują się tematem zaginięć. To niekoniecznie musiał być ktoś fizycznie podobny, za to raczej na pewno w podobnym wieku, i pewnie z rejonu północno-zachodniej, albo przynajmniej zachodniej Polski. Pewnie z kilkaset osób. Jeśli nie masz co robić...

- Brak wolnego czasu to nie jest coś, na co mógłbym narzekać.

- No to działaj. Podejrzewam, że nic z tego nie wyjdzie, ale jak nie spróbujemy, to się nie dowiemy.

Sięgnęła po telefon i weszła w listę kontaktów, a potem przesłała mu numer do Bennera.

- Zadzwoń do niego jak najszybciej - powiedziała, kiedy odczytywał wiadomość. - Powołaj się na mnie, ale nie wspominaj, że mam z tym coś wspólnego. I daj potem znać, ja muszę wracać do roboty. Dzięki za jedzenie. - Obejrzała się na fasadę kamienicy. - Kto by pomyślał, że w takim małym lokaliku dają takie dobre żarcie.

Wytarła usta papierową serwetką. Uśmiechnęła się do niego na pożegnanie i wstała od stolika, a kamyczki zagrzechotały pod podeszwami jej butów. Kiedy poszła do swojego samochodu, Vogel odłożył telefon na blat stolika i skończył swojego burgera, o potem domówił lemoniadę i wybrał numer detektywa.

- Markus Benner. - Usłyszał.

Wziął głęboki oddech.

- Dzień dobry - powiedział po niemiecku. - Nazywam się Heinrich Vogel, dostałem pana numer od Iwony Banach.

- Pan dzwoni z Polski?

- Tak.

- Słucham.

Krótko i stanowczo. Voglowi się to spodobało.

- Chciałbym skorzystać z pańskich usług.

- U pana czy u mnie?

- Chodzi o Niemcy.

Ściszył głos jeszcze bardziej i wyjaśnił mu pokrótce, o co chodzi.

- Spotkamy się jakoś? - zapytał, kiedy skończył.

- Na razie nie ma potrzeby. Gdzie pan rezyduje?

- Obecnie w Szczecinie, więc nie ma problemu z przyjazdem do Berlina.

- To później. Wyślę panu za chwilę wiadomość z adresem mailowym. Proszę przesłać szczegółowe dane ojca i jego ostatnie zdjęcie, jakim pan dysponuje. Nazwy firm, z którymi był związany



i o których oczywiście pan wie. Odeślę panu szacunkowe koszty zlecenia.

- Nie podpiszemy jakiejś umowy?

- A potrzebuje pan?

- Ja nie. Wie pan, pierwszy raz korzystam z usług takiej firmy. No i myślę, że potrzebowałby pan jakiejś gwarancji?

- To, że dostał pan ten numer, jest moją gwarancją. Ale oczywiście poproszę o zaliczkę. Trzy tysiące euro na dobry początek, numer konta będzie również w wiadomości.

- Koszty nie grają roli, oczywiście w granicach rozsądku. Kiedy przekroczą dziesięć tysięcy euro, proszę o informację.

- Jasne.

- Kiedy pan może zacząć?

- Już zacząłem. - W głosie Bennera pojawiło się rozbawienie. - W końcu odebrałem telefon od pana. Będziemy w kontakcie. I proszę pozdrowić ode mnie Iwonę. Auf Wiedersehen.

Vogel pożegnał się, zapłacił rachunek i wrócił na łódź, żeby jak najszybciej się do roboty. Nie miał laptopa, więc musiał korzystać z telefonu.

Zaczął od przelewu dla Bennera. Wysłał mu też wszystko, co wiedział o ojcu, nie miał tylko zdjęcia. Znalazł jakieś w internecie, choć nie było ich wiele, skopiował je i również wysłał detektywowi. Odpowiedź przyszła natychmiast, choć niewiele wносиła, po prostu zwykle „ok”, więc zajął się już tym, co trzeba.

Po krótkim szperaniu zorientował się, że jest jedna policyjna strona, na której opublikowano wszystkie zgłoszone zaginięcia z obszaru całego kraju. Nie musiał więc szukać po zakładkach na stronach komend wojewódzkich czy wręcz powiatowych, choć nie miał też pojęcia, jak często jest aktualizowana. Sądził, że to oszczędzi mu czasu, ale okazało się, że zawarte tam informacje o osobach zaginionych absolutnie nie dają mu podstaw do wytypowania kogokolwiek, kto pasował do ich założeń. To mógł być każdy i nikt. Spróbował na stronie Itaki i kilku

innych fundacji zajmujących się poszukiwaniem zaginionych, ale efekt był ten sam. Mimo wszystko próbował, zajęło mu to kilka godzin. Kiedy robił sobie herbatę, stwierdził, że to bez sensu i nie tędy droga. Zniechęcony wyszedł z kubkiem i telefonem na górny pokład i usiadł na leżaku w cieniu tentu. Lekko zdesperowany po prostu wpisał w wyszukiwarce hasło „zaginięcie” i bez cienia nadziei zaczął scrollować wyniki. I nagle bezwiednie rozluźnił dłoń. Kubek wypadł mu z niej, stuknęła głucho o pokład, a herbata rozlała się po nim ciemną plamą. Vogel nie zwrócił na to uwagi, tylko wbił wzrok w twarz mężczyzny około sześćdziesiątki, która spoglądała na niego z ekranu komórki. Wczytał się w tekst artykułu o zaginięciu tego człowieka, który wyświetlił mu się po wejściu na portal informacyjny iPoznań. Rzuciła mu się w oczy fraza, która wzbudziła w nim euforię. Natychmiast zadzwonił do Iwony, na szczęście odebrała natychmiast.

– Przyjedź jak najszybciej. – Prawie to wykrzyczał. – Zaraz kończysz robotę, tak?

– Nie możesz mi powiedzieć? – Jej głos był spokojny i stonowany.

– Wolę ci pokazać. Bo chyba coś mamy. Przyjedziesz?

– Tak. Będę za półtorej godziny.

Zanim przyjechała, zdążył posprzątać pokład i umyć okna. Chciał sobie znaleźć jakieś zajęcie, żeby nie siedzieć beczynnym. Kiedy Iwona weszła na łódź, spojrzął na nią triumfalnie.

– Hej – przywitał się i zapytał: – Wolisz zostać na zewnątrz?

– Tak, zdecydowanie. – Zerknęła na telefon, który trzymał w dłoni. – Pokażesz mi to wreszcie?

Zanim pokazał jej efekt poszukiwań, streścił krótko ich przebieg.

– Szukałem na stronach policji, spędziłem nad tym kilka godzin, ale to nie miało sensu, nawet przy założeniu, że sprawę prowadzi komenda gdzieś z północno-zachodniej Polski. Wskazane jest tylko miejsce ostatniego zameldowania tych osób, a nie zaginięcia. Może kilkanaście by pasowało, ale jak sprawdzić, gdzie mieszkały i gdzie zagięły? Na stronach fundacji to samo. Potem zacząłem po prostu googlować,

wpisując w wyszukiwarce frazę „zaginięcie”. I za którymś razem wyskoczył mi ten artykuł. I kilka innych. Wciąż świeży temat.

- Marcin Sudół - przeczytała. - Dlaczego akurat ten? Jest chyba sporo młodszy.

- Sporo nie, ale nie chodzi o wiek. Chodzi o to, kim był.

- Kim?

- Chirurgiem plastycznym, Iwona. I to podobno bardzo dobrym i dyskretnym. Poprawiali się u niego przeróżni celebryci, ci najpopularniejsi. Pracował w klinice medycyny estetycznej w Poznaniu. Zaginął dwa dni przed śmiercią ojca. Ojciec wcale nie polecił do Turcji.

- Cholera... - Iwona zmarszczyła nos. - Start śmigłowca nastąpił z lotniska Aeroklubu Poznańskiego w Bednarach.

- Muszę tam pojechać - powiedział, nie wiedząc, co zrobić z rękami i całym sobą: rozpierała go energia. - Do kliniki. Pojedziesz ze mną?

Iwona spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

- Wyglądasz jak pies, który złapał trop.

Oddał spojrzenie, ale była w nim wyłącznie powaga.

- Bo chyba wreszcie złapałem, no nie?

# KLINIKA

Pojechali do Poznania samochodem, który załatwił Vogel. Dawna znajomość z człowiekiem, który kiedyś pracował u jego ojca, a potem poszedł na swoje i założył warsztat samochodowy i niewielką wypożyczalnię aut, nie była trwałą przyjaźnią, ale owocowała pewną niepisaną umową. Vogel przyjaźnił się w liceum z jego synem, który zmarł na białaczkę, a pan Artur doceniał, że Heniek był z nim do samego końca. I dlatego kiedy parę lat temu Vogel zwrócił się do niego z prośbą o wypożyczenie auta, po prostu udostępnił mu jedno bez żadnej umowy. Miał tylko oddać zatankowane pod korek i tyle. Od tamtej pory kilka razy zdarzyło się, że Vogel potrzebował samochodu i sytuacja zawsze wyglądała tak samo. Iwona nie mogła wziąć służbowego samochodu ani tym bardziej rozliczyć tej podróży jako służbowej, bo uznali, że na razie trop jest zbyt wąty, żeby mogła w ogóle zgłosić go u siebie. Poza tym, była jeszcze kwestia Miszy.

Klinika chirurgii plastycznej „Stawicki Beauty&Medica” znajdowała się na poznańskim Sołacz. W drodze do Poznania Iwona poszperała w sieci. Potwierdziło się, że walkę z nieubłaganie płynącym czasem podejmowali tu najwięksi polscy celebryci, a efekty wizyty sprawiały, że pomimo świadomości nieuchronnej przegranej można było pochwalić się chociaż kolejną wygraną rundą.

Vogel zaparkował na ulicy, przy ogrodzeniu kliniki. Spomiędzy lameli nad chodnik wystawał starannie przystrzyżony w przenikające się kule bukszpan. Widoczny zza ściany wypielęgnowanej zieleni budynek był spory i składał się z dwóch części. Do starej, pieczołowicie odremontowanej, dobudowano nowoczesny pawilon, ale mimo to razem tworzyły harmonijną całość, utrzymaną w stonowanych

szarościach. Wszystkie okna miały mleczone szyby, wyraźny i czytelny sygnał: dyskrecja przede wszystkim.

Podeszli do wysokiej furtki strzeżonej okiem kamery, do której Iwona przyłożyła legitymację, dzięki czemu nie tracili czasu na zbędne wyjaśnienia. Już po chwili znaleźli się w recepcji kliniki, gdzie przyjęła ich młoda dziewczyna w nieskazitelnie białym fartuchu. Siedziała za kontuarem z ciemnego drewna, uśmiechając się trochę niepewnie, a jej zęby były chyba jeszcze bielsze niż fartuch. Wyglądała jak żywa reklama tego miejsca, choć wiek nie wskazywał na ingerencję igły czy skalpela. Na razie wszystko załatwiała zbyt mocnym makijażem.

Oboje podeszli do niej, a Iwona pokazała odznakę. To zapewne dziewczyna wpuściła ich do środka i to ona musiała widzieć blachę podstawioną do kamery, ale na wszelki wypadek Iwona zrobiła to jeszcze raz, żeby tamta mogła zobaczyć ją z lepszej perspektywy.

– Iwona Banach, Centralne Biuro Śledcze Policji – przedstawiła tylko siebie, świadomie pomijając Vogla.

Umówili się wcześniej, że będzie siedział cicho. Oboje byli tu nieoficjalnie, ale on nie miał żadnych podstaw do zadawania pytań. Ona formalnie też nie, ale przynajmniej miała blachę.

– Państwo w sprawie doktora Sudoła? – Dziewczyna zmarszczyła podrasowane tatuażem brwi.

– Moglibyśmy porozmawiać z kimś z kierownictwa kliniki?

– Niestety, szefostwo wyjechało na kilka dni. W takich przypadkach zastępował ich doktor Sudoł, ale... – Zgarbiła się lekko.

– Rozumiem. A może jakiś kolega doktora Sudoła jest na miejscu?

– Tak, anestezjolog, doktor Zyglar. Pracowali często razem, chwileczkę... – Zerknęła w monitor i poklikała chwilę na klawiaturze. – Powinien mieć teraz przerwę po operacji, chyba już zszedł z bloku. Zaprowadzę państwa do jego gabinetu.

Wstała, obciągnęła fartuszek i wyszła zza kontuaru, kierując się w stronę otwieranych automatycznie drzwi. Mijając je, obejrzała się, czy goście idą za nią. Szli. Stukot obcasów rozbrzmiewał echem

w korytarzyku. Po chwili stanęli przed kolejnymi drzwiami i dziewczyna zapukała do nich, a potem od razu nacisnęła klamkę i zajrzała do środka.

- Adaś, ci państwo do ciebie - rzuciła w głąb gabinetu i otworzyła drzwi szerzej. - Z policji.

Zobaczyli mężczyznę w kitlu, który podnosi się z kanapy. Dziewczyna odsunęła się, robiąc im miejsce, więc weszli do środka. Drzwi zamknęły się.

- W sprawie Marcina, tak? - zapytał Zyglar, podchodząc do nich.

Iwona nie odpowiedziała, tylko znów się przedstawiła, migając legitymacją.

- Adam Zyglar - bąknął anestezjolog.

Stał na środku pomieszczenia z założonymi ramionami. Był dość młody, wysoki, podwinięte rękawy kitla ukazywały muskularne przedramiona, na których mimo gęstego owłosienia widać było mocną opaleniznę. Miał ciemne oczy i sympatyczną twarz, a na głowie wciąż tkwił kolorowy czepek ochronny. Vogel zwrócił uwagę na jego dłonie: były jeszcze czerwone od szorowania.

- Możemy usiąść? - zapytała Iwona, wskazując oczami kanapę.

- Tak, oczywiście. - Zyglar drgnął i rozłożył ramiona.

Usiedli więc, a lekarz zajął krzesło przy biurku, odwracając je wcześniej ku nim.

- Od razu powiem, że nie wiem, co się stało z Marcinem - zastrzegł.

Iwona pokiwała głową i rozejrzała się po skromnym gabinecie. Jego wystrój również utrzymany był w stonowanej kolorystyce, w której dominowały różne odcienie szarości.

- Gdzieś czytałam, że doktor Sudol był właścicielem kliniki? - zaczęła.

- To nie do końca prawda. Właścicielem jest profesor Andrzej Stawicki, jeden z pionierów chirurgii plastycznej i medycyny estetycznej w Polsce. Marcin robił kiedyś u niego specjalizację, był pod

jego skrzydłami od początku, pomagał wręcz mu tworzyć tę klinikę. Profesor nie jest już aktywny zawodowo, w zasadzie zarządzał nią teraz Marcin i wygląda na to, że po śmierci profesora będzie już to robił formalnie, przynajmniej takie chodzą słuchy. Córka Stawickiego mu ufa. Wszystko się ładnie kręci, więc nie przyjdzie jej chyba do głowy, żeby wsadzić kij w szprychy. Lepiej mieć sprawdzonego współnika, niż głupio ryzykować, prawda?

Słyszac to, Vogel na chwilę zamknął oczy. Banalna prawda, nad którą nawet nie ma sensu się zastanawiać, dla niego brzmiała po prostu złowrogo.

- Działo się z nim coś dziwnego przed zniknięciem? - zapytała Iwona. - Nietypowe zachowanie? Niespodziewane absencje w pracy?

- Nie. - Zygler zdecydowanie pokręcił głową. - Nic na to nie wskazywało. Był taki, jak zawsze. Pogodny i sympatyczny.

- Jakieś nietypowe znajomości?

- Co pani ma na myśli?

- O którymś z waszych pacjentów chodziły słuchy, że... powiedzmy, jest na bakier z prawem?

- To renomowana klinika i coś... Dość droga.

- Jedno drugiego nie wyklucza.

- Niby tak. - Wzruszenie ramion skwitowało słowa Iwony, choć nie było odpowiedzią, więc naciskała dalej.

- To jak? Słyszał pan o czymś takim?

- Nie. Nic o tym nie wiem. A dyskrecja to dewiza tej kliniki.

- To może wróćmy do doktora Sudoła. Jaki był jako współpracownik?

- Nigdy nie miałem do niego żadnych zastrzeżeń jako do kolegi z pracy i można powiedzieć: przełożonego. Pracowało... To znaczy pracuje nam się dobrze. Jest po prostu profesjonalistą. Nigdy nie pokazywał przy stole, że coś się dzieje w domu.

- A działo się? - Podchwycił Vogel.

- Nie mam takiej wiedzy. - Zyglar spojrzal na nich wymownie. - Zreszta byl samotny, to znaczy nie mial zony. Wtedy jest chyba latwiej. - Anestezjolog uciekl spojrzeniem gdzieś w bok.

Nie ciagnęli watku.

- Widzialam, ze z waszych uslug korzystaja gwiazdy pierwszej wielkosci. Mowie o tych, ktore publicznie sie do tego przyznaly.

- To prawda.

- Jak on do tego podchodzil?

- Marcin jest... Swiadomy swoich zdolnosci i pozycji, co czasem pokazuje, choc nigdy w sposob niewlasciwy, a rownoczesnie jest bardzo grzeczny i ufny. I lubi ten caly blichtr. Imponowalo mu zawsze, ze jest po imieniu ze slawnymi ludzmi i gwiazdami, z niektórymi z nich sie przyjaznil, choc to moze za duze slowo. To taka dziwna relacja: oni powierzaja mu tajemnice swojej wiecznej mlodosci, liczac na dyskrecje i oprócz normalnej zaplaty probuja mu sie odwiedzyc, a on to lubi.

- Co na przyklad? Jak sie odwiedzaja?

- Zapraszaja na imprezy, na jachty, na weekend do swoich willi na morzem, naszym albo Śródziemnym. Jakiś czas temu polecial na tydzien do Miami do swojego pacjenta, to znany sportowiec, nie powiem jaki i w co gral, bo byście sie od razu domyslili. Wszyscy sie wciaz zastanawiamy, dlaczego Marcin zniknal. Na pewno nie uciekl, bo mial wszystko oprócz zony.

- Nie rozumiem?

- Nie mial powodow, zeby uciekac z domu przez konflikt z zona na przyklad.

Iwone i Vogla zaczelo zastanawiac, czemu temat wciaz schodzi na zone, ale wygladalo na to, ze to problem Zyglera, a nie ich.

- Czy on byl gejem? - Wypalila nagle Iwona, az Vogel spojrzal na nia zaskoczony.

- Skad pani ma takie informacje?

- Znikad. Tylko pytam.



Iwona nie powiedziała mu, że jak dla niej Sudół wygląda jak gej, choć to było subiektywne wrażenie, które mógł, choć nie musiał potwierdzać jedynie fakt, że doktor nie miał żony, a Zygler zadał swoje pytanie nieco zbyt natarczywie. W sumie to i tak nie miało żadnego znaczenia. A może właśnie miało. Bo jeśli Sudół nie miał stałego partnera, to po prostu nie było nikogo, kto tak jak żona zrobiłby niemal wszystko, żeby go odszukać.

– Nie mam w zwyczaju wtrącać się w prywatne sprawy swoich współpracowników, szefów tym bardziej – oznajmił Zygler oficjalnym tonem. – Chyba już to mówiłem.

– Dobrze, to przejdźmy do kolejnego tematu, bo wie pan, doktorze, my w zasadzie nie przyjechalśmy w sprawie zaginięcia doktora Sudoła.

– Nie? A myślałem, że... – Zygler był wyraźnie zmieszany.

– Nie szkodzi, nic z tego, co nam pan tu powiedział, nie wyjdzie poza to pomieszczenie. Chcieliśmy pana zapytać, czy przypomina pan sobie jakąkolwiek operację twarzy u pacjenta po siedemdziesiątce przeprowadzoną w tej klinice w ostatnim czasie?

– To znaczy? Pytam o zakres czasowy.

– Około miesiąca temu.

– Bo ja wiem... Było takich kilka. Zwykle kosmetyka. Mam wrażenie, że ludzie nie umieją się starzeć z godnością. – Anestezjolog roześmiał się z zakłopotaniem. – Ale nie mówiłem tego, jakby co.

– A coś poważniejszego?

– Była jedna dość poważna operacja: nie znam szczegółów, ale chodziło o korekcję nosa i warg. Plus jakieś drobiazgi. To był starszy człowiek, ale zdrowy jak rydz. Aż dziw. I podziw – dodał po chwili.

– Jak się nazywał?

– Nie pamiętam, przykro mi.

– Jakaś gwiazda?

– Nawet jeśli, to mi nieznana. Nie oglądam zbyt dużo telewizji.

– Ptasznik. Mówi to panu coś? – wtrącił Vogel.

– To jest nazwisko?

– Tak.

– W takim razie to na pewno nie był on. W mojej praktyce, zarówno tu, jak i w szpitalu, w którym pracuję, codziennie przewija mi się przez ręce kilka osób i oczywiście poznaję ich nazwiska, ale trudno i chyba trochę bez sensu byłoby je pamiętać. Ale takie bym raczej zapamiętał. Wiecie państwo, ja z nimi rozmawiam chwilę podczas premedykacji, potem ich tylko usypiam i znieczulam, pilnuję czynności życiowych i wybudzam. Marcin raczej na pewno by pamiętał, ja pamiętam ewentualnie tylko to, czy była trudna intubacja albo czy w czasie operacji zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Albo tak jak to, że starszy pan był w świetnej kondycji.

– Jego twarzy też pan nie pamięta?

– Nie. Przykro mi.

– Może pan chociaż zerknąć na zdjęcie?

– Zerknąć mogę.

Iwona spojrzała na Vogla, a ten wyciągnął telefon, na którym wciąż miał zapisane zdjęcie z internetu, które wysłał Bennerowi. Zyglar przekręcił lekko głowę, uniósł okulary i przyjrzał się fotografii, a potem zmarszczył brwi.

– Ach, ten! – Pokiwał głową, zsuwając okulary z powrotem na nos.

– Czyli jednak pamięta pan twarz?

– To nie jest reguła, mówiłem wam. Ale tego akurat już kojarzę, faktycznie operował go Marcin. Tylko że ten człowiek był Niemcem.

– Niemcem?

– Tak. Marcin nawet tłumaczył moje pytania o samopoczucie i kiedy mówiłem mu, co zaraz będę robił.

– Nie rozumiem, czemu nie skojarzył pan tego od razu. To dość egzotyczne połączenie? Niemiec o końskim zdrowiu i z dość szerokim zakresem zabiegu? Nie dalej jak miesiąc temu.

- Mówiłem już, że oni mi się zlewają, tyłu ich jest. Mężczyźni nie są wcale rzadkością, Niemców u nas też trochę bywa i w ich przypadku akurat te operacje są bardziej skomplikowane. Marcin jest świetnym chirurgiem, a klinika na pewno konkurencyjna z niemieckimi, jeśli chodzi o ceny. Więc proszę mi się nie dziwić, że nie wiązę twarzy z nazwiskami czy narodowością. Chyba mi pan niczego nie zarzuca?

- Absolutnie nie.

- Cieszę się. Ale nazwiska to już na bank sobie nie przypomnę. Możecie to sprawdzić u Aśki w recepcji.

- Dobrze, dziękujemy, panie doktorze. Do widzenia. I oczywiście prosimy o dyskrecję.

- Dyskrecja to moje drugie imię. - Zyglar uśmiechnął się wstydliwie i z tym uśmiechem zostawił go w gabinecie, ruszając znów do recepcji.

- Jak to czasem łatwo za dużo powiedzieć, opierając się na błędnych założeniach - mruknął Vogel.

- Woda na mój młyn - odparła z lekkim rozbawieniem Iwona. - Gdybyś wiedział, jak często dzięki temu dowiaduję się przydatnych rzeczy od świadków czy podejrzanych...

W pomieszczeniu recepcji wciąż nie było nikogo, poza dziewczyną jaśniejącą za kontuarem. Wpatrzona w komputer przepisywała coś z kartki leżącej obok na stercie innych.

- To znowu my - zagadnęła ją Iwona. - I mamy prośbę: chcielibyśmy sprawdzić szczegóły dotyczące jednego z państwa pacjentów.

- Nie mam prawa udostępniać takich danych. - Dziewczyna oderwała wzrok od monitora.

- Ma pani. Upoważnionym do tego organom, na przykład policji. Czyli mnie.

- Wie pani...

- No właśnie wiem, dlatego do pani przychodzimy. Pan doktor Zyglar uznał za stosowne udzielić nam pewnych informacji dotyczących pacjenta, którego nazwiska nie pamięta. Mężczyzna po

siedemdziesiątce, narodowości niemieckiej, przeszedł operację twarzy w państwa klinice miesiąc temu. Około miesiąca.

– To dosyć mało danych – zauważyła dziewczyna kąśliwie.

– Ale jednak coś. Doktor Zyglar sugerował, że jest to do sprawdzenia u pani.

– Doktor Zyglar tylko z nami współpracuje, nie jest etatowym pracownikiem kliniki.

– To akurat nas nie interesuje, nie jestem z inspekcji pracy, tylko z policji. Proszę spróbować, dobrze? – Widząc, że dziewczyna się waha, Iwona przypuściła drugi atak. – Możemy załatwić sprawę od razu, a możemy bawić się w korespondencję z prokuraturą i policją. Pani straci więcej czasu i nerwów, a my być może szansę na chwycenie pewnego tropu, bo będzie za późno. Więc pytam jeszcze raz: czy może nam pani to sprawdzić? Teraz?

– Spróbuję... – Dziewczyna wyraźnie oklapła.

Lecko czerwieniejąc, sięgnęła palcami do klawiatury. Jej paznokcie stuknęły w klawisze, potem chwyciła mysz i wpatrzona w monitor przez chwilę klikała w nią, krótkimi ruchami przesuwając ją po podkładce.

– Tak, był taki ktoś. W grę wchodzi jeden pacjent z Niemiec...

– Doktor Zyglar wspominał, że macie tu trochę Niemców. Na pewno chodzi o tego?

– Tak, raczej tak. Jest środek lata, oni zwykle jeżdżą wtedy na wakacje, boom mamy jesienią. Jeśli to było miesiąc temu, to pasuje ten: nazywa się Andreas Schenk.

– Dziękuję pani. Czy moglibyśmy zerknąć jeszcze w dokumentację?

– Przykro mi...

– Czyli jednak czekacie państwo na list z prokuratury? To sporo opóźni sprawę, a nam naprawdę zależy na czasie. – Iwona zaakcentowała to „naprawdę”. – Przejrzemy ją przy pani, niczego nie zabierzemy, nie będą nam potrzebne nawet żadne kopie.

Dziewczyna, jeszcze bardziej czerwona na twarzy, wstała niechętnie zza kontuaru i podeszła do regałów ukrytych za przesuwными drzwiami z mlecznego szkła. Odsunęła jedną z szyb i zaczęła przesuwać palcami po segregatorach. Po chwili stanęła niezdecydowanie i powtórzyła czynność, ale wyglądało, że to nie przyniosło rezultatu. Odwróciła się do nich z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy.

- Przykro mi, ale nie ma dokumentacji - powiedziała, rozkładając ręce.

- Jak to możliwe? - zapytała Iwona.

- Nie wiem.

- Kto ma do niej dostęp?

- Noo, ja i doktor.

- Może jest u niego w gabinecie?

- Mogę poszukać, jeśli państwo sobie życzyacie.

- Poprosimy.

Dziewczyna odwróciła się i weszła do gabinetu Sudoła, zamykając za sobą drzwi. Czekali jakieś dziesięć minut, ignorując dzwoniący w recepcji telefon. Kiedy wreszcie wyszła z gabinetu, zobaczyli, że ma puste ręce.

- Ja bardzo przepraszam, ale tam też nie znalazłam tej teczki - bąknęła.

Jej mina świadczyła o tym, że faktycznie jej nie znalazła, a nie po prostu nie chciała znaleźć. Była wyraźnie skrepowana.

- Gdzie może być?

- Nie mam pojęcia. Może doktor zabrał do siebie do domu, nie wiem. Tu jej po prostu nie ma.

- Nie macie jej w formie elektronicznej?

- Mamy, ale tylko na komputerze doktora, do którego ja nie mam dostępu.

- A jeśli ktoś chciałby ją dostać mailem? Mam na myśli pacjenta.

- To zwraca się bezpośrednio do doktora. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Mamy tu naprawdę poważnych i ustosunkowanych klientów. Doktor stwierdził, że to uszczelni system w razie przecieku. Dziś paparazzi robią naprawdę straszne rzeczy, żeby zdobyć coś na gwiazdę. Plus hakerzy i psychofani.

- Czyli poza wpisem nazwiska do systemu nie ma śladu po tym człowieku?

- Na chwilę obecną na to wygląda, przykro mi.

- A kto ma dostęp do systemu?

- W zasadzie tylko ja, nie ma potrzeby, żeby zajmował się tym doktor. To wyłącznie statystyka. Żadnych wrażliwych danych. Imię, nazwisko, dodatkowy identyfikator, gdyby się powtarzały, daty wizyt i kontroli. Moim zadaniem jest przypominanie o tym pacjentem mailem.

- Adres?

- To dane wrażliwe.

Wyglądało na to, że niczego więcej nie osiągną, a przynajmniej nie dziś.

- Dobrze, dziękujemy pani za pomoc. - Iwona westchnęła i rozejrzała się jeszcze po holu. - Do widzenia.

Zerknęła na Vogla i razem ruszyli w kierunku wyjścia. Upał wałnął jak obuchem po tych chwilach spędzonych w klimatyzowanych pomieszczeniach.

- Czyli mamy jakiś trop - stwierdziła Iwona, otwierając drzwi auta.

- Dokładnie - przytaknął Vogel. - Może nie taniej niż w Turcji, ale szybciej, bardziej profesjonalnie i dyskretnie. Andreas Schenk... Dwie pieczenie na jednym ogniu. Ciało na podmiangę i pozbycie się świadka jednocześnie. Pewnie zaproponował mu wizytę u siebie razem z przelotem śmigłowcem. Kto by się nie skusił na jego miejscu?

Usiadł na siedzeniu pasażera, a Iwona uruchomiła silnik. Wracali do Szczecina, przeważnie milcząc. I wyglądało na to, że ta cisza oboju

bardzo odpowiada.

## WIZYTA

Nie planowali tego i po wszystkim oboje byli nieco zawstydzeni.

Kiedy wrócili z Poznania, Iwona została na łodzi na skromnej kolacji, którą Vogel upichcił na kuchence w kambuzie. Był ciepły, pogodny wieczór, a oni siedzieli na górnym pokładzie, kończąc jeść, pijąc piwo i gapiąc się w ciemniejące niebo. I nagle po prostu spojrzeli na siebie i zeszli na dół, do mesy, gdzie Vogel w milczeniu złożył stolik i rozłożył kanapy, robiąc z nich szerokie łoże. Dwoje dorosłych, niewykłanych w relacje z partnerami ludzi poszło ze sobą do łóżka. Potraktowali to podobnie: jak spełnienie potrzeby, może chwilowej, a może właśnie nie. Kiedy skończyli, leżeli obok siebie w milczeniu, żadne nie wiedziało, czy to drugie ma ochotę się przytulić, ale na wszelki wypadek nie chciało pytać. Zasnęli praktycznie w tym samym czasie.

Kiedy Iwona obudziła się dwie godziny później, zerknęła na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest już po dwudziestej trzeciej. Musiała iść do toalety. Wiedziała, gdzie jest, w końcu wcześniej pili piwo, więc w kompletnej ciemności obrała kierunek i próbując nie obudzić Vogla, zaczęła się przemieszczać. Nagle zewnętrzne drzwi otworzyły się cicho i do środka wpadło światło lamp z nabrzeża. W ich jasnym prostokącie zobaczyła czarną postać. Poczowała, jak jej serce najpierw się ścisną, a potem zaczyna trzepotać, pompując krew, która zahuczała jej w skroniach. Cofnęła się odruchowo, a opierając się o ścianę, wymacała włącznik. Pacnęła go dłonią i kabinę zalało mdłe światło.

– Zdaje się, że przeszkodziłem, ale mam pilną sprawę do pana Vogla  
– powiedział przybysz.



Widząc zimne spojrzenie bladych oczu, Iwona nie miała wątpliwości, kim jest człowiek, który wszedł bez pytania na łódź. Czerwona plama na skroni tylko to potwierdzała.

– Odwróć się – powiedziała do niego lodowatym tonem. – Nie życzę sobie, kurwa, żebyś oglądał mnie nago.

Dopiero teraz opuścił wzrok i zaczął ją lustrować od stóp do głów. Nie czuła, że to spojrzenie jest lepkie czy obleśne, już raczej badawcze. A na pewno beznamienne.

– Słyszałeś, co powiedziałam? – Nawet nie drgnęła, ani nie próbowała zasłonić piersi i łona.

To on miał skapitulować. A ona chciała go sprawdzić. Nagle jego usta zaczęły lekko drżeć, a kąciki oczu wyraźnie opadły. Mężczyzna westchnął spazmatycznie, a potem znów jego wzrok stwardniał.

– Co się dzieje? – Iwona usłyszała za sobą głos Vogla.

Odwróciła się i zobaczyła, że stoi za nią, również nagi. Poczowała się pewniej, choć on nie wyglądał na pewnego siebie, wpatrując się w Miszę jak zahipnotyzowany.

– Witaj, Pajączku. – Twarz Miszy znów się zmieniła, tym razem rozciągając się w krzywym, brzydkim uśmiechu. – Widzę, że masz gościa, ale jestem zmuszony cię prosić, żebyś pożegnał panią. Widzę, że się lubicie, ale musi wrócić do siebie sama. A my sobie pogadamy.

Iwona znów się obejrzała. Vogel miał usta zaciśnięte w wąską linię, a w oczach czystą nienawiść. Spodziewała się, że powie coś, ale on odwrócił się tylko i zniknął w mesie. Zrozumiała, że nie powie niczego. Poszła za nim. Ubierali się w milczeniu, nie patrząc sobie w oczy. Kiedy skończyli, nie pocałowali się na do widzenia nawet w policzek, oboje skrępowani sobą i niespodziewanym gościem, i całą sytuacją. Iwona minęła Miszę w milczeniu ze wzrokiem wbitym w światła przystani i zeszła z łodzi, zostawiając ich samych. Vogel patrzył, jak znika w ciemności, świadomy, że nie może niczego zrobić.

Niczego, kurwa, absolutnie niczego.

- Harda ta twoja pani, Pajączku - stwierdził Misza z uznaniem w głosie. - Od dawna się znacie?

Vogel tylko zacisnął zęby.

- Nie życzę sobie takich niezapowiedzianych wizyt - warknął. - Skoro mnie znalazłeś, to znaczy, że z ustaleniem mojego numeru też nie będziesz miał problemu. Mogę ci go nawet, kurwa, dać. Następnym razem zrób mi tę łaskę i zadzwoń wcześniej. I przy okazji zostaw mi swój, nie musimy się widywać, żebym mógł przekazać ci informacje. Wystarczy telefon.

- To ja zdecyduję, co wystarczy, a co nie, Pajączku. Dawno się nie widzieliśmy...

- Minęło dopiero kilka dni.

- No właśnie. Oni nie będą czekać w nieskończoność. Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem. Chcą coś mieć, mam nadzieję, że już coś wiesz. Była u ciebie policja?

- Mówiłem ci, że tak.

- Później.

- Już nie. Nikt od nich nawet nie poinformował mnie o śmierci ojca. Zadzwonił do mnie jego prawnik.

- A efekty? Chodzi mi o efekty, Pajączku. - Misza patrzył na niego badawczo. - Miałeś się postarać. Wzruszyć ziemię i niebo, żeby dowiedzieć się, dlaczego ukochany tatuś zginął.

Zdołał się opanować. Odetchnął kilka razy głęboko i rozluźnił się.

- Coś już wiem - powiedział.

- Świetnie! - Misza odsunął pościel i rozsiadł się na kanapie. - No to słucham.

- Badania genetyczne przeprowadzone na zwłokach ze śmigłowca wykazały zasadniczo zgodność z próbką porównawczą.

- Tyle wiem sam.

- Ale nie wiesz, kto dostarczył próbkę.

- Kto? - Misza spoważniał i zeszywniał lekko.

– Monika Matysiak. Przekazała jego szczoteczkę do zębów.

– Jego albo nie jego...

– Otóż to. Na to samo wpadłem. Pomyślałem sobie, że może byli w zмовie, a on podrzucił czyjeś ciało do śmigłowca tuż przed wybuchem, który spowodował sam. – Popatrzył na Miszę, który ni to siedział, ni to leżał na kanapie, z jednym uchem zwróconym w jego stronę, jakby niedosłyszał i nie chciał, żeby cokolwiek mu umknęło.

– Brzmi ciekawie, Pajączku, coraz ciekawiej. Co dalej?

– Szczoteczka należała oczywiście do tej samej osoby. Poszperałem w internecie na stronach o zaginionych. I znalazłem jedną ciekawą rzecz. Tuż przed jego śmiercią zaginał pewien lekarz, specjalista chirurgii plastycznej z Poznania.

– Skurwiel... – Na twarzy Miszy pojawił się mściwy wyraz i Vogel, widząc to, kolejny raz uświadomił sobie, jak bardzo jego więzienny towarzysz się zestarzał.

Postanowił, że na razie niczego więcej mu nie powie. Nie mógł. Dał mu coś, dzięki czemu może zyska na czasie i tamten odczepi się chociaż na kilka dni. Cisza przedłużała się.

– To wszystko? – Misza zmarszczył rzadkie brwi, a właściwie fałdy skóry ledwo porośnięte kilkoma włoskami.

– Na razie tak – stwierdził Vogel pewnym głosem.

Brwi zostały w tym samym położeniu i wiedział, że chyba Miszy nie przekonał.

– To są poważne poszlaki, ale wciąż nie dowody, Pajączku. A ja chcę dowodów.

– Dowiem się tego.

– Jak?

– Zaufaj mi.

Misza zmrużył oczy i z rozbawieniem pokręcił głową.

– Pajączku, Pajączku... Konkrety, pamiętasz?

Vogel zerknął gdzieś w bok, szukając natchnienia. Musiał dać mu coś jeszcze.

– Pojadę do kliniki i porozmawiam z kimś stamtąd. Podejrzewam, że po tym, jak zrobił sobie operację plastyczną, wykorzystał tego lekarza, żeby sfingować swoją śmierć.

– Brzmi logicznie – zgodził się Misza. – I co, myślisz, że dowiesz się, że on tam był? Mówię o twoim ojczulku.

– Nie wiem. Macam na ślepo, przecież wiesz. Skoro uważasz, że jesteś w stanie zrobić coś więcej, dlaczego sam nie spróbujesz?

Przesadził, ale uświadomił to sobie poniewczasie. Podał mu przecież trop, którym Misza mógł sam pójść, i wtedy dowiedziałby się pewnie, że był już w klinice i to nie sam, a z policją. Z drugiej strony, to było trochę jak sprawdzenie w pokerze. A stawka była duża.

– No dobrze... – Misza westchnął i z wyraźnym trudem dźwignął się z kanapy. – Daj mi znać natychmiast, jak tylko się czegoś dowiesz.

– Niby jak? – Prychnął. – Mam dać ogłoszenie do gazety?

– To zawsze w tobie cenilem, Pajączku. Refleks i przenikliwość. Będę za dwa dni. Uprzedź swoją panią, chociaż nie wygląda na wstydliwą. Załatw... – Misza zamrugał nagle. – Załatw tę klinikę jak najszybciej. Widzimy się niedługo, Pajączku. I nie odpiardol mi żadnego numeru.

Skraj długiego, lekkiego płaszcza załopotał, kiedy Misza odwracał się i wychodził. Został po nim specyficzny, lekko kwaśny zapach. Vogel stał jeszcze przez chwilę z zaciśniętymi pięściami i oddychał głęboko. Kiedy doszedł do siebie, wrócił na koję, ale jeszcze długo nie mógł zasnąć.

Powody, dla których Misza nie chciał mu dać swojego numeru, były oczywiste. Nachodzenie o dziwnych porach też; stanowiły element nacisku, podobnie jak przypomnianie o niebezpiecznych ludziach. Żadnych konkretów, same zawoalowane groźby. Iwona miała trochę racji: przeceniał Miszę. Skoro Misza nie wiedział, że pojechał do Poznania, w dodatku z kimś, to oznaczało, że nie mógł go śledzić. Zapewne pracował sam, a ludzie, którzy go wynajęli, najprawdopodobniej nie byli stąd, może Niemcy, albo nawet Ruscy.

Polegali na Miszy, ale Misza też miał swoje ograniczenia albo był zbyt pewny siebie, ufając mu niemal bezgranicznie. Nie zdawał sobie tylko sprawy, że czasy Goleniowa dawno minęły. Obaj wiedzieli, jakiego rodzaju relacja ich łączy, ale Misza nie wiedział, że on nie jest już sam. Że ma sojusznika i to mocnego.

W nocy, po trzeciej, Vogel dostał od Iwony esemesa. *Podaj mi jego imię i nazwisko.* Musiał się skupić, żeby je sobie przypomnieć. Wiedział oczywiście, jak Misza się nazywa, ale on od zawsze był po prostu Miszą. *Miroslaw Jacoń*, odpisał. Czekał na odpowiedź, ale nie nadeszła. Zasnął, a kiedy rano sięgnął po telefon, wciąż jej nie było. Dzwonił do Iwony kilka razy w ciągu dnia, lecz nie odbierała. W końcu wysłała krótkie: *Jestem zajęta, oddzwonię później.*

Zadzwoiła do niego dopiero późnym popołudniem.

– Jesteś sam? – zapytała oficjalnym tonem.

– Tak – odparł krótko. – I przepraszam, że...

– Nie musisz. Teraz już wiem, o czym mówiłeś.

– Że to wcielony diabeł?

– Nie to mam na myśli.

– Po prostu nie dałem rady...

– Naprawdę nie musisz się tłumaczyć. Mówiłam ci.

– Okej... Słuchaj... Powiedziałem mu tyle, ile musiałem. To znaczy o tym, co ustaliliśmy w Poznaniu.

– Domyśliłam się. O mnie też mu mówiłeś?

– Chyba żartujesz. Ty jesteś tylko znajomą. Tak mu powiedziałem, chociaż nie mam pewności, czy mi uwierzył.

Słyszał, że odetchnęła, i trochę go ubódl ten wyraz braku zaufania.

– Nie jestem idiotą – powiedział.

– Nie twierdzę tak, tylko widziałam, pod jakim jego wpływem jesteś.

– Może mniejszym, niż sądzisz?

– Ja nic nie sądzę. Mogę wpaść?

– Zawsze. – Ożywił się lekko.

- Musimy pogadać. W cztery oczy.

- O nim?

- Też. Dowiedziałam się trochę na jego temat i zapewniam cię, że będziesz zaskoczony. A poza tym do naszej gry dołączył nowy zawodnik.

Na planszy robi się ciasno. I gorąco.

- Kto taki? - Zmarszczył zaniepokojony brwi.

- Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

## SPOTKANIE ROBOCZE

Inspektor Cielecki, zastępca szefa szczecińskiego CBŚP, zajrzał do pokoju Iwony. Nie wszedł do środka, tylko wychynął zza drzwi.

- Rzucaj wszystko i chodź, zaraz mamy spotkanie.

- Teraz?

- Teraz, zaraz.

Zdjęła okulary i zamknęła laptopa.

- Z kim?

- Przyjechał szef delegatury ABW z Wrocławia. Niejaki pułkownik Jaskólski.

- Chodzi o Ptasznika? - Domyśliła się.

- Tak.

Przez chwilę zbierała myśli.

- To było wiadome, że ktoś od nich się z nami w tej sprawie skontaktuje. - Wyszła na korytarz, a Cielecki zamknął za nią drzwi.

Kiedy sprawdzali Ptasznika w systemach, wyskoczyła adnotacja o obowiązku wysłania informacji do ABW, ponieważ okazało się, że Zenon Ptasznik znajduje się w kręgu zainteresowań Agencji. Poszedł rutynowy sygnał i teraz widać nastąpiła reakcja. Dość późno, ale jednak. To, co powiedziała przed chwilą, było naturalne, poza tym wierzyła w przypadki, ale wiedziała też, że niektóre tylko tak wyglądały, a przypadkami nie były. Bała się, że to właśnie taka sytuacja. Zwłaszcza w świetle dotyczących Miszy informacji, do których dotarła.

- Czego możemy się spodziewać? - zapytała.

Szli w kierunku schodów.

- Chyba niczego. To zwykle jest takie macanie, coś jak obwąchujące się psy. Takie spotkania się odbywają, choć zwykle da się to załatwić telekonferencjami i pocztą, ale nietypowe jest to, że sam szef delegatury pofatygował się do nas osobiście. Oni będą chcieli wiedzieć, ile wiemy, my postaramy się wysondować ich. Taka lisia gra. I tak dobrze, że nie musimy tam jechać. Zwykle tak to się kończy, bo wtedy pokazują nam, kto tu rządzi. A sam fakt, że oni przyjeżdżają do nas, też o czymś świadczy.

- O czym?

Cielecki uśmiechnął się chytrze.

- Bo to oznacza, że mają niewiele. I chcą więcej. Zależy im, rozumiesz?

- Nie będą chcieli tego przejąć?

- Być może, to też jest prawdopodobne. Zaraz się dowiemy.

Człowiek z ABW czekał już na nich w sali konferencyjnej, ktoś musiał go tam wprowadzić. Siedział za wielkim stołem, w gładkim blacie odbijał się niewyraźny zarys jego postaci. Nie wstał, kiedy weszli, po prostu gapił się w telefon, pisząc coś na nim oboma kciukami. Nie był stary, co Iwona stwierdziła z lekkim zaskoczeniem. Musiał być nieco po czterdziestce, nie miał jeszcze śladu siwizny na włosach, chyba że to umiejętnie maskował: on albo jego fryzjer. Kiedy Cielecki zamknął drzwi nieco mocniej, niż to było konieczne, tamten uniósł głowę, odłożył telefon na blat i uśmiechnął się.

- Witam - rzucił swobodnie i Iwone od razu to się nie spodobało.

To, że się nie przedstawił, również.

- Podinspektor Cielecki, komisarz Banach - mruknął Cielecki, podszedł do stołu i odsunął dwa krzesła, po czym usiadł na jednym z nich. Iwona zajęła drugie.

Przez chwilę przypatrywali się sobie wzajemnie. Nagle Jaskólski wziął głęboki oddech.

- Nie zajmę państwu dużo czasu, załatwmy to jak najszybciej, bo pewnie każdemu z nas się spieszy, a ja osobiście nie znoszę tracić go na



jałowe pogaduchy. Tematem będzie oczywiście sprawa Zenona Ptasznika, jego działalności oraz tajemniczej śmierci w zamachu bombowym. Był w kręgu naszych zainteresowań już od jakiegoś czasu, ostatnio akcja nieco przyśpieszyła w związku ze wspomnianymi wypadkami. Jego... hmm, śmierć nie kończy absolutnie sprawy, a jedynie wprowadza ją na nowe tory.

Ta chwila zawieszenia wzbudziła w Iwonie lekki niepokój. Coś się kroilo. Czas i okoliczności wizyty Jaskólskiego w Szczecinie zaczęły nagle Iwonę poważnie zastanawiać, a w kontekście tego umyślnego zająknięcia jej powody stawały się powoli dość oczywiste.

– Jak to u państwa wypłynęło? – Jaskólski pochylił się w ich stronę.

Cielecki zerknął na Iwonę, ale udała, że patrzy w okno.

– Przez anonimowego sygnalistę. – Inspektor wziął odpowiedź na siebie. – Teraz podejrzewamy, że cynk dała asystentka Ptasznika. To był tylko sygnał, ale badając trop, uznaliśmy, że sposób działania należących do niego przedsięwzięć, jego kontakty z niemieckimi firmami o podobnym profilu działalności oraz ich niejasne powiązania z rynkiem rosyjskim faktycznie mogą wskazywać, że coś jest na rzeczy. A u was?

Jaskólski uśmiechnął się tylko pobłaźliwie.

– Jak daleko jesteście? – zapytał tylko.

– Może nie stoimy w miejscu, ale jakichś spektakularnych postępów też nie ma. To żmudna robota, współpraca międzynarodowa też nie jest łatwą rzeczą.

– Taak. – Jaskólski ożywił się nagle. – To akurat jest zrozumiałe, ale wygląda na to, że nie tylko my zdajemy sobie z tego sprawę.

– W jakim sensie? – Iwona włączyła się do rozmowy.

Jaskólski popatrzył na nią zagadkowo. Zauważyła, że ma zielone oczy. Widziała go słabo, bo korzystając z tego, że przyszedł tu pierwszy, wybrał miejsce od strony okna i siedział teraz pod światło, ale te jego oczy aż błyszczały.

– Miejsce zamachu nie było przypadkowe. – Jaskólski złożył dłonie na blacie i splótł palce. – Teoretycznie pokrywało się z rutynową trasą, którą Ptasznik pokonywał już kilka razy w ostatnim czasie, ale to, że doszło do niego w Niemczech, miało swój cel. Wydłużenie łańcucha, proszę państwa. Im więcej ogniw, tym łańcuch słabszy, gdzieś się rwie i robi się kłopot. Bo przez to pojawiły się nagle oczywiste, biurokratyczne przeszkody wynikające z zasad współpracy międzynarodowej w takich przypadkach, a co za tym idzie, opóźnienie śledztwa w sprawie ustalenia przyczyn zdarzenia. To wszystko czemuś służyło. Opóźnieniu też, ale głównie ukryciu faktu, że w zamachu nie zginął Zenon Ptasznik, tylko ktoś inny. – Jaskólski teatralnie zawiesił głos, a Iwona poczuła, jak mimo skwaru robi się jej zimno.

Próbowała nie dać po sobie niczego poznać, a pozorna obojętność kosztowała ją sporo sił.

– Skąd wiecie, że to nie był on? – zapytała spokojnie.

– Jeszcze nie mamy pewności – przyznał Jaskólski. – Nasze podejrzenia wzbudził fakt, że zarówno zwłoki, jak i sam śmigłowiec uległy znacznemu zniszczeniu w wyniku pożaru. Badania genetyczne wykazały spore prawdopodobieństwo zgodności tkanek pobranych ze zwłok Ptasznika, czy też raczej tego, co z nich zostało, z materiałem z próbek porównawczych, ale nie stuprocentowe. Pamiętajcie państwo, że tkanka była uszkodzona termicznie.

– W przypadku badań szczątków w takim stanie określenie „spore prawdopodobieństwo” to i tak sukces? – zauważyła Iwona.

– Owszem. I to jest jedyna rzecz, jaka może potwierdzać, że to był Ptasznik, choć do tego jeszcze zaraz wrócę. Bo reszta już budzi wątpliwości. Start nastąpił nie z lotniska międzynarodowego, gdzie pasażer podlegałby kontroli, tylko z lotniska aeroklubowego. Miał się odbyć na tak zwany widok, czyli w dzień i przy dobrej widzialności. Nie został w związku z tym zgłoszony, nie złożono planu lotu, co de facto nie było w tym przypadku wymagane, a lot odbywał się na obszarze Unii, ale w świetle skutków to wszystko może zastanawiać. Dokumentacji

statku powietrznego we wraku z oczywistych względów nie odnaleziono. Kolejna rzecz: sam wybuch nastąpił na ziemi. Pilot, czyli Ptasznik, zgłosił przez radio usterkę, wylądował na polanie i wtedy maszyna eksplodowała. Tylko że według specjalistów materiał wybuchowy wykorzystany do produkcji bomby oraz ilość paliwa w zbiornikach absolutnie wykluczały aż taki stopień zniszczeń. Ktoś dolał oliwy do ognia, że się tak wyrażę, czy raczej dowalił do pieca. A zrobił to w konkretnym celu: by zminimalizować prawdopodobieństwo identyfikacji wizualnej. Chciał mieć pewność, że zwłok nie da się rozpoznać na oko. Ktokolwiek zginął w tym zamachu, nie był to Ptasznik. I dlatego będziemy powtarzać badania genetyczne, choć nie na podstawie próbek dostarczonych przez rodzinę, a na podstawie pobranych bezpośrednio od nich. Mam na myśli syna Ptasznika, jedyne żyjącego krewnego.

Iwona miała już pewność, że coś jest bardzo nie tak. I że Misza musi mieć z tym coś wspólnego.

- Może się nie zgodzić na pobranie. - Próbowwała jakoś ratować sytuację.

- Jasne, ma do tego prawo, wiem, co pani komisarz ma na myśli. - Jaskólski rozłożył ręce. - Znam przypadki, kiedy okazywało się w podobnych sytuacjach, że nie ma zgodności pomiędzy ojcem a potomkiem. Życie. Ale sprawdzimy to tak czy siak. To na razie jest oczywiście przypuszczenie, i podkreślam to, ale będziemy iść w tym kierunku.

- Nie rozumiem? - Cielecki zmarszczył brwi. - Pan narzuca nam kierunek śledztwa?

- Nie, absolutnie, panie inspektorze. Mam na myśli to, że Agencja je przejmuje, zgodnie z zakresem swoich ustawowych uprawnień. Podsumowując nasze spotkanie, prosiłbym Biuro o przekazanie nam całości posiadanych materiałów w sprawie Zenona Ptasznika. Jeśli w późniejszym czasie dotrą do was jakieś nowe sygnały, proszę o niezwłoczne powiadomienie delegatury ABW we Wrocławiu.

- Wciąż prowadzone są czynności w sprawie zabójstwa Moniki Matysiak - zauważyła Iwona. - Wykonuje je nasza komenda miejska, choć powołaliśmy grupę celową i trzymamy rękę na pulsie.

- Zabójstwo jest oczywiście zastrzeżone do państwa właściwości, z tym nie ma co dyskutować. Ale chcielibyśmy wiedzieć o każdym tropie prowadzącym do Ptasznika. Jeszcze dziś porozmawiam z prokuraturą w tej sprawie. Może zrobimy tak, żebyście się państwo nie dublowali, że informacje w tej sprawie Agencja będzie pozyskiwać bezpośrednio od prokuratury. Im krótszy łańcuch, tym mocniejszy, nieprawdaż? I nie muszę chyba przypominać o poufności tej rozmowy, zwłaszcza w kwestii tożsamości naszego podejrzanego? Niewiele osób o tym wie, i tak ma pozostać.

Wstał, dając jasny sygnał, że swój udział w spotkaniu uważa za zakończony. Cielecki zrobił to samo, Iwona, lekko zamyślona, ociągała się jeszcze przez chwilę. Jaskólski podał im na pożegnanie rękę.

- Gdzie znajdzie toaletę? - zapytał jeszcze.

- W prawo i za zakrętem korytarza - wyjaśnił mu inspektor.

Jaskólski pokiwał głową i opuścił ich, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

Cielecki popatrzył na podwładną i tylko wzruszył ramionami. Gdy wychodzili z sali, puścił Iwonę przodem i mruknął:

- Chodź jeszcze do maszyny po kawę.

Miał w sekretariacie całkiem niezły ekspres, więc Iwona uznała, że ta wycieczka na dół jest tylko wybiegiem, a Cielecki po prostu nie chce jeszcze wracać do siebie, tylko z nią spokojnie pogadać. Zeszli powoli i w milczeniu na parter, stanęli przy automacie i inspektor wybrał napój.

- Czyli już wszystko wiemy. - Skrzywił się lekko.

Automat zaczął szumieć.

- To było do przewidzenia... - zaczęła Iwona, kiedy nagle rozległ się odgłos kroków.

Ktoś zbiegał po schodach. Odwrócili się i zobaczyli Jaskólskiego. Podszedł do nich zatopiony we własnych myślach i dopiero po chwili ich poznał.

- O, witam ponownie. - Uśmiechnął się, ale widać było, że ten uśmiech jest nieco wymuszony. - Dobra ta kawa?

- To nie kawa - mruknęła Iwona, patrząc, jak Cielecki wyjmując kubek z uchwytu. - To ersatz.

- Ale może mnie kopnie, mam do Wrocławia parę godzin jazdy, a muszę popracować. - Jaskólski wybrał odpowiedni napój, wcisnął przycisk z dodatkowym cukrem, a potem przyłożył do czytnika kartę.

Czekając, aż automat przygotuje kawę, zerknął na Cieleckiego i Iwonę.

- Dziękuję jeszcze raz za spotkanie - powiedział cicho. - Mam nadzieję, że nie potraktowaliście tego personalnie, ale musieliśmy przejąć tę sprawę. Nie chodzi o ambicje ani nic w tym stylu. Wiem, co o mnie mówią: że ja do polityki chcę iść. A mnie, drodzy państwo, polityka nie interesuje. Interesuje mnie porządek, a polityka to tylko narzędzie do jego zaprowadzenia. Prześwietlenie działalności Ptasznika jest w kontekście wojny w Ukrainie sprawą niesłychanie ważną dla interesu naszego kraju, tak uważam. Nie interesuje mnie opcja polityczna. Służę państwu, nie politykom. - Wyciągnął kubek z wnęki, upił maleńki łyk kawy i skrzywił się. - Faktycznie, miała pani rację, pani komisarz. To nie kawa.

Skinął im głową i ruszył w kierunku wyjścia z budynku. Cielecki i Iwona patrzyli, jak znika za drzwiami, a potem inspektor wzruszył ramionami i skierował się w stronę schodów. Iwona zrobiła to samo.

- Jest sprawą niesłychanie ważną, kurwa - mruknął Cielecki, przekładając kubek do drugiej ręki i otrzepując palce z kawy. - Jak ja lubię takie gadki jak pod obiektyw kamery i światła reflektorów. Mówi, że nie idzie w politykę... A przed chwilą, to co to niby było?

- Wykuwanie elektoratu.

– Dokładnie. Podstawy szkolenia dla początkujących polityków. Daj się poznać z dobrej strony każdemu, bo nigdy nie wiesz, kiedy go znowu spotkasz. I ten tekst: wiem, co o mnie mówią. Gwiazda.

Iwona pokiwała głową.

– Mam to zostawić? – Wróciła do tematu.

– Mówisz o Ptaszniku?

– Uhm.

– Olej go. Przekaż im wszystko i niech się chłopcy bawią, mamy w cholerę swojej roboty. Bądź tylko w kontakcie z Przeworskim w ramach grupy, może faktycznie się okaże, że ta Matysiak nie była odpryskiem afery swojego szefa, tylko zginęła przypadkowo i bez związku z nim.

– W takim razie co jej ciało robiłoby przy łodzi jego syna?

– Tylko gdybam. Różne dziwne przypadki widziałem w życiu. I dlatego zerknij od czasu do czasu, co tam słyhać.

Kiedy Iwona wróciła do siebie, usiadła przy biurku i odetchnęła głęboko. Działo się coś dziwnego. To spotkanie absolutnie nie było przypadkiem.

Niemal czuła, jak wokół szyi zaciska się pętla, tylko że to nie była jej szyja.

To była szyja Heinricha Vogla.

## PLUTONOWY

Iwona przyjechała na przystań wieczorem. Kiedy wchodziła na łódź, Vogel podał jej rękę, przytrzymując ją nieco dłużej, niż to było potrzebne, a kiedy ją wysuwała, musnął jeszcze jej palce. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się lekko. Ale nic poza tym.

Usiedli na górnym pokładzie, wracając do sprawy.

– Od razu wiedziałam, że coś się święci, jak tylko okazało się, że na spotkanie przyjechała taka szychka – powiedziała Iwona. – ABW twierdzi, że nie mają pewności co do sfingowania śmierci, a wskazują na to jedynie poszlaki. Ale potem w jakimś sensie zaprzeczyli sami sobie, ujawniając nam, że w zamachu nie zginął twój ojciec. Oni to wiedzą.

– Skąd mogą to wiedzieć?

– Skąd? Od Miszy. To on był informatorem ABW. Musiał powiedzieć im, że próbka należała do kogoś innego i kto ją dostarczył. Tylko on poza nami to wiedział. W dodatku wiedział to od ciebie. Wizyta ABW nastąpiła niemal od razu po tym, jak mu to powiedziałeś. Teraz muszą to potwierdzić badaniami.

– Skoro dowiedziałeś się tego ty, to oni też mogli. Mieli wgląd do tych samych papierów. A ta zbieżność w czasie może być przypadkiem.

– To niemożliwe. Nikt by na to nie wpadł, nie połączył jednego z drugim. Z zeznań osób z jego otoczenia wynikało, że Matysiak faktycznie była z twoim ojcem blisko, być może nie tylko zawodowo, rozumiesz? Nikomu nie przyszłoby do głowy, że mogła oddać fałszywą próbkę, która w dodatku okazała się zgodna z DNA ofiary zamachu.

– Mi przyszło.

- Ty masz inną perspektywę, rozumiesz? Podchodzisz do tego bardziej emocjonalnie i myślisz o sprawie cały czas, a nie tylko od siódmej do piętnastej i to pomiędzy innymi prowadzonymi postępowaniami. Ten człowiek z ABW nie powiedział tego wprost, ale z samej sugestii o powtórzeniu badań w oparciu o próbki pobrane bezpośrednio od członka rodziny wynika, że wie, co się stało, rozumiesz? - Iwona spojrzała na niego. - Nie możesz się zgodzić na pobranie i musisz uważać, co gdzie zostawiasz: wysmarkane chusteczki czy szklanki w restauracji.

- Jak uzasadnię odmowę?

- Obawą, że prawda wyjdzie na jaw.

- Jaka prawda?

- Że on nie był twoim ojcem. Biologicznym, bo nie chodzi o sprawy spadkowe: w świetle prawa jesteś jego synem. Powiesz im, że masz wątpliwości i wolisz się ludzić niż poznać brutalną prawdę. Zwiążesz im tym ręce.

- Nawet jeśli zmuszą mnie jakoś do oddania materiału, po badaniu będą wiedzieli tylko, że to nie ojciec. Zresztą, zawsze jest możliwe, że on naprawdę nie był moim ojcem. Nawet bym chyba nie żałował.

Iwona uśmiechnęła się kącikami ust.

- Nie sądzę, żeby tak było. Jesteście zbyt podobni do siebie.

Westchnął. Faktycznie, byli bardzo podobni fizycznie, a im on był starszy, tym bardziej przypominał ojca z wyglądu.

- Jeśli wyjdzie niezgodność, będą mieli podstawy, żeby sądzić, że twój ojciec jednak żyje. Tobą też mogą się wkrótce zainteresować, ale nie w aspekcie próbki. Niewykluczone, że już cię inwigilują.

- Z nikim się nie kontaktuję, siedzę na tyłku na łodzi, czasem pojedę do miasta coś zjeść i zrobić pranie. Zanudzą się na śmierć.

- Ze mną się kontaktujesz...

- Gdyby nas ze sobą łączyli, już dawno zaczęliby ci zadawać niewygodne pytania. A te kilka telefonów? Jestem świadkiem w sprawie



zabójstwa, którą prowadzisz. Sama prosiłaś mnie o numer.

- Niby tak, ale ograniczmy kontakt do naprawdę ważnych spraw. Przynajmniej na razie.

- Jak tak się dobrze zastanowić, to łączy nas tylko ta jedna, bardzo ważna sprawa, no nie? - Zerknął na Iwonę z lekkim rozbawieniem.

Odpowiedziała zagadkowym spojrzeniem, które sprawiło, że na moment stracił rezon. Prychnął więc i pokręcił głową, usiłując zatrzeć to wrażenie.

- Nie wierzę, że to Misza - stwierdził. - Taki ruch to jak strzał we własne kolano.

- A jeśli nie? Jeśli on dobrze wie, co robi?

- Gra na dwie strony?

- Zwiększa swoje szanse na odnalezienie go.

- Bez sensu. Przecież jak ABW znajdzie mojego ojca i go zwinie, to zleceniodawcy Miszy nigdy nie odzyskają swojej forsy.

- Zgadza się, ale może nie chodzi o forszę. Na pewno chodzi o to, żeby go odszukać, ale być może wcale nie dla pieniędzy. Zobacz, kiedy powiedziałeś Miszy, że nie zamierzasz przejąć spadku po ojcu, przeszedł nad tym do porządku dziennego. Nie naciskał, żebyś zmienił zdanie, nie sugerował niczego. A jaki byłby najprostszy sposób na odzyskanie tych pieniędzy? Od ciebie, kiedy już legalnie je przejmiesz jako spadek. Ile mogło być tego długu? Setki tysięcy? Miliony? Jego majątek jest na pewno większy, dostałbyś go pewnie w całości. Nie chodzi o forszę. Chodzi o coś innego.

- Co ten skurwiel kombinuje?

- Nie wiem. A pytanie go o to chyba nie ma sensu. Poza tym, po takim pytaniu domyśliłby się od razu, że nie działasz sam. Skądś musiałeś się tego dowiedzieć, prawda? I teoretycznie tylko od kogoś z ABW. A teraz opowiem ci co nieco o Miszy. Najdziwniejsze jest to, co robił, zanim został gangusem. To, że siedział za zabójstwo i udział w zorganizowanej grupie przestępczej, wiesz. Dwie bandy spotkały się na jednym z parkingów przy granicy i próbowały obrobić tego samego

tira z elektroniką. Żadna nie chciała ustąpić, zaczęła się strzelanina: dwóch zabitych, jeden ranny. Miszę złapali na przejściu w Kolbaskowie dwa tygodnie później, wtedy jeszcze nie byliśmy w Unii i Schengen. Udowodniono mu jedno zabójstwo. Odsiedział całe piętnaście lat, po wyjściu zniknął, mam na myśli, że nie był więcej notowany. Albo ostrożny, albo ma szczęście, bo nie sądzę, żeby zerwał z przeszłością. A teraz najlepsze: urodził się w Dębnie...

- W Dębnie Lubuskim? - Vogel zmarszczył brwi.

- Tak, w sześćdziesiątym trzecim. Po ukończeniu technikum wstąpił do milicji i dostał przydział do komendy wojewódzkiej...

- W Gorzowie - przerwał jej i poczuł, jak wysycha mu w ustach.

- Brawo, skąd wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Chyba nietrudno się domyślić, co?

Przyznała mu rację skinieniem głowy.

- Nie znałeś go? - zapytała. - Nie widziałeś nigdy za dzieciaka?

- Nie. A w każdym razie nie przypominam sobie. Był w SB, tak?

- Tak. W innym departamencie niż twój ojciec, ale mogli się faktycznie znać. Skończył karierę jako plutonowy, więc nic wielkiego, był najprawdopodobniej człowiekiem od mokrej roboty. Nie mówię, że zabijał, nie na podstawie materiałów, do których dotarłam na szybko, ale na pewno brał udział w prowokacjach, pobiciach i zastraszaniu ludzi z opozycji solidarnościowej. W IPN-ie nie ma jakichś obszernych akt, jego nazwisko przewija się kilkukrotnie w zeznaniach z postępowań prowadzonych przez Instytut przeciwko zbrodniom popełnionym przez funkcjonariuszy komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. On nie był mózgiem żadnej operacji, tylko jej kijem, rozumiesz?

- Jak najbardziej. I nie jestem zdziwiony - odparł chrapliwym głosem.

Iwona spojrzała mu w twarz, która pobladła nagle i dosłownie postarzała się o kilka lat.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Vogel milczał. Właśnie przeżył jedno z największych zaskoczeń swojego życia i zastanawiał się, jak spojrzeć na wszystko, co wydarzyło się po skazaniu.

– Heinrich, wszystko w porządku?

– Nie do końca. – Przetarł rękami czoło, oczy i policzki, jakby ścierał z nich rześisty pot. – To dlatego opiekował się mną w Goleniowie. Bo ojciec mu kazał.

– Myślisz, że utrzymywali ze sobą kontakt po osiemdziesiątym dziewiątym? Biznesmeni i bandyta?

– A mój ojciec nie był bandytą? Różnił się od nich tylko wyglądem, bo nosił garnitur. I miał legalną działalność. Kto wie, może dawał Miszy jakieś zlecenia w ramach agencji ochrony. Odzyskiwanie długów, bo tym też się zajmował? Machloje na granicy? I kiedy go posadzili za zabójstwo, a potem ja tam trafiłem, po prostu kazał mu się mną opiekować. Strzec przed... – Machnął ręką, nie kończąc.

– Rozumiem.

– Wiesz, dlaczego odkąd zacząłem garować, nie odezwałem się do ojca ani słowem? – Jego oczy rozszerzyły się, a oddech przyśpieszył. – Bo mnie zostawił. Opłacił mecenasa, który robił podobno wszystko, żebym się z tego wywinął jak najmniejszym kosztem. Ale podobno nie miałem szczęścia, ze względu na upartego i nadambitnego prokuratora i ciętą na bogatych ludzi sędzię. Apelacja nic nie dała. Opłacenie mecenasa było jedyną rzeczą, jaką zrobił w mojej sprawie. Myślisz, że kiedykolwiek przyszedł do mnie na widzenie? Że był chociaż raz w sądzie? Że zadzwonił? Każdy ojciec zrobiłby wszystko, żeby wyciągnąć syna z więzienia. Nie zabiłem tamtego umyślnie, nie byłem mordercą. Mógł dać łapówkę, cokolwiek, ale bał się, że to zaszkodzi jego interesom. Poświęcił mnie dla nich. Swojego jedyne go syna. Od tamtej chwili miałem tylko matkę.

– Przykro mi.

– Okej, skończmy już te łkania. – Odetchnął głęboko i uśmiechnął się do niej słabo. – Skupmy się na Miszy. Cokolwiek łączyło go z ojcem,

wygląda na to, że to już nieaktualne. On na niego poluje. A ja jestem jego ogarem. Kurwa, jak w greckiej tragedii, co? Albo brazylijskim serialu.

- W świetle tego, czego się o nim dowiedziałam, sprawa może wyglądać nieco inaczej i nie musi chodzić o pieniądze.

- A o co?

- O teczkę na kogoś. Hak.

- Czyli o pieniądze.

- Poniekąd - przyznała Iwona, a on tylko zacisnął zęby.

- Co robimy? - zapytał.

- Czekamy, na razie nic nie możemy zrobić. Ja już też mam trochę związane ręce. Rozmawiałeś z Bennerem?

- Tak, zadzwoniłem wtedy od razu, jak tylko poszłaś. Pozdrawia cię.

Iwona mruknęła coś.

- I jak?

- Odezwie się, kiedy będzie coś miał.

- Oby jak najszybciej, bo chyba znów stoimy w miejscu.

- Chyba i tak muszę się z nim skontaktować, żeby sprawdził jeszcze tego Schenka. Nie wiem, czy tylko imię i nazwisko wystarczą, ale jest od czego zacząć.

- Ale przedtem trzeba załatwić jeszcze jedną rzecz.

- Jaką?

- Musimy mieć pewność, że to nie twój ojciec. I chyba wpadłam na pomysł, jak to zrobić. Bo to się da sprawdzić, przynajmniej teoretycznie, ale znów musisz załatwić to sam, beze mnie.

- Jak?

- Hmm... Nie do końca legalnie.

## BADANIE

Iwona powiedziała Voglowi, kogo ma szukać w katedrze medycyny sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

- Sądówka świadczy również usługi dla osób prywatnych, na przykład obdukcje w sprawach ubezpieczeniowych i odszkodowawczych, robi też testy genetyczne na ojcostwo - tłumaczyła mu. - Kiedy ktoś ma wątpliwości, po prostu zleca im badania, więc to nic niezwykłego. W zakładzie genetyki sądowej pracuje taki patomorfolog, nazywa się Drabik. Widziałam jego nazwisko w papierach śledztwa po katastrofie, więc albo identyfikację szczątków firmował, albo robił ją osobiście. Musisz go jakoś przekonać, żeby zrobił potajemnie nowe badanie. To nie wymaga zbyt wiele zachodu, wynik badań genetycznych ofiary ze śmigłowca mają już w bazie, rozumiesz? Więc musi tylko zbadać twoją próbkę i porównać z tamtą w systemie. I zrobi to szybko, dziś te maszyny badają setki próbek jednocześnie.

- Niby jak mam go przekonać?

Iwona spojrzała na niego z kpina.

- A jak najlepiej przekonuje się kogoś do zrobienia czegoś? Bez gróźb, oczywiście.

Pokiwał tylko głową.

- To już wiesz, jak masz to zrobić, Heinrich. Mówi się, że lekarze tłuką grubą kasę, ale tak się składa, że patomorfolodzy to nie są najlepiej opłacani specjaliści. Więc jest spora szansa, że ci się uda.

- Co, jeśli to zgłosi na policję?

Iwona podrapała się w brew.

- To mało prawdopodobne - stwierdziła w końcu.

Popatrzył na nią w taki sam sposób, w jaki ona na niego przed chwilą.

- Ostatnio w moim życiu zdarzyło się mnóstwo mało prawdopodobnych rzeczy – stwierdził. – Więc, co wtedy?

- Trzymasz się wersji o chęci ustalenia faktycznego pokrewieństwa. To intymna sprawa, więc zrozumiałe, że w razie wpadki podejdziesz do tego inaczej. No i wreszcie nie jest to coś, za co wsadzą cię do pierdła do końca życia, prawda?

Uświadomiła sobie, co powiedziała. Wstrzymała powietrze w płucach i wypuściła je głośno.

- Kurwa, przepraszam – jęknęła.

Uśmiechnęła się lekko.

- Nie ma sprawy – mruknął. – Niezłe, ale pozwól, że jednak nie wybuchnę śmiechem.

Położyła swoją dłoń na jego i ścisnęła lekko, ale patrzyła na ręce, a nie jemu w twarz. Po chwili cofnęła dłoń i westchnęła.

- Za to, co teraz robię, grożą mi poważne konsekwencje służbowe i prawne, i chciałabym, żebyś o tym wiedział. Nie chodzi mi o wdzięczność ani o nic takiego, po prostu pamiętaj o tym i bądź ostrożny.

- Dlaczego to robisz? – zapytał. – Bo robisz to dla mnie, prawda?

Milczała przez chwilę, przebiegając palcami po pochwyce barierki i rozglądając się po wodzie i trzcinach porastających przeciwległy brzeg kanału.

- Jeśli wynik będzie negatywny, będziemy wiedzieli, że to nie był on, przy niemal pewnym założeniu, że to twój biologiczny ojciec. To nam na razie wystarczy, a kiedy moje śledztwo formalnie wskoczy na ten tor, zdobędziemy próbkę Sudola i badanie się powtórzy, już oficjalnie. To jak? – Teraz na niego spojrzała. – Zrobisz to?

- Zrobię – mruknął. – Pewnie, że zrobię.

Vogel zjawił się w szpitalu na Pomorzanach przed siódmą następnego dnia. Wiedział, jak wygląda Drabik, bo zdjęcia pracowników katedry medycyny sądowej PUM znalazł na stronie internetowej. Lekarz przyjechał rowerem. Przypiął go blokadą do stojaka i ruszył ku wejściu do budynku. Vogel podszedł do niego szybko, zanim tamten dotarł do drzwi.

- Dzień dobry, pan doktor Drabik? - zapytał.

Mężczyzna spojrzał na niego zdziwiony. Był niewysoki, łysiejący, na nosie miał druciane okulary. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się zza szkieł w Vogla.

- Tak. Słucham?

- Mam sprawę.

- Do mnie?

- Tak. Chciałbym zamówić badania porównawcze...

- Nie, nie, nie, to nie tak. - Drabik uniósł rękę, w której trzymał kask, i pomachał nią. - Proszę się skontaktować z sekretariatem zakładu...

- Niech pan mnie posłucha, nie chodzi mi o zwykły test na ojcostwo. Pamięta pan katastrofę śmigłowca, w której zginął znany biznesmen?

Drabik odchylił się lekko do tyłu i zamrugał gwałtownie.

- Owszem. Ten Ptasznik, tak?

- Chciałbym, żeby pan jeszcze raz zrobił to badanie, ale tym razem to ja dam panu próbkę.

- Nie rozumiem, to jakiś test? Sprawdzacie mnie?

- Nie.

- Chce pan, żebym próbkę dostarczoną przez prokuraturę prowadzącą śledztwo w sprawie śmierci tego człowieka porównał z pańską?

- Tak - odparł po prostu. - To był mój ojciec, rozumie pan?

- Jak pan to udowodni?

Vogel rozejrzał się bezradnie. Podejrzewał, że takie pytanie padnie, i nie miał niczego, co mogłoby to potwierdzać. Nawet tego samego nazwiska.

- To pan ma mi to udowodnić - odpowiedział wymijająco.

- Nie może pan tak sobie podejść do mnie i prosić o takie rzeczy.

- Właśnie to robię, panie doktorze. - Popatrzył mu w oczy. - Tylko to nie jest prośba. To jest zlecenie. Dobrze płatne, nieformalne zlecenie. Dam panu za to dwa tysiące. Od ręki, w tej chwili, jeśli pan się zgodzi. Bez względu na wynik. I proszę mnie potraktować poważnie. Proszę naprawdę zrobić to badanie.

- Wie pan, ile to kosztuje w zakładzie? - Drabik oblizał usta końcem języka.

- Wiem. Ale wiem też, ile z takiego badania ma pan. Gdyby podliczyć wszystkie, które pan robi w ciągu miesiąca, i porównać do pana pensji, to wyjdzie raczej niewiele, prawda?

Drabik chrząknął i popatrzył na czubki swoich butów.

- Dwa i pół - powiedział cicho.

- I zrobi pan to?

- Tak.

- Dobrze, niech będzie dwa i pół. - Vogel sięgnął do saszetki na pasku.

Miał w niej portfel, telefon i próbkę śliny na wymazówce, którą kupił jeszcze wieczorem w aptece.

- Mogłem powiedzieć trzy? - Oczy Drabika zrobiły się odrobinę większe.

Vogel wzruszył ramionami.

- Mógł pan.

Widział, jak Drabik przez chwilę walczy ze sobą, ale nie podbija stawki. Sam zastanawiał się, jaka będzie rozsądna granica, jeśli w tym przypadku w ogóle można było mówić o rozsądku. Rozpiął zamek



saszetki, wyciągnął wymazówkę zapakowaną w woreczek ze strunowym zapięciem i podał ją lekarzowi.

– To jest moja próbka. Wymaz z wewnętrznej strony ust. Staralem się nie zanieczyścić. Wystarczy?

– Tak. – Drabik sięgnął z wahaniem po woreczek i schował go do kieszeni czarnego softshella, który miał na sobie. – Po co to panu?

– Chcę wiedzieć.

– Czasem lepiej nie wiedzieć.

– Powody nie powinny pana interesować. I to moja sprawa, co potem zrobię z tą wiedzą.

– Niby tak, ale widzi pan, ja już sporo widziałem. I dlatego uważam, że czasem lepiej nie wiedzieć. Ale skoro panu tak zależy...

– Bardzo. Na kiedy będzie wynik?

– Zostanę w pracy dłużej i zrobię to. Powinienem zdążyć jeszcze dziś.

– Świetnie. Aha: nie interesuje mnie papier, szczegóły, procenty, naukowe gadanie dla wtajemniczonych. Najlepiej niech pan zniszczy wszelkie ślady po tym badaniu i skasuje wyniki w systemie czy co tam macie.

– Nie musi mi pan mówić, co mam zrobić. To moja działka.

– Jasne. Chodzi mi o to, że chcę tylko znać odpowiedź: tak czy nie. Może mi pan nawet wysłać ją esemesem.

Podał Drabikowi swój numer, później wcisnął w spoconą dłoń pieniądze, które tamten natychmiast zwinął w rulon i schował do drugiej kieszeni kurtki, rozglądając się przy tym nerwowo. Rozstali się bez słowa, potem Vogel wyszedł na ulicę, wsiadł na skuter i wrócił do siebie.

Po powrocie załadował vespę na łódź i od razu uruchomił silnik „Worśy”. Wyplłynął na Odrę i pokręcił się bez celu po akwenach, żeby zabić czas. Nie dzwonił do Iwony, na razie nie było potrzeby. Odpowiedź

od Drabika przysłała po południu, przed szesnastą, widać ten musiał znaleźć czas wcześniej, może jeszcze zanim zaczął swoją robotę.

*Brak zgodności tkankowej wskazującej na pokrewieństwo. Mówiłem: czasem lepiej nie wiedzieć. I dziękuję.*

Vogel uśmiechnął się nieznacznie, czytając ostatnie zdanie. W zwitku, który dał rano Drabikowi, było trzy tysiące. Podrzucił lekko telefon w dłoń, wpatrując się jeszcze przez chwilę w ekran.

Sam nie wiedział, co teraz czuje: pustkę czy satysfakcję.

# BENNER

Zanim jeszcze Vogel zdążył zadzwonić do Iwony, niespodziewanie odezwał się Markus Benner.

- *Guten Tag* - rzucił bez zastanowienia do telefonu, widząc niemiecki numer.

- Witam. - Głos detektywa był spokojny i beznamiętny.

- Nie ukrywam, że czekałem na ten telefon. - Jego z kolei odrobinę nerwowo.

- Mam już trochę informacji, które na pewno pana zainteresują. Rozumiem, że deklaracja przyjazdu do Berlina jest aktualna?

- Jak najbardziej. Kiedy?

- Zależy, jak bardzo się panu spieszy.

- Bardzo.

- Czyli jutro?

- Tak. Chciałbym też przy okazji, żeby sprawdził pan dla mnie kogoś jeszcze.

- Nie teraz, nie przez telefon - przerwał mu zdecydowanie Benner. - Skoro jutro się widzimy, powie mi to pan osobiście. Parę godzin nie ma znaczenia, bo i tak nie zdążę tknąć tematu.

- Jest się czego obawiać?

- Ostrożność to podstawa w tym fachu. Wystarczy panu takie tłumaczenie?

- Tak. Gdzie i kiedy się spotkamy?

- Jedenasta. A gdzie? Hmm, zna pan trochę Berlin?

- Bardzo dobrze.

Stracił trochę krwi i potu na berlińskich budowach, w kuchniach tamtejszych knajp, a w wolnych chwilach szwendał się po mieście, byle jakoś spędzić te kilka godzin do następnego ranka albo wieczoru, kiedy znów musiał iść do roboty. Robił wszystko, żeby jak najwięcej czasu przebywać na zewnątrz. Dlatego wolał budowy niż knajpy. Bo tam nie ograniczały go ściany i widział niebo, kiedy tylko zerknął w bok. Minęły lata, zanim pozbył się poczucia klaustrofobii, które wyrobiła w nim cela, a przynajmniej na tyle, żeby nie pocić się natychmiast po wejściu do niewielkich pomieszczeń. A Berlin polubił. Bardzo.

- Plaża przy Weissersee. Pasuje?

- Jak najbardziej.

- W takim razie do jutra.

Benner rozłączył się, nie czekając na odpowiedź, a on natychmiast zadzwonił do Iwony. Przyjechała kilkanaście minut później, prosto z pracy.

- Dzwonił Benner - powiedział, kiedy Iwona rozsiadła się w mesie. - Jadę jutro do Berlina spotkać się z nim.

- Powiedział coś więcej? - Jej oczy lekko rozbłyły.

- Nie. Tylko to, że ma informacje, o które mi chodziło. Czyli coś znalazł.

- Uhm... - mruknęła z lekkim rozczarowaniem. - No nic, dowiemy się jutro.

Pogłodziła siedzisko kanapy, a on zaczął się zastanawiać, czy to był bezwiedny ruch, czy jednak coś oznaczał.

Nie wracali do tego, co się między nimi wydarzyło tamtego wieczora. Vogel nie naciskał na więcej, chociaż bardzo mu się podobało. Postanowił, że będzie czekał na jej ruch, kiedykolwiek by nastąpił, choć liczył się również z tym, że nie nastąpi nigdy więcej.

Patrzył na Iwonę, nic nie mówiąc. W zasadzie wyczerpali temat. Tak naprawdę mogli to załatwić przez telefon, choć Iwona wciąż, podobnie jak Benner, była ostrożna w kontaktach z nim, o czym starał się pamiętać. Ale jednak przyjechała. A jemu było z tym dobrze.

- Zjesz coś? - zapytał.

- Hmm... A co masz?

- Krewetki.

Uniosła brwi.

- Serio?

Uśmiechnął się i udając skromność, opuścił wzrok.

- Serio. Nie spodziewaj się jakiejś wystawnej uczy, ale mam nadzieję, że wyjdzie smacznie.

Poszedł do kambuza, wyciągnął z lodówki składniki, a z zamrażarki krewetki. Rozmroził je szybko w gorącej wodzie, obrał z panczerzyków, usmażył na maśle z czosnkiem i z ziołami, dodał trochę liści szpinaku, potem wrzucił wszystko do dwóch salaterek i posypał parmezanem. Zaniósł tacę do mesy, rozejrzał się po niej i zapytał:

- Tu czy na zewnątrz?

- Może na zewnątrz - zdecydowała Iwona, zaciągając się głęboko zapachem jedzenia. - Wszystko ci tu przejdzie czosnkiem.

Po drodze na górny pokład wziął chłodzące się w lodówce wino i dwa kieliszki. Iwona zabrała bagietkę, talerze i sztućce. Kolację zjedli w milczeniu. Patrzył, jak Iwona odrywa kawałki bagietki i zagryza nią krewetki, maczając najpierw jej kawałki w aromatycznym sosie. Kiedy skończyli, dopili wino, wciąż w ciszy mąconej jedynie cykaniem świerszczy i rechotem żab, później pomogła mu pozmywać, pytając przy okazji, jak nazywają się poszczególne części łodzi i jej wyposażenie. Została na noc, ale nie kochali się. Spali na jednej kanapie, oddzielnie, a on, zasypiając, zastanawiał się, czy dziś w nocy znów odwiedzi ich niespodziewany gość. Na wszelki wypadek zamknął drzwi.

Misza nie przyszedł. Kiedy Vogel się obudził, poczuł ciepło ciała Iwony, która leżała tuż przy nim, plecami do niego, oddychając spokojnie i równo. Poglądził ją nieśmiało po ramieniu.

- Nie musisz iść do pracy? - zapytał, kiedy się poruszyła.

Drgnęła nagle i odwróciła do tyłu głowę.

– Jezu, która godzina? – zawołała, przecierając zaspane oczy.

Zerknęła na zegarek.

– Wpół do siódmej.

Zerwała się z pościeli. Wciąż miała na sobie podkoszulkę, w której przyjechała; materiał przesiąknięty był zapachem czosnku i krewetek. Do spania zdjęła tylko spodnie, spod prześcieradła, którym była przykryta, mignęła biel jej majtek.

– Muszę jeszcze pojechać do siebie ogarnąć się trochę!

– Możesz skorzystać z prysznicza – zaproponował.

– Ciuchy dla mnie też masz? – zapytała, mrużąc oczy.

– Mogę dać ci swoje szorty i T-shirt.

Roześmiała się. Nagle zmarszczyła brwi.

– Gdzie trzymasz zimowe ubrania?

– Czemu pytasz?

– A, tak mi przyszło do głowy.

– Wynajmuję mały magazyn w mieście. Taki boks. Tam trzymam wszystko, co nie zmieści się na łodzi.

Kiedy Iwona skończyła się ubierać, podeszła do niego i musnęła ustami jego policzek, a potem pobiegła do samochodu. Vogel wziął prysznic, spakował niewielki plecak, opuścił vespę na nabrzeże i pojechał do miasta.

– Coś dużo ostatnio jeździsz, Heniek? – powiedział pan Artur, kiedy pół godziny później pojawił się u niego w wypożyczalni. – Kijanka może być?

– Może, panie Arturze, może.

Mężczyzna sięgnął pod biurko, wysunął szufladę, pogrzebał w niej i wyjął kluczyk, a potem dał go Voglowi.

– Będę potrzebował papiery. – Ten podrzucił kluczyk w dłoń i zamknął ją na nim. – Wybieram się do Niemiec.

- Jasne. - Pan Artur pokiwał głową, otworzył drugą szufladę i po chwili Vogel miał już dowód rejestracyjny i ubezpieczenie. - Na długo?

- Dziś oddam - obiecał.

- Trzymaj, ile chcesz. - Machnął ręką i uśmiechnął się, a kiedy Vogel zobaczył, jak przy tym marszczą mu się powieki, przyszło mu do głowy, czy gdyby Bartek żył, byłby podobny do ojca, tak jak on do swojego.

- Dzięki wielkie. - Pomachał mu. - Wróci z pełnym bakiem jak zwykle.

Wsiadł do kii, ustawił fotel i lusterka, i prosto stamtąd wyruszył do Berlina. Benner zadzwonił, kiedy dojeżdżał do granic miasta, żeby upewnić się, że wjeżdża od strony autostrady numer jedenaście, a potem powiedział mu, gdzie się spotkają. Vogel dojechał do dzielnicy Weissensee kilkanaście minut później, trochę czasu stracił na znalezienie miejsca do zaparkowania i wkrótce był już w parku, który wskazał Benner.

Niewielkie, otoczone parkiem jezioro Weissersee było położone w samym sercu gęsto zabudowanej dzielnicy. Prosto z ruchliwej, przecinającej ją na pół Berlinerallee można było wejść w inny świat. Benner czekał przy wejściu, na ulicy. Iwona opisała mu go i Vogel, widząc wielkiego blondyna, nie miał wątpliwości, że to on. Nie wiedzieć czemu przypomniał mu się chamski żart Miszy o jego tatuażu wiszącym w gabinecie Himmlera i idąc tym tokiem myślenia, stwierdził, że Misza, widząc Bennera, też miałby na podorzędziu podobny tekst. Na przykład taki, że gdyby urodził się sto parę lat wcześniej, to w latach trzydziestych stałby w pierwszym szeregu kompanii reprezentacyjnej SS albo był stałym bywalcem któregoś z pałacyków zajętych przez Lebensborn.

Benner, dostrzegłszy Vogla, też ruszył w jego stronę. Przywitali się, patrząc sobie uważnie w oczy.

- Przejdźmy się może - zaproponował Benner.

Zeszli z rozpalonej słońcem ulicy, kryjąc się w cieniu drzew. Plaża była zatłoczona, zewsząd dochodziły piski i rozbawione krzyki, ale

detektyw skręcił w stronę parku i już po chwili szli ścieżką biegnącą wokół jeziora. Zrobiło się trochę ciszej.

- Jak droga? - zapytał Benner.

- W porządku - mruknął, nie mogąc się doczekać, aż przejdą do konkretów.

Był lekko zdenerwowany, a Benner chyba to rozumiał. Jeszcze chwilę szli przed siebie w milczeniu.

- Posprawdzałem wszystko, co mogłem - zaczął w końcu Niemiec. - Uruchomiłem kontakty i udało mi się znaleźć całkiem sporo informacji, które mogą pana zainteresować. Faktycznie, pański ojciec od dłuższego czasu angażował się w działalność gospodarczą na terenie Niemiec, ale w ostatnim czasie te działania zintensyfikował. To dość skomplikowana sieć powiązań, nie ma chyba sensu tłumaczyć tych wszystkich zawiłości prawnych, ale w zasadzie wszystko sprowadza się do tego, że większość udziałów trzech największych firm należących do pana ojca zostało w ostatnim czasie sprzedanych pewnemu niemieckiemu przedsiębiorstwu z Hamburga. „Sparta”, tak się nazywa, słyszał pan o nim?

- Nie.

- Dostawy dla wojska: żywność, elementy umundurowania, kamizelki kuloodporne, środki higieny. Także handel bronią w niewielkim zakresie. To ta legalna działalność, zresztą podobna do tej, którą prowadził pański ojciec. Pewne ślady wskazują jednak, że powiązane ze „Spartą” firmy są zaangażowane w już nielegalny handel bronią z krajami afrykańskimi. Po inwazji na Ukrainę, a nawet wcześniej, po aneksji Krymu, tropy prowadzą również na wschód. Nie mówię o czołgach czy wyrzutniach rakiet i pocisków kierowanych, chodzi o drobnicę: broń strzelecką, także automatyczną, granaty ręczne, amunicję. Drobnicę, ale w hurtowych ilościach. Sprawa otarła się nawet o jakąś komisję Landtagu, ale wszystko rozeszło się po kościach. Niczego nie udowodniono, poza tym „Sparta” dość mocno zaangażowała się w pomoc Ukrainie, włącznie ze szkoleniami żołnierzy



tamtejszych sił specjalnych i funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Tylko że większość tej broni na kierunku wschodnim niekoniecznie szła na Ukrainę, rozumie pan? Znalazłem ślady kontaktów z Prigożynem i jego Grupą Wagnera. Klasyczna gra na dwa fronty, kiedy zysk jest najważniejszy.

Vogel przypomniał sobie, co Iwona mówiła o interesach ojca w Niemczech. Wszystko pasowało. Faktycznie, wyglądało na to, że „Sparta” robiła to samo, co firma ojca, a ich działalność zazębiała się na pewnych polach, na przykład na poligonie Bundeswehry koło Torgelow. I ta dziwna zbieżność nazw: hamburska „Sparta” i pierwsza firma ojca, „Molon Labe”. Przyjdź i weź...

– Jak pan to wszystko ustalił w kilka dni? – zapytał Bennera.

– Mam dużo znajomości z dawnych lat. Zresztą, większość z tego to nie są jakieś tajne informacje, a ja mam dostęp do odpowiednich źródeł. A wracając do sprawy: de facto „Sparta” w ostatnim czasie przejęła kontrolę nad spółkami pana ojca lub jest w trakcie tego procesu. No i oczywiście majątek. W chwili obecnej te firmy zarządzane są z Hamburga. To była dość skomplikowana operacja, ale wygląda na to, że poszła gładko i szybko. A teraz najważniejsze: człowiek, z którym pański ojciec współpracował w Niemczech, właściciel „Sparty”, nazywa się Noack.

Vogel stanął nagle w miejscu i poczuł, jak krew odpływa mu z głowy do nóg. Zrobiły się tak ciężkie, że nie był w stanie przenieść ciężaru ciała z jednej na drugą.

– Jak? – wyszeptał.

– Noack.

– Siegfried? – Wymienił to imię na wdechu.

– Tak, Siegfried.

Vogel przejechał czubkiem języka po zębach. Mało brakowało, a by się roześmiał, choć wcale nie było mu do śmiechu. Już raczej bliżej płaczu. Benner patrzył na niego badawczo.

- Tak brzmiało panieńskie nazwisko pana matki, prawda? - powiedział nagle.

Vogel spojrzał na niego w zamyśleniu.

- Mnie też pan sprawdzał? - zapytał ciężko.

- Przede wszystkim. - Detektyw puścił do niego oko, ale natychmiast spoważniał. - Nie myłę się?

- Zgadza się - odparł po chwili Vogel, nie poznając własnego głosu. - Siegfried Noack to mój wuj.

## ANDREAS SCHENK

– Noack... To dość nietypowe nazwisko? – Benner zmarszczył lekko brwi.

Vogel wciąż był myślami gdzie indziej.

– Zniemczone słowiańskie – odparł machinalnie, zmuszając się, żeby zrobić krok naprzód. – Kiedyś brzmiało Nowak. Ta część mojej rodziny pochodzi z Łużyc.

– Rozumiem. – Benner pokiwał głową i kopnął patyk, który leżał na ścieżce na jego drodze. – Ale to jeszcze nie wszystko, co mam panu do powiedzenia. Jest jedna zastanawiająca rzecz w tym wszystkim. W „Sparcie” pojawił się ostatnio nowy wspólnik. Nazywa się...

– Andreas Schenk – przerwał mu gwałtownie.

Tym razem to Benner przystanął i popatrzył na niego dziwnie.

– Moja praca miała w ogóle sens? – zapytał z lekkim rozbawieniem w głosie.

W oczach Vogla nie było śladu rozbawienia. Była za to udręka.

– Nawet pan nie wie, jak duży sens – odparł cicho. – To właśnie jego miał pan jeszcze sprawdzić. To nazwisko wypłynęło ostatnio w Polsce...

Wszystko zaczęło się zazębiać, choć Vogel wciąż nie miał pojęcia, o co tak naprawdę chodzi. Ojciec razem z wujkiem Fridem musiał stworzyć misterną siatkę z ludzi zaangażowanych w jego zniknięcie. Część zapewne brała w tym udział z własnej woli lub za pieniądze, inni całkowicie wbrew sobie, tak jak on. Bo on był również oczkiem w tej sieci.

Benner przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Musiał widzieć, co dzieje się teraz w jego głowie.

- No dobrze, wróćmy do Schenka. Jest oficjalnie wpisany w rejestrach firm. Dziwne, bo nie był nigdy wcześniej w żaden sposób związany z biznesem. Nie znalazłem żadnych informacji o jego jakiegokolwiek działalności, z wyjątkiem jednej. Nie gospodarczej. A znalazłem ją w Archiwum Federalnym, które przejęło zasoby Urzędu Gaucka.

- Jezu... - Vogel jęknął cicho, słysząc tę nazwę.

Powszechna nazwa urzędu powstała od nazwiska jego pierwszego szefa i późniejszego prezydenta Niemiec, pastora Joachima Gaucka. Tak nieformalnie nazywano Urząd do spraw Akt Stasi, odgrywający rolę podobną do Instytutu Pamięci Narodowej. Jego utworzenie było formą rozliczenia się z niechlubną przeszłością państwa wschodniemieckiego, w którym aparat bezpieczeństwa był najbardziej efektywny i represyjny ze wszystkich krajów bloku wschodniego, może poza Związkiem Radzieckim i jego KGB.

- Schenk za czasów NRD był funkcjonariuszem Ministerium für Staatssicherheit w Dreźnie - kontynuował Benner. - Pracował w Kreisdienststelle Dresden-Land, to był urząd powiatowy Stasi. Nie był nikim ważnym. Perlustracja korespondencji, tym się głównie zajmował. Do tego pionu albo szło się dyscyplinarnie, albo trzeba było być niezbyt lotnym i to najprawdopodobniej był ten drugi przypadek, bo nie ma na jego temat niczego więcej. Nie zasłużył się niczym, ani dobrym, ani złym. Po dziewięćdziesiątym został listonoszem, też w Dreźnie i był nim sumiennie aż do emerytury, na którą przeszedł kilka lat temu. Tyle na jego temat.

- Ma pan jakieś jego aktualne zdjęcie?

- Niestety, nie. Mam tylko to z akt, sprzed trzydziestu paru lat.

- Da mi je pan?

- Oczywiście. - Benner sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pendrive. - Tu ma pan wszystko, co znalazłem. Jest zahasłowany, żeby uzyskać dostęp do plików, proszę wpisać sześć cyfr pańskiej daty

urodzenia, począwszy od dnia. Jest tam też podana dokładna kwota do zapłaty za zlecenie, około pięciu i pół tysiąca euro.

Vogel z wahaniem wyjął mu pendrive z dłoni i obejrzał z powątpiewaniem.

– Coś nie tak? – Detektyw zmarszczył brwi.

– Nie, wszystko w porządku, puszczę przelew najszybciej, jak się da, tylko... Nie mam gdzie tego obejrzyć, nie w tej chwili.

Benner skrzywił się.

– Nie lubię papierów. Zawsze jest ryzyko, że gdzieś się je podzieje albo zostawi.

– Jasne, w porządku, to nie problem. – Vogel schował urządzenie do kieszeni i wziął głębszy oddech. – Czy mój wuj... Czy on też był w Stasi?

Nie miał pojęcia, gdzie kiedyś pracował *Onkel* Frido. Wiedział tylko, że wujek dość wcześnie wyprowadził się do Drezna, ale co tam robił – tego mu nikt nigdy nie powiedział, a jego to nie interesowało. A skoro jego działalność biznesowa była bardzo podobna do tej ojca, wniosek mógł być jeden: szli podobną drogą, tylko po dwóch stronach granicy.

Benner był chyba gotowy na pytanie, które mu zadał.

– Nie znalazłem o tym żadnej wzmianki – odparł od razu i zdecydowanie, zastrzegając natychmiast: – Co jeszcze niczego nie oznacza.

– Rozumiem. Zna pan adres Schenka?

– Oczywiście. – Niemiec spojrział na niego tak, jakby poczuł się lekko urażony. – Chce pan tam pojechać?

– Tak – potwierdził i zapytał bez nadziei w głosie, odruchowo dotykając pendrive'a: – A pamięta pan go może?

– Akurat tak, bo Schenka sprawdzałem na końcu. Hansastrasse czterdzieści sześć, mieszkanie numer... Chyba siedem, ale nie jestem pewien. Ma pan jeszcze jakieś pytania? – Benner pochylił lekko głowę.

– Nie, to chyba wszystko.

Detektyw rozłożył ręce w szybkim, krótkim i oszczędnym ruchu: po ułamku sekundy wróciły na swoje miejsce wzdłuż ud.

– Nie będę pytał, o co chodzi, bo to nie moja sprawa, choć mogę się domyślać – powiedział. – Te klocki za bardzo do siebie pasują, żeby spieszyć tę układankę. Życzę powodzenia, panie Vogel. I jestem do usług, w przyszłości.

– Oby nie, bez urazy.

Benner roześmiał się i wyciągnął rękę na pożegnanie. Po chwili Vogel został sam. Pomacał się po kieszeni spodni, upewniając się, czy pendrive tkwi w niej bezpiecznie. Benner trochę się mylił: takie maleństwo można było zgubić jeszcze łatwiej, niż zapomnieć o odłożonych gdzieś na chwilę papierach.

Wolnym krokiem poszedł w kierunku wyjścia z parku, a już na ulicy wyciągnął telefon i zadzwonił do pana Artura.

– Dzień dobry, potrzebowałbym auta jeszcze na dzień, dwa – powiedział.

– Nie ma problemu, załatwiasz sobie swoje sprawy.

Podziękował i rozłączył się, a potem znalazł w okolicy niewielką knajpkę serwującą śniadania. Czekając na zamówienie, zerknął na chudego, wytatuowanego chłopaka siedzącego kilka stolików dalej przed laptopem. Podeszedł do niego i pochylił się nad nim.

– Hej, bardzo zajęty jesteś? – zapytał.

– Bo co? – Chłopak z niechęcią oderwał się od ekranu. – I jestem hetero, więc nie trudź się. Szkoda naszego czasu.

Zobaczył, że przegląda oferty biur podróży.

– Ja też. Ale dam ci pięćdziesiąt euro za możliwość skorzystania z laptopa. Teraz. Dosłownie kilka minut.

Widząc jego podejrzliwie spojrzenie, wyciągnął z kieszeni pendrive i pokazał mu go. W drugiej trzymał już pieniądze.

– Muszę pilnie coś sprawdzić i potrzebuję do tego komputera. Więc jak?

Chłopak przesunął laptop w jego stronę i sięgnął po swoją kawę w papierowym kubku.

- Tylko nie grzeb w nim. I żadnego oglądania treści pedofilskich - zastrzegł, chowając banknot do kieszeni.

Roześmiał się.

- Spokojnie, muszę przejrzeć zawartość pendrive'a i poszperać chwilę w sieci.

Usiadł obok niego, przestawił komputer tak, żeby tamten nie widział ekranu, i włożył pendrive w gniazdo USB. Wpisał hasło i po chwili miał przed sobą efekty pracy Bennera. Przeglądał tabele, skany pism, które niewiele mu tak naprawdę mówiły, ale najbardziej interesowała go fotografia Schenka. Czarno-białe zdjęcie z akt przedstawiało około trzydziestoletniego mężczyznę. Vogel przyglądał mu się dłuższy czas, porównując je z przywołanym z pamięci wizerunkiem ojca z czasów, kiedy był mały. Podobieństwo nie było zbyt duże, choć w niektórych szczegółach dało się je zauważyć. Pomyślał, że zmiany związane z wiekiem mogły je nieco zwiększyć, ale pewności nie miał. Potem oddał laptopa chłopakowi, a jedząc śniadanie już przy swoim stoliku, z telefonu zrobił Bennerowi przelew.

Kiedy dotarł z powrotem do samochodu, wpisał w nawigację adres, który podał mu detektyw, i od razu wyruszył do Drezna. Nie było czasu do stracenia. Przebił się przez rozpalony słońcem Berlin, niedługo później minął lotnisko Schönefeld i po chwili wyjechał na autostradę numer trzystaście, prowadzącą do stolicy Saksonii.

## FRAU BACHMANN

W Dreźnie nie był od dawna, ostatni raz odwiedził je jeszcze przed odsiadką, w swoim dawnym, pięknym i zakończonym już życiu. Kiedy teraz jechał przez Dolne Łużyce i widział przed sobą tablice informacyjne kierujące do większych miast o dwujęzycznych: niemieckich i łужицких nazwach, czuł, jak przyśpiesza mu puls. Przypominał sobie wakacje w Chociebużu, gdzie spędzał całe dwa miesiące, tygodniowe pobyty w Bad Schandau w Szwajcarii czesko-saksońskiej i puszczanie kaczek na Łabie, która w tamtym miejscu ma jakieś sto metrów szerokości, łażenie po niewysokich, ale pięknych górach. Zawsze z matką i dziadkiem Heinim, nigdy z ojcem.

Na miejsce dojechał po dwóch godzinach. Schenk mieszkał w dzielnicy Lipskie Przedmieście. Hansastrasse była dwupasmową aleją, na odcinku, na którym zatrzymał się Vogel, zabudowaną pięciokondygnacyjnymi, ceglanyimi budynkami połączonymi w zwartą pierzeję i o elewacjach pozbawionych detalu. Zostawił auto na parkingu przy Lidlu nieopodal i wrócił tam, zerkając na tabliczki z numerami przy drzwiach na klatki schodowe. Znalazł właściwy i stanął przed wejściem, nie bardzo wiedząc, co robić. Plan był z grubsza skryształizowany, ale jego wykonanie mogło być problematyczne. Musiał znaleźć osobę, która zgodzi się porozmawiać o Schenku, bo raczej nie miał nadziei, że spotka tego człowieka osobiście. Andreas Schenk albo był tylko słupem, albo faktycznie został współnikiem i siedział w Hamburgu w firmie wuja, bo wciąż istniała możliwość, że to nie ojciec przyjął jego tożsamość, a był tylko w jakiś sposób zaangażowany w cały teatrzyk. Zamiana była jednak bardzo prawdopodobna, a jeśli tak, to Schenk był raczej martwy. Pozostało mu to tylko ustalić.



Nacisnął przycisk z numerem siedem i czekał w napięciu, ale zgodnie z przewidywaniami nic się nie wydarzyło. Spróbował numer sześć i czekał. Kiedy w domofonie odezwała się jakaś kobieta, zbliżył usta do siateczki i spokojnym, miłym głosem powiedział:

– *Guten Tag*, nazywam się Heinrich Vogel, chciałbym porozmawiać z panem Schenkem. Chyba nie ma go w domu.

Nie chciał posługiwać się jakimś wymyślonym nazwiskiem, na wypadek gdyby ktoś chciał zobaczyć jego dokument tożsamości. Nie miało znaczenia, że ów ktoś może je później podać Schenkowi, jeśli ten żył. I tak nazwisko Vogel niczego mu nie powie.

– Nie ma. Wyjechał. – Słyszał było, że kobieta jest już w podeszłym wieku.

Kiedy usłyszał jej akcent, znów wspomnienia z dzieciństwa stanęły mu przed oczami.

– A nie wie pani, kiedy wróci?

– Nieprędko. Dostał nową pracę, daleko.

Gorączkowo myślał, co dalej. I wymyślił, że musi wziąć starszą panią na litość.

– Wie pani, pan Schenk to przyjaciel mojego ojca. Tata umiera na raka, załatwia ostatnie sprawy i poprosił mnie, żebym go odszukał. Czy może mnie pani wpuścić?

– Ale po co?

– Chciałbym z panią chwilę porozmawiać. Nie zajmę dużo czasu, muszę jeszcze dziś wrócić do Berlina, do taty.

Milczenie oznaczało wahanie, wiedział to, ale liczył na łut szczęścia. Kiedy usłyszał brzęczenie domofonu, aż zacisnął z radości pięści. Wszedł do środka i już od drzwi usłyszał bełkotliwe szczekanie psa, które niosło się echem po całej klatce schodowej. Na półpiętrze zerknął w górę i zobaczył, że przez barierkę wygląda jakaś kobieta. Szczekanie nie ustawało. Starsza pani, trzymając się mocno pochwytu, przyglądała mu się z góry. Kiedy dotarł tam, zobaczył również psa. Biały buldog angielski ujadł, ale wyraźnie ucieszony. Stał obok kobiety, krótkie

przednie łapy co chwila odrywały się od ziemi, kiedy na nich podskakiwał, nie przestając szczekać. Zwolnił, nie będąc pewny jego intencji.

– Pan się nie boi Lutra. – Kobieta machnęła ręką, więc doszedł do końca schodów.

Pies przestał szczekać, zaczął za to obwąchiwać jego buty.

– Dzień dobry. – Nie spuszczał z niego wzroku.

Nigdy nie miał psa, ojciec uważał zawsze, że psy brudzą i śmierdzą.

– Dzień dobry – odparła kobieta. – Nazywam się Gerda Bachmann.

– Miło mi. – Wyciągnął rękę i uściśnął lekko jej dłoń; była wiotka i chłodna.

– Opiekuję się Lutrem – wyjaśniła *Frau* Bachmann, widząc, że nie spuszcza wzroku z psa. – To pies Andreasa. Miał po niego wrócić w ciągu kilku tygodni, ale się nie odzywa. – Zmarszczyła lekko brwi i poprawiła okulary na nosie.

Dopiero teraz się jej przyjrzał. Była niewysoka, na głowie miała trwałą o fioletowym zabarwieniu i ubrana była w granatowy fartuszek w białe kwiatki, jakie kiedyś nosiły gospodynie domowe.

– Co to za praca? – zapytał.

– Nie wiem, mówił tylko, że to poufne i pewnie dlatego nawet nie dzwoni. Ale bardzo się z niej cieszył. To przemiły człowiek, wie pan? Mieszkamy tu od czterdziestu lat, drzwi w drzwi. Niech pan wejdzie.

Wszedł pierwszy, w drzwiach minął go Luter i pobiegł gdzieś w głąb mieszkania, stukając pazurami o drewnianą podłogę, a on stanął niezdecydowanie w ciemnym, ciasnym korytarzyku.

– Nie chciałbym pani zabierać czasu... – zaczął, próbując zasygnalizować, że sam nie ma go dużo.

Chciał tylko jak najszybciej załatwić sprawę i wracać do Szczecina, do Iwony.

– Tego akurat mam mnóstwo! – *Frau* Bachmann roześmiała się. – Zapraszam, zapraszam.

Popchnęła go lekko samymi palcami, więc ruszył w kierunku drzwi do jednego z pokoiów.

– Napije się pan herbaty? – zaproponowała.

Odmówił grzecznie. Usiadł za stołem nakrytym dzierganym obrusem, bokiem do blatu. Nagle pojawił się Luter, który położył się obok jego stóp i sapał przez nos.

– Tata bardzo źle się czuje? – zapytała *Frau Bachmann*, również siadając przy stole po przeciwnej stronie.

Oparła łokcie o blat i przyglądała się uważnie gościowi.

– Jest trochę lepiej, ale jesteśmy świadomi, że to już koniec – powiedział smutnym tonem. – Lekarze byli bezsilni. Tata żegna się z życiem, dlatego tu jestem. – Rozłożył bezradnie ramiona.

*Frau Bachmann* pokiwała poważnie głową, spuszczać wzrok.

– Niewiele panu pomogę. Tak jak mówiłam, Andreas dostał propozycję pracy. Nie mógł o niej mówić, bo to było związane z jakąś wrażliwą branżą. Miał wyjechać na kilka tygodni, potem wrócić po Lutrę i sprzedać mieszkanie, bo było pewne, że się przeprowadzi do Hamburga.

– Aż do Hamburga? – Udał zdziwienie.

Nie zamierzał pytać o adres. I tak go nie znała, a on chyba wiedział już, co to za firma zaproponowała mu pracę. Dziwił się trochę, że Schenk dał się nabrać. Naiwność? Desperacja? Wybujale ego? Kto potrzebuje emerytowanego listonosza w starszym wieku? Jeszcze na miejscu znalazłaby się jakaś fucha dozorczy, ale ściągać kogoś po to z drugiego końca kraju? *Frau Bachmann*, podobnie jak Schenka, też chyba to nie zastanawiało.

– Aż. – Zgodziła się. – Kawał drogi, co? No, ale nie odzywa się. Napisał kilka razy, że oddzwoni, ale do tej pory nie zadzwonił. Przesłał tylko trochę pieniędzy na jedzenie dla psa i dla dziewczyny, która go wyprowadza, bo ja wie pan, mam problemy z biodrem i nie bardzo mogę latać po tych schodach. A Luter potrzebuje ruchu, sam pan widzi, jak wygląda. – Wychyliła się i zerknęła na psa. – Chyba pana polubił.

– Cieszę się. – Wyciągnął rękę w stronę psa, a ten polizał go po niej mokrym jęzorem, przy okazji zostawiając mu na palcach odrobinę gęstej śliny z fali.

Odruchowo wytarł dłoń o szorty i spojrzął na *Frau* Bachmann.

– Ma pani może jakieś jego zdjęcie? – zapytał, dodając od razu: – Mam na myśli pana Schenka, oczywiście. Takie niezbyt stare. Tata chciałby pewnie wiedzieć, jak się zmienił. Nie widzieli się ze dwadzieścia lat, albo i więcej.

Starsza pani pokiwała siwą głową.

– Coś się chyba znajdzie – powiedziała i podreptała do pokoju obok.

Po chwili wróciła z przeglądarką zdjęć. Trzymała ją niezgrabnie i z lekką obawą, potem ostrożnie położyła na stole i uruchomiła, wciskając przycisk startowy odrobinę za mocno, jak w jakimś starym, analogowym urządzeniu.

– Fajny gadżet – zauważył.

– Córnka mi dała. – Twarz pani Bachmann pokraśniała od uśmiechu. – Mogę sobie oglądać fotografie jak w małym telewizorze. Przysyła mi na komputer, a ja sobie je tu wgrywam. To znaczy Andreas mi to robił. – Uśmiech zniknął nagle. – Mam spore zaległości, teraz, żeby zobaczyć najnowsze zdjęcia, muszę uruchamiać komputer i oglądać je na nim. Jak wróci, to nadrobimy, będzie miał sporo roboty...

Zamaszystymi ruchami zaczęła przesuwac opuszką zdjęcia, zatrzymując się przy co którymś.

– To właśnie moja Jana. – Pokazała mu jedno z zadowoloną miną, zerkając na nie znad okularów. – A to wnuczka Kerstin. Jej ojciec pochodzi z Maroka.

Ostatnie zdanie powiedziała takim tonem, jakby nie akceptowała wyboru córki. Spojrzął na zdjęcie rudowłosej kobiety przytulającej dziewczynkę o dużo ciemniejszej karnacji. Spod włóczkowej czapki małej wystawały czarne, kręcone kędziorki. Obie uśmiechały się szeroko, a mała machała do obiektywu obiema rączkami. Vogel poroztkliwił się przez chwilę kurtuazyjnie, nie mogąc się doczekać, aż

*Frau* Bachmann dotrze do jedyne go zdjęcia, które go w tej chwili interesowało. Starsza pani znów zaczęła przesuwać palcem po ekranie, aż nagle zatrzymała się.

– O, mam – obwieściła z zadowoleniem. – To nasza impreza sąsiadka z zeszłej jesieni. To jest Andreas.

Przesunęła przegładarkę w jego stronę. Przysunął ją sobie i spojrzął na zdjęcie, na którym było kilka osób, w tym *Frau* Bachmann. Nie miał wątpliwości, który z mężczyzn to Andreas Schenk, choć zmienił się sporo w porównaniu do zdjęcia sprzed czterdziestu lat. Podobieństwo do ojca wciąż nie było uderzające, ale teraz od razu dało się je zauważyć. Szeroka twarz, nieco bulwiasty nos i mięsiste usta, większe niż u ojca. Schenk miał nawet niemal taką samą fryzurę. Mocne i gęste mimo wieku mlecznobiałe włosy zaczesane były lekko na bok. Nosił je odrobinę dłuższe niż ojciec, który chadzał do fryzjera regularnie, co tydzień. Pamiętał, że to były zawsze wtorkowe popołudnia.

– Mogę zrobić zdjęcie komórką? – zapytał, powstrzymując drżenie głosu. – Będzie musiało tacie wystarczyć.

– Dobrze i to. – Pokiwała skwapliwie głową.

Vogel wyciągnął komórkę i zrobił zdjęcie Schenka. Wyszło nieco niewyraźne i z ciemniejszymi paskami, które były efektem częstotliwości impulsu podświetlenia przy odświeżaniu obrazu.

– Mogłaby pani odrobinę zwiększyć jasność? – poprosił.

Spojrziała na niego lekko spłoszona.

– Nie wiem jak – przyznała po chwili z lekkim zawstydzeniem.

– Trudno, niech tak zostanie – uśmiechnął się pocieszająco.

Nie chciał już tracić czasu na grzebanie przy urządzeniu, taka jakość mu wystarczyła. Wstał, schował komórkę i uśmiechnął się do *Frau* Bachmann.

– Serdecznie pani dziękuję w imieniu swoim i taty – powiedział poważnym tonem. – To było bardzo uprzejme z pani strony. Kiedy pan Schenk wróci, proszę mu przekazać serdeczne pozdrowienia.

– A pewnie, pewnie! – Znów pokiwała głową, powoli wstając od stołu i podpierając się przy tym o blat.

Wiedział, że ta chwila nigdy nie nastąpi, bo Andreas Schenk już nie wróci do Drezna. Pożegnał się z *Frau* Bachmann, pogłaskał Lutra, starannie unikając jego pyska, i po chwili był już na ulicy.

Nie miał praktycznie żadnych wątpliwości. Ojciec przejął wcześniej tożsamość Schenka, a przynajmniej podał się za niego w klinice Sudoła. Tam przeszedł niewielką operację upodobniającą go do niego i wyleciał do Niemiec, by upozorować własną śmierć i zacząć żyć jako Schenk w nowym środowisku. Wujek musiał brać w tym udział, bo to zapewne on znalazł w Niemczech człowieka na tyle podobnego do ojca, żeby stworzyć mu legendę. W dodatku byłego funkcjonariusza Stasi, którego musiał znać jeszcze z czasów, gdy pracował w Dreźnie. I kto wie, kim naprawdę był człowiek, który zginął w śmigłowcu. Sudoł czy może jednak Schenk? Szczoteczka do zębów mogła należeć przecież i do Niemca.

Stał przy samochodzie i wpatrywał się w zdjęcie na ekranie swojej komórki, aż nagle zdecydował, jaki będzie następny krok, który zrobi.

Musiał kogoś odwiedzić. Musiał odwiedzić człowieka, z którym nie widział się prawie trzydzieści lat. I miał bolesną świadomość prawdziwości powiedzenia, że czasami z rodziną najlepiej wychodzi się tylko na zdjęciach.

## ONKEL FRIDO

Do Hamburga Vogel miał pięćset kilometrów, czyli przed sobą jakieś pięć godzin podróży. Wybrał trasę przez Hanower i dotarł na miejsce w nocy; znalazł tani hotel, gdzie wziął prysznic i natychmiast położył się spać. Miał ostatnią zmianę bielizny, ale nie przejmował się, bo Hamburg miał być ostatnim etapem jego poszukiwań. Wiedział to. I był pewien, że spotka się nie tylko z wujem, ale i z ojcem. O ósmej rano spakował się, wymeldował z hotelu i od razu pojechał na spotkanie z Siegfriedem Noackiem.

Siedziba „Sparty” mieściła się w kwartale Übeerse w hamburskim Hafencity. Portowa dzielnica, część Speicherstadt, była połączeniem starej i nowoczesnej zabudowy, choć akurat w tym miejscu, w którym znalazł się Vogel, przeważała ta nowa. Widać było kapitał, jaki włożono w zurbanizowanie tych rejonów: bezosobowe biurowce ustawione jak klocki wzdłuż ulic i alei sprawiały wrażenie wyobcowania. „Sparta” mieściła się w jednym z takich biurowców: przeszklonym i zimnym jak igloo, choć prostopadłościennym.

Wszedł do środka przez obrotowe drzwi i spojrzał na tablicę informacyjną w lobby. Firma wuja Frido znajdowała się na piątym piętrze, więc ruszył w kierunku wind. Zaczepiony przez człowieka w białej koszuli i czapce przypominającej krojem policyjną, odparł spokojnie: „Sparta” i to było jak hasło. Człowiek zawrócił za kontuar, a on przywołał windę. Jadąc nią ku swemu przeznaczeniu, pełen sprzecznych uczuć czuł, jak wali mu serce, a równocześnie ogarnął go jakiś spokój. Był zdeterminowany. Bał się, ale determinacja zwyciężyła w tej walce.

Po chwili był już na górze.

Wysiadł z windy i stanął przed szklaną taflą z ledwie zarysowanym w niej prostokątem drzwi z tego samego materiału. Była półprzezroczysta, widział kolorowe cienie ludzi poruszających się w ukrytych za nią biurach. Z boku, na białej jak śnieg ścianie widać było tylko prosty napis.

Die SPARTA Gruppe.

I nic więcej. Na tafli drzwi zobaczył czytnik kart z okiem kamery i wąski, niewygodny uchwyt. Podeszedł do nich i nacisnął największy przycisk. W tej samej chwili drzwi uchyliły się i wyszedł zza nich jakiś człowiek. Minął go, nawet na niego nie patrząc, więc Vogel złapał wracające skrzydło, przytrzymał je i wśliznął się do środka. Znalazł się w obszernym biurze, oddzielonym od strefy wejściowej kontuarem z nierdzewnej stali. Za kontuarem, tyłem do niego stał wysoki brunet w kraciastej marynarce, trzymający w ręku plik papierów.

Vogel chrząknął, zwracając jego uwagę. Był w podłym nastroju, nie miał nawet ochoty na bawienie się w grzeczność. Brunet odwrócił się i zmarszczył brwi.

– Przepraszam, jak pan tu wszedł? – Zdziwił się.

– Przez drzwi. – Vogel wskazał gdzieś za siebie z niewzruszoną miną.

Facet popatrzył ponad jego ramieniem i lekko się skrzywił.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał.

– Chciałbym się widzieć z panem Siegfriedem Noackiem.

– W jakiej sprawie?

– Osobistej.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Pan Noack wyjechał.

– U was w firmie dosyć często się wyjeżdża, prawda?

– Nie rozumiem?

– Nie szkodzi. Chciałbym się zobaczyć z panem Siegfriedem Noackiem. W sprawie osobistej. Teraz, natychmiast.

– Już pan to mówił. Ja też coś panu powiedziałem.

– Proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że czekam tu.



– Naraża się pan na kłopoty. – Facet wciąż był grzeczny, ale oczy zwięzły mu się niebezpiecznie. – Zaraz będę zmuszony wezwać ochronę, żeby pomogła panu opuścić budynek.

– Pan też narazi się na kłopoty, jeśli zaraz pan go nie poinformuje, że tu jestem. Mówię poważnie: po prostu niech pan zadzwoni i powie mu, że przyszedł Henryk. – Specjalnie użył polskiej odmiany imienia. – Będzie wiedział, o co chodzi.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak dwa byki, które zaraz ruszą na siebie. Nagle mężczyzna odsunął się, sięgnął po telefon i wybrał numer. Przyłożył komórkę do ucha i czekał, nie spuszczać Vogla z oczu. Nagle drgnął, odwrócił się i odszedł parę kroków w głąb pomieszczenia, mówiąc coś cicho. Po chwili opuścił rękę i wrócił do niego.

– Proszę o dokument tożsamości – zażądał.

Vogel wyjął z portfela polski dowód i podał go mężczyźnie. Ten rzucił na niego okiem i oddał mu go, a potem znów odszedł, mówiąc coś cicho do telefonu. Przez chwilę stał odwrócony tyłem i słuchał, a potem schował telefon do kieszeni i wrócił do Vogla.

– Zapraszam.

Zaprowadził go przez openspace i trafili do jakiegoś korytarza. Na jego końcu znajdowały się drzwi, do których mężczyzna podszedł. Zapukał w nie, odczekał chwilę i uchylił, odsuwając się na bok. Vogel minął go, tamten nie zaszczylił go nawet jednym spojrzeniem, tylko przepuścił i zamknął je za nim.

Znalazł się u celu.

Wielkie, panoramiczne okna wychodziły nie na ulicę, tylko na tył, dzięki czemu rozpościerał się z nich widok na port, kanał z dziwnym mołem pośrodku i Elbphilharmonie: ogromny, kontrowersyjny budynek z salą koncertową, który u jednych budził zachwyt, u innych obrzydzenie. Gabinet był urządzony nomen omen po spartańsku. Wielkie biurko ze szklanym blatem, czarne, stojące tyłem do okna krzesło biurowe, które musiało kosztować fortunę, coś w rodzaju

kanapy pod ścianą, przy niej niski stolik kawowy, trochę regałów zastawionych papierami i teczkami i czarna, błyszcząca posadzka, która musiała być utrapieniem sprzątaczk. Przy oknie na trójnożnym statywie stała luneta, przez którą wuj mógł sobie obserwować życie na zewnątrz.

Na środku gabinetu stał wuj Frido. Kiedy zobaczył swojego gościa, ruszył w jego stronę powoli, z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Henryk? Chryste, to faktycznie ty...

Stał przed wujem, nic nie mówiąc. Nie wiedział, co powiedzieć, a równocześnie wszystko chciało wyjść z niego wezbranym i niekontrolowanym potokiem słów. *Onkel* Frido zmienił się, to było oczywiste i naturalne. Pamiętał go słabo, a teraz miał przed sobą starszego pana z nieco potarganymi i przerzedzonymi białymi włosami, z brzuszkiem, na którym opięta była biała koszula, pomarszczoną, pokrytą bruzdami twarzą i ciemnymi workami pod oczami.

– Co to za akcja z moim pracownikiem? – Wuj Frido zmarszczył brwi, wskazując podbródkiem wejście do gabinetu.

– Nie chciał mnie do siebie dopuścić. A mi zależało na spotkaniu z tobą. Bardzo.

– Uhm... Nazywasz się teraz inaczej, tak?

– Tak.

Nie chciało mu się tłumaczyć powodów zmiany nazwiska. Na szczęście wuj nie pytał o to, tylko ruszył w jego stronę z szeroko otwartymi ramionami, jakby chciał wyściskać dawno niewidzianego siostrzeńca, ale on cofnął się o krok. Wuj stanął w miejscu.

– No dobrze, dotarłeś do mnie, gratuluje. A co cię tu sprowadza? – zapytał.

Słyszac to bezczelne pytanie, Vogel uśmiechnął się sardonicznie i opuścił na chwilę głowę.

– A jak myślisz? – Słowa były ledwo słyszalne.

– Skąd miałbym to wiedzieć? – Wuj Frido wzruszył ramionami, a na jego twarzy wykwitł pełen zdziwienia uśmiech.

Wyglądał na szczerzy, choć przeczyły temu oczy. Powieki ściągnęły się razem z innymi mięśniami twarzy, ale źrenice pozostały zimne. Bezwzględne. Takie, jakie pamiętał z dzieciństwa. Tak inne od matki.

– Chcę się zobaczyć z ojcem – wypalił, patrząc, jak wuj zareaguje.

Zdziwił się. Uśmiech zniknął, ale zamiast szoku czy chociaż wyrazu zaskoczenia zobaczył na niej tylko obojętność. Siegfried Noack milczał przez chwilę, a potem patrząc mu prosto w oczy, powiedział tylko:

– To niemożliwe.

Vogel zagryzł dolną wargę.

– Wszystko wiem. Wiem, co zrobiliście. Inaczej by mnie tu nie było. Nie przyjechałem odnawiać kontaktów z rodziną. I nie mam na sobie podsłuchu, jeśli tego się obawiasz.

– Och, wiem, że nie masz. – Wuj machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Gdybyś miał, nie wszedłbyś tu, uwierz mi. Nie widziałeś go, ale przechodziłeś obok skanera. A szyby też są specjalne... – Pokazał okno za sobą. – Nie ma możliwości posłużenia się mikrofonem laserowym. Jakikolwiek informacje wyjdą z tego pomieszczenia, będą tylko w czyjejs głowie. – Popukał się w skroń.

– Więc powiedz mi, dlaczego nie mogę się z nim zobaczyć. Zobaczyć się z panem Andreasem Schenkiem.

Wuj ściągnął usta w ciup.

– On nie żyje, Heinrich.

– Nie żyje Schenk i ten lekarz. A ojciec ma się świetnie, prawda? Jest gdzieś w tym biurowcu?

– Ty nie rozumiesz: twój ojciec naprawdę nie żyje. Zmarł trzy dni temu. Spóźniłeś się.

Stał z otwartymi ustami, nieświadomy tego.

- Co się stało? - wyjąkał, kiedy był już w stanie zebrać myśli.

- Udar. Po prostu.

- Po prostu?

- Też w to nie wierzyłem. - Wuj Frido wzruszył ramionami, odwrócił się w stronę okna, a potem usiadł za swoim biurkiem. - Ale to ja go znalazłem na podłodze w jego nowym gabinecie, tu, za ścianą. Martwego.

Przez chwilę patrzył na wuja szklanym wzrokiem.

- Bardzo wygodna ta śmierć - stwierdził nagle. - Masz teraz kontrolę nad jego firmami w Polsce. Nie znam się, ale wygląda na to, że je po prostu przejąłeś, razem z majątkiem, sprzętem, wszystkim.

- Faktycznie się nie znasz. A jeśli chodzi o tę wygodę... Coś sugerujesz?

- Tylko się zastanawiam. Ty byś na moim miejscu tak nie pomyślał?

- Musisz mi uwierzyć, Heinrich. Mogę ci przysiąc na twoją matkę, jeśli chcesz...

- Nie waż się nawet o niej wspominać - warknął, czując, jak napinają mu się wszystkie mięśnie.

- To moja siostra.

- Co z tego? Nie widziałeś się z nią przez dobre trzydzieści lat. Nie przyjechałeś nawet na jej pogrzeb.

- Nie mogłem. Nie było mnie w Europie.

- Nieważne, zostawmy to.

- Mam ci pokazać jego trupa w szpitalnej kostnicy? Jeszcze tam leży. Pogrzeb będzie dopiero pojutrze.

- Jego pogrzeb czy Schenka?

Wuj wessał wargi i głośno nabrał nosem powietrza. Zaciągnął się nim, jakby wachał jakiś miły zapach.

- Na nagrobku będzie inne nazwisko, ale w grobie będzie on. Sam rozumiesz, że...

- Rozumiem - wycedził.

Mierzyli się przez chwilę spojrzzeniami.

– Więc jak, chcesz pojechać go zobaczyć?

– Nie. Wierzę ci. Nie powinienem, ale wierzę.

Wuj skinął głową, jakby akceptował jego decyzję.

– Przy okazji: jaki masz plan? Zamierzasz się pojawić na pogrzebie?

– Jedyne, co zamierzam, to dowiedzieć się teraz wszystkiego i spieprzać stąd jak najszybciej, zanim się porzygam. Taki mam plan. Co ty na to?

Wuj uśmiechnął się pod nosem.

– Najpierw ty. – Zerknął na siostrzeńca. – Co wiesz?

Vogel powiedział mu. Nie wszystko, a tylko to, co było potrzebne, żeby wyjaśnić, skąd wziął się akurat tutaj. *Onkel* Frido słuchał go, a kiedy Heinrich skończył, jeszcze przez chwilę stał zamyślony z opuszczoną głową. Wreszcie wziął głęboki oddech i spojrział na niego.

– Nie, nie chodziło o sprawy handlu bronią ani o zainteresowanie służb – powiedział. – On bał się kogoś stamtąd, z Polski, ale nie chodziło o interesy, tylko o jakąś sprawę z przeszłości. Bał się kogoś wysoko postawionego i nawet on musiał uznać, że ryzyko jest zbyt wielkie.

– Kto to był?

– Nie powiedział mi. Twierdził, że to już nie ma znaczenia i że jego śmierć całkowicie rozwiązała problem. Dlatego właśnie zdecydował się na taki radykalny krok i nowe życie tutaj. Żeby uciąć to wszystko. Nazwał to bodaj „polowaniem”. Mówił też, że kiedy już tu okrzepnie, może zrobi coś z tym z pomocą swoich ludzi, bo ma jeszcze jakieś możliwości reakcji, choć stwierdził też, że to może być niepotrzebne ruszanie gówna, które znów zacznie śmierdzieć. Ale, jak już wspominałem, nie znam żadnych szczegółów.

– I ty to po prostu przyjąłeś do wiadomości?

– Znaliśmy się nie od wczoraj. Jego żona była moją siostrą, Heini, nie zapominaj o tym.

Własne imię w zdrobieniu, które pamiętał z dzieciństwa, w ustach tego człowieka bolało jak siarczysty, wymierzony zniecacka policzek.

– Kto zginął w śmigłowcu? – zapytał. – Co się stało z prawdziwym Schenkiem?

– Po co chcesz to wiedzieć?

Vogel bezwiednie zacisnął pięści. Faktycznie, pytanie nie miało sensu. A może nie tyle samo pytanie, co zadanie go temu człowiekowi.

– Po prostu chcę.

Ogólna odpowiedź, w której było wszystko. Również obawa, a nawet strach, że skoro ojciec był takim skurwysynem, coś z tego musiało być i w nim, jako jego synu. I siostrzeńcu człowieka, który stał przed nim.

– Jakie to ma znaczenie? – Wuj Frido wzniósł wzrok ku sufitowi, a on pomyślał o pani Bachmann i tłustym Lutrze.

– A jeśli dla kogoś ma? – zapytał.

Wuj milczał.

– Nie odpowiesz mi? – dociekał z uporem.

– Nie. Ani na to pytanie, ani na poprzednie. Bo tego nie wiem.

Popatrzył wujowi w oczy. Nie uważał się za eksperta w ocenie ludzkich zachowań, choć w więzieniu miał okazję sporo się nauczyć. Był prawie pewien, że wuj nie kłamie. A może tylko chciał być tego pewien. Nie wiedział, jak dużego kredytu zaufania można udzielić człowiekowi takiemu jak wuj, ale jakiegoś musiał udzielić. Choćby dlatego, żeby później spróbować sobie to wszystko poukładać.

– Nie wiesz, bo nie chciałeś wiedzieć? – zapytał go.

– To on nie chciał, żebyś wiedział. Im mniej wiesz, tym krócej jesteś przesłuchiwany, nie znasz tej zasady?

– Wpajali wam ją w Stasi?

Uderzył celnie, widział to. Właśnie dowiedział się tego, czego nie doszperał się Benner.

Wuj milczał. Przez chwilę drgnęła mu żuchwa, jakby chciał coś powiedzieć, ale jednak się rozmyślił.

- Zaakceptowałeś to, co ojciec zrobił. - Atakował go dalej. - I nie tylko to, bo pomagałeś mu w tym. Znalazłeś mu nawet sobowtóra. Chcesz mi wmówić, że nie wiedziałeś, co się z nim stanie?

Wuj zrobił palcem wskazującym ruch, jaki robią rodzice zakazujący czegoś dziecku. Wyglądał kuriozalnie w tej sytuacji.

- To nie miało znaczenia, co ja o tym myślę - stwierdził z przekonaniem, jak gdyby faktycznie w to głęboko wierzył. - Zenon zrobiłby to tak czy siak, z kimś innym. Ale tak wyszło, że miał mnie. Miałem mu odmówić? W końcu jak by nie było, rodzina.

- Proste, nie? - Vogel roześmiał się. - Jak to wszystko można sobie łatwo wytłumaczyć... Sobie, ale innym już nie do końca, *Onkel Frido*.

Noack wstał i wyszedł zza biurka. Podszedł do siostrzeńca powoli, z namysłem gładząc palcami podbródek, wyraźnie zastanawiając się nad tym co, a właściwie jak chce powiedzieć.

- To ciebie nie dotyczy, mały Heini. Nigdy nie dotyczyło. Nie mieszaj się w to więcej, wracaj do siebie i żyj swoim życiem. Już po wszystkim. Plan był dobry i zadziałał, tylko jak zwykle zdarzyła się nieprzewidziana rzecz. Powiem ci szczerze, nawet zastanawiałem się, czy kiedy umierał, jeśli w ogóle miał tego świadomość, w ostatnich chwilach nie wściekał się, że tak to się kończy. Po raz pierwszy nie miał nad czymś kontroli. Musiało boleć i nie mówię o bólu fizycznym. Przez całe życie wszystko ci się udaje i nagle: pffff... - Złączył palce obu dłoni i oderwał je od siebie nagłym ruchem imitującym eksplozję, a potem śledził wzrokiem, jak opadają razem z ramionami.

Vogel patrzył na to w milczeniu, później przeniósł wzrok na okno i skupił go na widoku za nim. W oddali majaczyła bryła filharmonii: ostre szpice fal na styku dachu i elewacji dziobały błękitne niebo.

- Kiedys też doświadczysz tego bólu, wujku.

- Wszyscy kiedyś umrzemy. A twój staruszek chyba nie dopuszczał tej myśli do siebie. - Zerknął na zegarek. - Myślę, że pora kończyć nasze spotkanie, Heinrich. Jestem trochę zajęty, a my powiedzieliśmy już sobie wszystko, co było do powiedzenia. I powiedziałem ci to tylko

dlatego, że łączą nas więzy krwi. Ale mimo to chciałbym, żebyś pamiętał o jednym: moja rada, żebyś to zostawił, była szczerą. Nie mówię ci wprost, żebyś się oglądał za siebie. Mówię ci tylko, żebyś o wszystkim zapomniał.

- Bo co? Bo inaczej skończę jak Schenk? - prychnął.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

- To u nas chyba rodzinne?

- Możliwe. Ale nie myl pewności siebie z arogancją. Można się czasem zdziwić.

- Rozumiem, że o arogancji wiesz wszystko?

- Widzę, że ty również.

- To ja tobie też dam dobrą radę, *Onkel*. Gówno by mnie to wszystko obchodziło, gdyby nie to, że ktoś się tym interesuje. Ktoś, kto zmusił mnie, żebym w tym grzebał. Nie wiem, kim są ci ludzie, ale przekażę im, że ojciec nie żyje, tylko nie wiem, co oni z tym zrobią. I co zrobisz ty, kiedy do ciebie przyjdą. Nie mówię ci wprost, żebyś się oglądał za siebie. Podejrzewam, że jakby co, to staną z tobą twarzą w twarz. Godząc się na ten układ z nim, powinieneś być wziąć pod uwagę, że mój ojciec był mistrzem w rozpiędalaniu ludziom życia. Zwłaszcza tym ze swojej rodziny. Witaj w klubie, *Onkel* Frido. I nie mówię do zobaczenia, bo nie zamierzam się więcej z tobą widzieć.

Odwrócił się i wyszedł. Kiedy jechał windą na dół, trzęsły mu się ręce. Pod pachami koszulki znaczyły się ciemne plamy potu, wcale nie od upału. Przyglądał się w lustrze swojej twarzy, która przez kilkanaście ostatnich minut postarzała się o kilka lat, i intensywnie myślał, co teraz. Co z Miszą, co z ludźmi, którzy go przysłali. Czy to już będzie koniec sprawy, czy wręcz przeciwnie.

Bo znowu był w punkcie wyjścia.



## POLOWANIE

Pod wieczór był już w Szczecinie. Zatankował auto, zostawił je u pana Artura i wrócił skuterem na przystań. Iwona nie zadzwoniła przez te dwa dni, on do niej też nie, ale teraz był już ku temu powód i najwyższy czas. Nie odebrała, napisała tylko, że ma nockę, nie może rozmawiać i skontaktuje się jutro. Uznał, że te kilka godzin nie ma znaczenia, więc nie mając nic do roboty, po prostu zjadł kolację i poszedł spać.

Obudził go jakiś stuk. Uspokajając bijące mocno serce, podejrzewał już, co było źródłem tego stuk. Na pewno nie gałąź. I nawet nie kolejny trup, chociaż chciałby, żeby tym trupem został człowiek, który stał w drzwiach mesy.

– Wciąż nie zamykasz drzwi? – zapytał Misza z lekkim zdziwieniem.

– Tu panują pewne zasady – burknął, zwlekając się z pościeli i zapalając światło. – Nikt nikomu nie wpierdala się bez zaproszenia na łódkę.

– Może gdybym był żeglarzem, tobym je znał i wcześniej zapytał, czy mogę wpaść. – Misza rozejrzał się po mesie. – Ale nie jestem.

– Czego chcesz?

Pytanie było głupie i wiedział to, ale nie mógł sobie odmówić przyjemności zadania go.

– Nie było cię, Pajączku. – Misza spojrział na niego z zaciętą miną, siadając na skraju siedziska. – Odwiedziłem cię wczoraj, a ciebie nie było na miejscu. A ja nie lubię takich rozczarowań.

– Przecież widziałeś, że łódź jest na przystani. Myślisz, że co robiłem? Uciekłem? Albo byłem na wakacjach?

Misza pociągnął nosem.

– Mam nadzieję, że moje czekanie było czegoś warte?

– Owszem. Dowiedziałem się całkiem sporo.

– No to słucham.

– W śmigłowcu faktycznie zginął ten lekarz, który zrobił mu operację plastyczną. Na jakieś osiemdziesiąt procent, tak sądzę.

– Nie rozumiem?

– W grę wchodzi jeszcze jedna osoba, ale myślę, że jednak trudniej byłoby to ojcu zorganizować, więc stawiam na lekarza. Ale to nieistotne.

– Wszystko jest istotne.

– Najbardziej istotne jest to, że on nie żyje, Misza.

Nie mógł się doczekać, aż mu to powie. Nie mógł się doczekać chwili, w której zobaczy na tym jego paskudnym ryju wyraz zaskoczenia, ogłupienia, a potem nagłego zrozumienia, że z jego planu nici. Nie dbał, co będzie potem. Czy Misza po prostu wstanie i wyjdzie, czy każe mu pokazać jakieś dowody, czy będzie chciał, żeby jeszcze raz przejechał ścieżkę swoich odkryć, ale już razem z nim.

– To w końcu żyje czy nie? – warknął Misza.

– Nie. Podszył się pod pewnego Niemca z Drezna. Wykorzystał fizyczne podobieństwo, poprawił się jeszcze w klinice chirurgii plastycznej i przejął jego tożsamość, najprawdopodobniej zabijając tamtego. Tamten człowiek nazywał się Andreas Schenk i to jego miałem na myśli, mówiąc o tych dwudziestu procentach. Plan się udał, ojciec zainstalował się już w nowym miejscu w Hamburgu, ale kilka dni temu dostał udaru i zmarł.

– Kto mu w tym pomagał, oprócz tej krowy, asystentki?

– Jego nowy współnik.

– Jakiś szwab?

– Tak.

– Kto ci powiedział to wszystko?

– Odkryłem to sam, tak jak chciałeś. Wynająłem niemieckiego detektywa, który ustalił kilka faktów, a potem poszedłem tym tropem. I tak trafiłem na tego Schenka. Po nitce do kłębka.

Nie widział zresztą powodu, żeby ukrywać to przed Miszą, a poza tym, miał dla niego jeszcze kilka niespodzianek.

- A kłębek? - zapytał Misza, marszcząc brwi.

- Kłębkiem jest właśnie ten wspólnik.

- Chcesz mi powiedzieć, że z nim rozmawiałeś? - Po raz pierwszy zobaczył w oczach Miszy jakiś błysk; po raz pierwszy nie były martwe i bezosobowe.

- Tak - przyznał spokojnie.

- I to on ci powiedział, że twój ojciec kipnął? Skąd w ogóle masz pewność, że faktycznie nie żyje?

- Tak, to on mi o tym powiedział.

- A ty mu uwierzyłeś na słowo? Ochujałeś? - We wzroku Miszy znów pojawiło się to coś.

Jego oczy były większe niż zwykle, niemal wychodziły z orbit.

- Proponował mi wizytę w kostnicy, ale nie skorzystałem.

- Dlaczego?

- Ojciec był po operacji plastycznej i martwy od kilku dni, więc i tak wyglądałby nieco inaczej. Ale nawet nie o to chodzi. Uwierzyłem mu, bo to była naprawdę szczerą rozmową.

- Nie wkurwiał mnie, Pajączku.

- Nie zapytasz, kim był ten wspólnik?

Mięśnie wokół ust Miszy zadrgały lekko.

- Kim?

- Moim wujem. Tak, moim własnym, rodzonym wujem. To było cudowne spotkanie po latach. Padliśmy sobie w ramiona, wyściskaliśmy się serdecznie i porozmawiali szczerze jak wuj z siostrzeńcem.

- Nie kpj sobie ze mnie, powtarzam.

- To ostatnie jest akurat prawdą, Misza. To była szczerą rozmową. On wiedział, że tak naprawdę nic na niego nie mam. Kiedy przyjdzie co do czego, może twierdzić, że był święcie przekonany, że bierze za

wspólnika dawnego kolegę ze Stasi, z którym nie widział się od ponad trzydziestu lat. Podobnie jak ze szwagrem. Wyłga się z tego bez trudu. I powiedział mi to wszystko tylko dlatego, że jestem jego siostrzeńcem.

- Był w Stasi? - Rzadkie brwi Miszy znów spotkały się nad nasadą nosa.

- Akurat na to nie mam bezpośrednich dowodów, ale raczej tak. A Schenk był w niej na pewno. Mam na to dokumenty. I uprzedzając twoje dalsze pytania: ojciec nie był zbyt wylewny, nawet wobec swojego szwagra. Wuj mu pomógł, ale jak twierdzi, też nie miał pełnej wiedzy, o co chodzi. Miał ją wręcz szczątkową. Jedyne, co wiedział o jego ucieczce z Polski, to to, że podobno wcale nie chodziło o interesy.

- To o co?

- Ktoś tutaj na niego polował. Tak mu powiedział. Pewnie miał na myśli twoich mocodawców.

- Polował, mówisz... To ciekawe.

- On nie żyje, Misza, i pogódź się z tym. A ponieważ temat jest zakończony, chciałbym, żebyś mi coś wyjaśnił. Nie chodziło o forszę, prawda? Nie wiem, o co chodziło, ale na pewno nie o forszę i nie o jego interesy. A ty znałeś się z moim ojcem ze starych czasów. Pracowaliście razem w SB w Gorzowie, potem wasze drogi się rozeszły, albo i nie. Może rozeszły się dopiero niedawno. Dlatego ci ludzie cię wynajęli, a nie dlatego, że razem garowaliście. Znaliście się z ojcem i oni o tym skądś wiedzieli. A może to nawet wasi dawni koledzy z resortu, co? Może to właśnie oni są myśliwymi, a ty jesteś ich psem tropiącym? Widzisz? - Spojrzała na Miszę z jawną kpina. - Sam mnie nakręciłeś. Popchnąłeś do działania.

Misza odsłonił zęby w grymasie, który miał być chyba uśmiechem i wyrazem uznania jednocześnie.

- Nigdy nie pasowałeś do tych debili z kicia - stwierdził. - Do samego kicia też nie. Byłeś z innego świata.

- To on kazał ci chronić mnie w więzieniu, prawda?

- W zasadzie wszystko się zgadza, oprócz jednego.

– Odpowiedz mi na pytanie.

– Nie, to nie on mi kazał się tobą opiekować. Nikt mi nie kazał, bo to nie był rozkaz ani polecenie, a ja wtedy już nikogo nie musiałem słuchać ani wykonywać niczyich rozkazów. Zwłaszcza twojego ojca. Bo to ja je wydawałem, rozumiesz? Ja rządziłem w tym jebanym pudle, bo byłem tam królem!

W głosie Miszy brzmiała emfaza charakterystyczna dla ludzi, którzy opowiadają o czasach dawno minionych, w których coś znaczyli, a teraz nie znaczą już nic.

– Więc czemu to zrobiłeś? – zapytał cicho Vogel.

– Ktoś mnie o to poprosił. Magiczne słowo, Pajączku. Proszę. Tak rzadko go się używa...

– Kto? – zapytał bez tchu. – Kto to był?

– A kto nam zostaje, kiedy wykreślimy z listy potencjalnych kandydatów twojego ojczulka?

– Nie. – Pokręcił głową i zamknął oczy, żeby nie widzieć Miszy. Przez chwilę był gotów zatkać uszy, jak mały dzieciak, który nie dopuszcza do siebie gładzenia rodziców. – Nie – powtórzył.

– Tak, Pajączku. Dokładnie tak.

Poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Ona nie chciałaby mieć z tobą nic wspólnego! – Niemal krzyknął. – Nie dotknęłaby cię nawet kijem. Brzydziła się takimi jak ty, rozumiesz?

– Gdyby ktoś powiedział ci, żebyś zeżarł jego gówna, bo inaczej zabije twojego dzieciaka, co byś zrobił? No, co byś zrobił? Zakładamy, że ten ktoś jest honorowy i naprawdę daruje dzieciakowi życie, jeśli zobaczy, jak zjadasz gówna. To tylko gówna, Pajączku. Porzygałbyś się, ale uratował swoje dziecko, prawda? I ona zrobiła to samo. Ratowała swoje dziecko. Dziwisz się jej?

Nie chciał tego dłużej słuchać.

– Zostawmy to – powiedział z zaciśniętym z emocji gardłem. – Powiedz mi tylko, o co chodziło, i znikaj z mojego życia na zawsze.

Jesteś mi to winny. Zrobiłem dla ciebie naprawdę dużo i nie mówię o niemałych kosztach finansowych, które poniosłem.

- Mam głęboko w dupie twoje koszty, Pajączku. Czasem dzieci muszą cierpieć za grzechy swoich rodziców, również finansowo. Życie...

- Misza rozkaszał się nagle.

Na czoło wystąpił mu pot, położył ręce na klatce piersiowej, pochylił się i kaszłał tak, aż prawie stracił dech. Kiedy skończył, odetchnął kilka razy głęboko i otarł z oczu łzy.

- Na czym skończyliśmy? - zapytał, rozglądając się, jakby właśnie się obudził i nie bardzo kojarzył, gdzie właściwie jest.

- Miałeś mi powiedzieć, o co naprawdę chodzi. - Patrzył na niego beznamiętnie i chłodno.

Gdyby Misza był nieznanym mu człowiekiem, pewnie ten widok wzbudziłby w nim odruch współczucia. A tak wywoływał wyłącznie odrazę i obrzydzenie.

- Czy... - Misza zawiesił na chwilę głos i zerknął w bok, jak gdyby się zastanawiał. - Czy twój ojciec wspominał kiedykolwiek o jakimś polowaniu?

- Polowali na niego, a przynajmniej tak to określił w rozmowie z wujem, mówiłem ci. Dlatego uciekł.

- Nie, nie o tym mówię. Mówię o prawdziwym polowaniu na zwierzynę, w lesie.

Spojrzał na niego lekko zdziwiony.

- Ojciec nie polował od dekad. A przynajmniej nic o tym nie wiem, żeby znów zaczął.

Pamiętał, jak przez mgłę, że ojciec sprzedał kiedyś wszystkie sztucery i strzelby, jakie miał w garażu, i nigdy więcej nie wspominał o polowaniu. Zdjął nawet ze ściany mieszkania poroża, swoje myśliwskie trofea, sprawiając tym matce nieoczekiwaną, za to ogromną radość.

- A nie mówił ci kiedyś o jakimś filmie?

- Mówisz samymi zagadkami, Misza. O jakim znów filmie?

- Po prostu o filmie. Nie znalazłeś żadnych taśm w jego rzeczach?

- Nie rozmawiałem z nim od dwudziestu lat i nie grzebałem w jego rzeczach. Nigdy nie byłem w jego domu i nie chcę niczego, co się w nim znajduje. Sam sobie sprawdź, jeśli chcesz.

Misza patrzył na niego w zamyśleniu.

- Sprawdziłem, Pajączku. To była pierwsza rzecz, jaką sprawdziłem po jego zniknięciu.

- A jego firmy?

- Rozmawiałem z ludźmi.

- Przeżyli te rozmowy? Czy może chodzą teraz w gipsie albo jeżdżą na wózku inwalidzkim?

Misza nie zareagował na zaczepkę. Milczał, zastanawiając się nad czymś.

- Czyli chodzi o jakiś film, tak? - drążył Vogel.

- Możliwe.

- Chuja tam możliwe! - Zdenerwował się nagle, bo miał już dość tej zabawy w kotka i myszkę. - Tak czy nie?

- Co za różnica? Co to, kurwa, teraz jest za różnica? - Misza szarpnął się i uderzył pięścią w materac.

Jego twarz przypominająca woskową maskę wyglądała, jakby ktoś zanurzył ją w gorącej wodzie. Wykrzywiona wściekłością, jeszcze bardziej obwisła i brzydka. Vogel patrzył na nią z satysfakcją. Napawał się tym widokiem. Chociaż tyle.

- Tracisz opanowanie - zauważył ze spokojem. - Jak nie ty, Misza, jak nie ty...

W tej samej chwili zauważył, jak jego tęczyówki zniknęły pod górnymi powiekami i nagle Misza osunął się nieprzytomny na siedzisko. Vogel patrzył na to z zaskoczeniem. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego. Z wahaniem podszedł do niego, ale bał się albo brzydził go dotknąć. Przez chwilę stał nad nim, nie wiedząc, co zrobić, aż w końcu

wyciągnął rękę, chcąc poklepać go po twarzy. Cofnął ją w ostatniej chwili, czując tylko na opuszcze jednego palca, że skóra mężczyzny jest zimna, mimo upału.

– Misza... – zawołał cicho.

Brak reakcji.

– Misza! – zawołał nieco głośniej, ale skurwieli dalej leżał bez ruchu, z podbródkiem wciśniętym w pierś.

Przyszło mu do głowy, że mógłby zakończyć wszystko tu i teraz. Od razu. Po prostu wziąć poduszkę, przycisnąć mu ją do twarzy i odczekać kilka minut. A potem wypłynąć na zalew, albo chociaż roztoke, obciążyć ciało jakimś żelastwem, którego pełno miał poutykane w jaskółkach, skrytkach wzdłuż burt czy w achterpiku i wyrzucić do wody, pozbywając się problemu raz na zawsze. Nawet jeśli ktoś zauważyłby, że wypływa, i to bez zgłoszenia, to jakoś by się wytłumaczył. Wystarczyło tak niewiele i tak wiele jednocześnie...

Wziął poduszkę w ręce, ścisnął ją mocno i podszedł do Miszy. Stał nad nim, przyglądając się jego poźółkłej twarzy o niezdrowej cerze, i nienawidząc samego siebie za to, co robi, a właściwie za to, czego nie robi, wcisnął mu ją pod głowę. Dotyk jego rzadkich, przetłuszczonych włosów wzbudził w nim obrzydzenie. Odruchowo wytarł dłonie w szorty. Dopiero teraz uświadomił sobie, że poza jednym przypadkiem nigdy wcześniej nie miał z nim jakiegokolwiek kontaktu fizycznego. Nawet tam. Bo Miszy się bezkarnie nie dotykało, to tylko Misza dotykał albo pozwalał na to komuś. A on wciąż pamiętał uścisk jego palców na swoich nadgarstkach, kiedy trzymając go za wszarz i wrzeszcząc mu prosto w twarz, wyładowywał swój gniew, rozpacz i wściekłość za Rubensa. Za to, co Misza mu zrobił.

Nagle z gardła Miszy wydobył się charkot. Otworzył oczy i zamrugał powiekami, a potem szarpnął się na koi i usiadł.

– Co się stało? – zapytał chrapliwie.

– Nie wiem. – Cofnął się o dwa kroki i założył ramiona. – Chyba zemdlałeś.



Misza potoczył po mesie złym spojrzeniem. Widać było, że jest zdezorientowany, ale i wściekły. Najprawdopodobniej na siebie. Obmacał swój płaszcz, przecesał włosy i spojrzał na Vogla.

– Nic mi nie jest – powiedział słabo, ale po chwili jego głos nabrał mocy. – Nic mi, kurwa, nie jest!

Otarł z czoła pot, wciskając dłoń w skórę, jakby chciał z niej zetrzeć nie tylko wilgoć, ale i naskórek. Cichy chrzęst zabrzmiał w ciszy, jaka zapadła po jego wybuchu, naczyniak nad skronią rozciągnął się, zmieniając kształt. Vogel uznał, że nie będzie go o nic pytał. Miał w dupie, jak się czuje Misza i co mu jest.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – zapytał go tylko cicho.

– O czym mówisz? – Skurwiel wciąż jeszcze chyba nie doszedł do siebie.

– O tym filmie.

Misza przełknął głośno ślinę.

– Nie mnie, Pajączku. Nie mnie. Im. Ja jestem tylko psem gończym, pamiętasz?

– Boisz się ich. Wreszcie pojawił się ktoś, przed kim drżysz. Jakie to uczucie? Tak tylko pytam, bo ja je doskonale znam.

– Mylisz się. – Misza pokręcił głową, na twarz wrócił ten sam beznamiętny wyraz, jakby to chwilę wcześniej się nie wydarzyło. – Myślisz, że masz teraz przewagę, ale jesteś w błędzie. Wrócę jeszcze. Muszę się zastanowić, co dalej, skonsultować z nimi, ale wrócę. Lepiej, żebyś był na miejscu.

– Nie masz tak długich rąk, jak zawsze myślałem, wiesz? – Zmrużył oczy i uśmiechnął się smutno. – A ja mogę zniknąć. Jestem w Szczecinie przypadkiem i nic mnie tu nie trzyma. Nie mam rodziny, nie mam domu ani pracy. Nie muszę jeść czyjś gówna, Misza. Wystarczy, że wcisnę przycisk startu i już mnie nie ma.

– Tak sądzisz?

– Tak, tak właśnie sędzę.

– Na twoim miejscu nie przeceniałbym swoich możliwości. Możesz popłynąć tylko w górę albo w dół rzeki, Pajączku.

– A potem gdziekolwiek na zachód.

– I tak będą w stanie cię znaleźć. No i nie zapominajmy o twojej pani.

– Nie ma żadnej pani.

Powiedział to zbyt gwałtownie, ale uświadomił to sobie za późno.

– To, że pani Banach jest psem, jeszcze niczego nie oznacza – stwierdził Misza zimno ku jego przerażeniu. – Nie takich odpalali, a ona nie jest tam znowuż nikim ważnym. Dobranoc, Pajączku. Pomyśl o tym, co ci mówiłem. W kontakcie.

Wyszedł powoli, a pokonując podest na rufie, zachwiał się lekko, ale Vogel nie uznał za stosowne mu pomóc.

Misza zostawił go jak zwykle: nagle i z myślami kłębiącymi się w głowie. I ze strachem, jeszcze większym niż poprzednio. Bo teraz bał się nie tylko o siebie.

# FILM

Iwona przyjechała po południu. Vogel przez cały dzień robił wszystko, żeby czas jakoś zleciał. Wypłynął na Odrę i opróżnił zbiornik na szarą wodę, posprzątał mesę i kambuz, pojechał zatankować skuter i zrobił obiad, a od szesnastej czekał na Iwonę na górnym pokładzie w cieniu tentu. Kiedy usłyszał dźwięk silnika samochodu dochodzący od strony parkingu, zerwał się z siedziska i spojrzał w tamtą stronę. Po chwili zobaczył ją idącą ku nabrzeżu. Zobaczyła go i pomachała mu. Pomógł jej wejść na łódź, a kiedy poczuł ciepło jej palców w swojej dłoni, zrobiło mu się raźniej. Poszli na górny pokład, gdzie czekał obiad: zwykłe mielone z ziemniaczanym purée z pudełka i mizerią.

– Pomyślałem, że będziesz głodna – powiedział, widząc jej wzrok i nie wiedząc, jak go zinterpretować.

– To dobrze, bo ja akurat nie pomyślałam. Miałam latanie w pracy.

Pozwolił jej najpierw zjeść. Wreszcie odłożyła sztucce na talerz i oparła się wygodniej na siedzisku.

– I jak? – zapytała lekko napiętym głosem.

– Cóż... I dobrze, i źle. Benner się sprawił, ale potem jeszcze pojechałem do Drezna i do Hamburga. W Dreźnie mieszkał Schenk i to faktycznie on został wykorzystany jako dawca tożsamości.

– A Hamburg?

– Tam wszystko się skończyło. – Spojrzał na nią poważnie. – Ojciec nie żyje. Przyszła kryska na Matyska. Zainstalował się tam, po czym wyciągnął kopyta. Udar. I tak mu się udało, bo pewnie zdechł natychmiast.

Widział, że Iwona patrzy na niego dziwnie, i wiedział, o co jej chodzi.

- Umarła to moja mama, a on zdechł – powiedział bez cienia skrępowania. – Rozumiem, że może drażnić cię to sformułowanie, bo ze swoim ojcem żyłaś dobrze, ale pozwól, że będę używał wobec swojego takich, jakie uznam za stosowne.

- Jasne, nie ma sprawy. – Sięgnęła po szklankę z wodą.

Kiedy napiła się i odstawiła ją na stolik, kontynuował:

- Podczas naszego drugiego spotkania powiedziałaś mi, że mój ojciec miał biznesowego partnera w Niemczech, dużego gracza na rynku...

- Zgadza się, pamiętam. Dotarłeś do niego?

Nie odpowiedział, tylko zapytał:

- Znasz jego nazwisko?

- Tak – przyznała po krótkiej chwili.

- Wtedy też je znałaś?

- No tak, ale... Nie wiedziałam, że to możliwe, żebyś dotarł tak wysoko, i wydawało mi się, że to nie ma aż takiego znaczenia. A tak naprawdę czekałam też, czy Benner będzie w stanie się tego dogrzebać, bo to by oznaczało, że można dotrzeć do tych informacji z zewnątrz. Bo nie mogę ci mówić o wszystkim, Heinrich. Pomagam ci, ale wciąż jestem policjantką, rozumiesz? To są rzeczy objęte klauzulą niejawności.

- Siegfried Noack, prawda? I „Sparta”.

Iwona milczała.

- Benner? – zapytała tylko.

- Tak, to on się do tego dokopał, ale nie o to chodzi. Gdybyś mi powiedziała wtedy, jak ten partner się nazywa, pewnie bylibyśmy już dalej. Pomijając kasę, którą zapłaciłem Bennerowi, bo kasa akurat nie jest dla mnie problemem, mówiłem ci.

- Uhm. – Pochyliła się, jakby mimo wszystko była lekko zażenowana. – Dlaczego uważasz, że bylibyśmy dalej?

- Bo Noack to brat mojej matki, Iwona. Jest moim wujem. Widziałem się z nim wczoraj w Hamburgu.

Zobaczył, jak wydłużyła się jej twarz.

- Cco?! - wyjąkała.

Wzruszył ramionami.

- Co mam ci powiedzieć? - mruknął. - Mój stary wykorzystał nawet nie tyle dawne znajomości, co rodzinne koneksje. Z obopólną korzyścią, przynajmniej teoretycznie.

- Cholera... - Westchnęła i splotła palce na karku, odchylając głowę do tyłu. - No, ale skoro nie żyje, to wygląda na to, że dla ciebie historia się kończy.

- Chciałbym, ale niestety nie. Dziś w nocy znów był u mnie Misza.

- Powiedziałeś mu, co ustaliłeś?

- Oczywiście. Liczyłem, że się odczepi, ale chyba się przeliczyłem. Powiem ci, co mówił, ale najpierw zła wiadomość. Wie o tobie.

- Przecież widział nas razem, wtedy... - Nie dokończyła.

- Nie o tym mówię. Wie, że jesteś policjantką.

Zagryzła wargę i spojrzała gdzieś w bok. Nie wyglądała na bardzo przejętą, może trochę zaskoczoną.

- Śledzi cię? - zapytała.

- Nie wiem. Nawet jeśli, to na pewno nie przez cały czas. - Przypomniał sobie swój wypadek do agencji towarzyskiej i późniejszą wulgarną uwagę Miszy na ten temat. - Mógł wtedy zapamiętać numery rejestracyjne twojego samochodu, był jedyny na parkingu. Jeśli faktycznie ludzie, którzy go zatrudnili, tak wiele mogą, to sprawdzenie tego nie jest wielkim problemem. Cholera... Ty też mogłaś na to wpaść, kiedy wyjeżdżałaś.

Spojrzała na niego i kącik jej ust uniósł się w półuśmiechu.

- Przyjechał autem z wypożyczalni, ale nie z jakiegoś carsharingu. Wynajął go na swoje nazwisko, robi to co kilka dni od jakiegoś czasu: wypożycza samochód na kilka godzin w takiej małej firmie gdzieś na

Pomorzanach. Część z tych wypożyczeń pokrywa się z wizytami u ciebie.

Vogel poczuł, że lekko blednie.

- Gdzie dokładnie jest ta wypożyczalnia?

- Niedaleko szpitala.

- Ar2rent? Pisane z dwójką w środku?

- Tak. - Uniosła z zaskoczeniem brwi.

- Skurwiel... - syknął.

- Co?

- Nic. To firma ojca mojego przyjaciela z liceum. Też od niego biorę auta, kiedy potrzebuję gdzieś wyjechać, na przykład z tobą do Poznania, czy teraz do Berlina. - Pokręcił głową i parsknął. - Znów te jego sztuczki. Chce mnie osaczyć. A raczej chce, żebym tak się czuł: osaczony.

- A czujesz się?

- A jak myślisz?

Przez chwilę skubała paznokciem pochwyt.

- Dobrze, powiedz mi, jak zareagował. I co mówił.

Vogel streścił Iwonie przebieg spotkania z Miszą, nie pomijając akcji z omdleniem, choć swoje przemyślenia z tamtej chwili zostawił dla siebie. Słuchała go w milczeniu, nie przerywając mu, a kiedy skończył, odetchnęła głęboko i zapatrzyła się w taflę nieruchomej wody.

- Co teraz? - zapytał jej.

- Nie wiem. Zastanawiam się, jak to ugryźć, mówię o swojej robocie. Muszę cię jakoś kryć, ale z drugiej strony, jak mam ujawnić, w jaki sposób zdobyłam te informacje? Oficjalnie nie prowadzę tej sprawy. A nieoficjalnie mi nie wolno.

- Ale mi wolno.

- To niewiele zmienia.

- Zmieni wszystko, kiedy dojdę do prawdy. Jakakolwiek by ona była. Nie mam oporów przed jej ujawnieniem, bo nie muszę nikogo chronić:

ani ojca, ani tego gnoja.

– Skoro tak uważasz...

– Tak właśnie uważam. – Zamyślił się na chwilę. – Wiesz, odniosłem dziwne wrażenie, że to pytanie o film było jak akt desperacji. Albo jak nakierowanie na jakiś trop. Tylko że Misza nie wspomniał o nim nigdy wcześniej, a dopiero teraz.

– Trochę bez sensu.

– No właśnie, o tym mówię. Wygląda, jakby sznurki wymykały mu się z rąk. Jakby kończył mu się czas i na to też mogła wskazywać jego reakcja. Był wściekły, a przecież nigdy tego po sobie nie pokazywał. On wie dużo więcej, niż mi powiedział.

– To oczywiste.

– Tak, tylko on mi te informacje dawkuje. Po cholere?

– Nie udało się jednym tropem, to idzie drugim.

– Ale traci w ten sposób czas, którego podobno nie ma. Od początku musiało chodzić o ten tajemniczy film. Skoro miał go mieć ojciec, to trzeba było faktycznie sprawdzić, czy żyje i czy może się nim posłużyć. Z reakcji Miszy widać, że jego śmierć nie załatwiła jednak sprawy, oni dalej szukają tego filmu, cokolwiek na nim jest.

– Pewnie chodzi o szantaż. Myślałam o jakiejś teczce z archiwum SB, ale okazuje się, że to może być właśnie film.

– Też tak myślę. I teraz opcje są dwie: albo to ci ludzie mieli być obiektem szantażu i wciąż boją się, że ten film jakoś wypłynie, albo potrzebują go, żeby szantażować kogoś. Stawiam raczej na to drugie. Ojciec wspomniał wujowi, że ktoś w Polsce na niego polował, dlatego sfinagował własną śmierć. Teraz wygląda na to, że ten ktoś polował w zasadzie na film.

– To tylko domysły. Nie sprawdzimy tego...

– Dopóki nie znajdziemy filmu – przerwał jej.

– A jak go chcesz znaleźć?

– Nie mam pojęcia. Ale coś mi przyszło do głowy. Jutro to sprawdzę.

– Nie powiesz mi, o co chodzi?

– Na razie nie. – Mrugnął do niej. – Bo to może być ślepy strzał i przynajmniej się nie rozczarujesz. A jak będzie dziesiątka, to te parę godzin nie ma znaczenia.

– Jeśli ten film faktycznie istnieje, może być wszędzie. Może nawet twój ojciec zabrał go ze sobą. I może wciąż gdzieś tam jest, albo nawet wbrew temu, co twierdził Noack, ma go on.

– To prawda. – Zgodził się. – Wszystko jest możliwe. Dlatego poczekajmy do jutra.

Temat był wyczerpany. Oboje zamilkli i zapatrzyli się w trzciny na drugim brzegu kanału. Nagle Vogel usłyszał, jak Iwona wstaje. Zanim odwrócił głowę w jej stronę, już była przy nim. Nachyliła się nad jego ramieniem i wyszeptła mu do ucha:

– Mogę?

– Tak – powiedział po prostu.

Zdjęła z niego T-shirt, a on wstał z siedziska i podniósł ją. Iwona objęła go za szyję, nogami oplótła mu biodra. Kiedy ostrożnie znosił ją na dół, do mesy, oparła podbródek o jego ramię i nieśmiało pogładziła ptasznika na jego plecach. Już w mesie położył ją na rozłożonej kanapie. Leżała z rękami w górze i przyglądała mu się. Klęknął między jej opiętymi džinsami udami, dłonie oparł koło jej głowy i zaczął się opuszczać, zbliżając twarz do jej twarzy. Widział w jej oczach pożądanie, jakiego nie było w nich za pierwszym razem.

– Poczekaj – wydyszała.

– Co się stało? – Uniósł się i z niepokojem spojrzał jej w twarz.

– Nic. Zamknij tylko drzwi, dobrze? Na zamek...



## SEJF

– Zmieniłeś zdanie, Henryk? – zapytał zdziwiony mecenas Popławski, kiedy ujrzał go w drzwiach gabinetu swojej kancelarii.

Dochodziła piętnasta, Vogel specjalnie przyjechał tak późno.

– Absolutnie nie. Chciałem tylko zapytać, czy może ojciec dał panu coś kiedyś na przechowanie?

– Nie osobiście, ale miał u mnie swój sejf.

– Słucham? – W pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał.

– Sejf – powtórzył Popławski. – Nieduży. W moim gabinecie. Miałem dwa, zapytał kiedyś, czy mogę mu odstąpić jeden z nich. To było ponad trzydzieści lat temu, Henryk. – Mecenas wzruszył ramionami, jakby to miało go tłumaczyć. – Poza tym wspomniałeś, że nie interesuje cię nic, co należało do niego. Uznałem, że to jak najbardziej mieści się w tym katalogu.

Vogel pokiwał głową.

– Racja – przyznał. – Mój błąd. Będzie miał pan coś przeciwko, żebym do niego zajrzał?

– W żadnym razie, tylko to może być problematyczne, jeśli nie znasz szyfru.

– Nie znam...

– To stary sejf z zamkiem mechanicznym z pokrętkiem, a nie elektronicznym. Można wziąć specja, ale to pewnie potrwa kilka dni, bo to firma ze Śląska. Miałem parę lat temu taką sytuację ze swoim, musiałem ich wezwać i straciłem trochę czasu. Spieszysz się?

– Trochę. Będę mógł spróbować?

- Jeśli chcesz... Tylko po trzech nieudanych próbach zamek się blokuje, więc i tak trzeba wtedy wziąć specjalistę. Ale spróbować możesz, oczywiście. Nic nie tracisz.

Mecenas podszedł do ściany, na której wisiał wielki obraz przedstawiający widok Krakowa, gdzie mecenas się urodził. Chwył go za ramy, uniósł lekko i zdjął z zamocowania. Przeszedł dwa kroki w bok i oczom Vogla ukazały się dwa sejfy wmurowane w lico ściany.

- Klasyka, co? - Mrugnął do Vogla, odstawiając obraz pod oknem. - Chodź.

Podszedł do mecenasa lekko rozbawiony.

- Ten jest jego. - Popławski pokazał sejf po prawej i otrzepał ręce z kurzu. - Nie mam pojęcia, co w nim jest. Próbuj.

Odsunął się lekko, robiąc mu miejsce.

- Tylko jak? - zapytał bezradnie, przyglądając się pokrętle z białymi karbami i liczbami.

- Kręcisz w lewo i ustawiasz na zero. Potem pierwsza liczba, ale po wykonaniu jednego pełnego obrotu w prawo. Druga po dwóch pełnych obrotach w lewo, trzecia po trzech w prawo, też pełnych, i wciskasz pokrętle. Dopiero wtedy możesz przekręcić klamkę. I liczby trzeba ustawiać bardzo precyzyjnie, kreseczka na pokrętle musi idealnie stykać się z tą na obręczy. Inaczej nic z tego.

- Hmm... Czy mogę pana poprosić o pomoc?

Popławski roześmiał się.

- Jasne. Też mnie szlag trafia za każdym razem, kiedy mam zajrzeć do swojego. Co z kodem?

Musiał się przez chwilę mocno skupić. Z trudem przypomniał sobie datę urodzenia ojca.

- Dwadzieścia jeden, jedenaście, pięćdziesiąt pięć - powiedział cicho.

Mecenas założył okulary i przez dłuższy czas majstrował przy pokrętle. W ciszy, jaka zapanowała w jego gabinecie, rozlegał się tylko

ledwo słyszalny terkot mechanizmu zamka. W końcu wcisnął pokrętko, chwycił klamkę i nacisnął ją, ale nic się nie stało. Drzwiczki sejfu ani drgnęły.

– Pudło – obwieścił ze smutkiem.

Vogel był zdziwiony. Bardzo. To nie pasowało do ojca.

– Proszę spróbować jeszcze raz: szesnaście, pięć, pięćdziesiąt osiem – poprosił.

Z datą urodzin matki nie miał już najmniejszego problemu. Mecenas powtórzył procedurę z podanymi liczbami, ale efekt był ten sam.

– Masz ostatnią próbę. – Wzruszył ramionami. – Chcesz?

– Co nam szkodzi?

Zastanowił się przez chwilę i nagle prawie parsknął śmiechem.

– A co tam, niech pan spróbuje: dwadzieścia osiem, siedem, osiemdziesiąt. A potem najwyższej zadzwonimy na Śląsk.

Mecenas spróbował po raz ostatni. Tym razem dźwięk wciskanego pokrętła był nieco inny.

– Czyżby? – Zmarszczył brwi i złapał za klamkę.

Kiedy ją nacisnął i pociągnął, ustąpiła i drzwi uchyliły się.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał z wyraźnym zaskoczeniem w głosie Popławski.

– Nie wiedziałem – odparł poważnie.

Ojciec ustawił szyfr ponad trzydzieści lat temu, kiedy on jeszcze był nastolatkiem i coś się tam tliło. Nadzieja, że syn pójdzie w ślady ojca. Że będzie taki jak on: potężny i silny. Był pewien, że gdyby ojciec ustawił go parę lat później, nawet przez myśl by mu nie przeszła taka kombinacja. I tak dziwił się, że jej nigdy nie zmienił.

Popławski oddalił się dyskretnie, a on chwycił zimną klamkę i otworzył drzwiczki na całą szerokość. Sejf nie był pusty. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale już pierwszy rzut oka wystarczył, by zorientować się w zawartości. Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, była broń i dwie paczki naboju. Na pudełkach zauważył litery

rosyjskiego alfabetu. Nie znał się na tym, pistolet wyglądał na stary, miał wytarty na krawędziach szkielet i zamek, a z końca sterczał kurek. Nie dotknął go nawet, naboju też nie. Obok nich leżał plik banknotów spiętych kiedyś gumką recepturką, która sparciała i pękła. Poskręcany, cienki kawałek czerwonej gumy sterczał spod kupki banknotów, które wciąż leżały w nienagannym porządku. Wziął wszystkie do ręki. Pięćdziesięcio- i studolarówki. Policzył je z grubsza i wyszło mu, że trzyma jakieś dziesięć tysięcy dolarów. Patrząc na wizerunek Benjamina Franklina, przypomniał sobie Rubensa i przez chwilę przed oczami miał ciemność. Potrząsnął głową, zwinął pieniądze i schował je do kieszeni spodnek. Ostatnią rzeczą, jaką znalazł w sejfie ojca, była szara koperta z makulaturowego papieru. Klej na zamknięciu puścił ze starości i kiedy Vogel wyciągał ją ze środka, coś się z niej wysunęło i stuknęło w metalowe dno sejfu. Poczul, jak na widok czarnego przedmiotu zabiło mu serce. Nie widział czegoś takiego od dekad, ale wiedział dobrze, co to jest. Kaset magnetowidowa.

Znalazł film.

Był pewien, że to TEN film, i nie mógł uwierzyć, że okazało się to aż tak proste. Z drugiej strony, gdzie indziej ojciec mógł go trzymać? W domu? W firmie? Nawet u Moniki Matysiak? To były miejsca, od których tamci zaczęliby poszukiwania w pierwszej kolejności, o czym zresztą wspomniał Misza, i ojciec musiał się z tym liczyć. Poza tym nie ufał nikomu. Nawet mecenasowi Popławskiemu, który przecież nie znał szyfru. I w tej samej chwili domyślił się, dlaczego ojciec nigdy nie zmienił jego kombinacji. Bo nikt nie wpadłby na to, że mogła go stanowić data urodzenia człowieka, który nienawidził go z całego serca.

Vogel zapakował kasetę z powrotem do koperty i obejrzał się. Mecenasa nie było w gabinecie, zostawił go samego, kiedy był zajęty oglądaniem zawartości sejfu. Zamknął drzwiczki, zostawiając w środku pistolet, i przekręcił pokrętło, blokując zamek, a potem wyjrzał z gabinetu: mecenas stał przy kontuarze, za którym urzędowała aplikantka, i rozmawiał z nią.

– Już. – Uśmiechnął się do Popławskiego.

Mecenas przerwał rozmowę i wrócił do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Znalazłeś coś ciekawego? – zapytał, zerkając na nieco zmiętą już kopertę, którą Vogel trzymał w dłoni.

– Mam nadzieję. Przy okazji mam pytanie, panie mecenasie: ojciec dobrze panu płacił?

– Nie rozumiem?

– Nie miał zaległości? Nie negocjował z panem głodowych stawek?

– No wiesz... – Popławski zdjął okulary i zaczął bawić się zausznikiem, zginając go i prostując. – Kiedyś były inne czasy, duża konkurencja, a potem w zasadzie nie mieliśmy kontaktu, może raczej sporadycznie.

– Chciałbym więc w jego imieniu uregulować należność, bo nie wiem, kiedy się zobaczymy następnym razem. I czy w ogóle. – Sięgnął do kieszeni, wyciągnął plik banknotów i wcisnął go mecenasowi w dłoń.

Popławski machinalnie zacisnął na nich palce, a dopiero potem spojrzął, co w nich trzyma. Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Zwariowałeś, Henryk? – zawołał.

– Podobno już dawno temu.

– Nie mogę tego wziąć.

– Ależ może pan. Jestem nowym właścicielem tych pieniędzy i dysponuję nimi, jak chcę.

– Naprawdę nie mogę...

– Jeśli ma pan jakieś skrupuły, niech pan to wpłaci na schronisko dla zwierząt, dom dziecka czy hospicjum. Albo kupi sobie coś fajnego. Ojciec stawia. – Położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął lekko. – Dziękuję, panie mecenasie. Za wszystko.

Puścił jego ramię i wyszedł z gabinetu z kopertą pod pachą, zostawiając Popławskiego oniemiałego i wciąż wpatzonego

w pieniądze szeroko otwartymi oczami. Podeszedł do skutera, wrzucił kopertę z kasetą do kuferka, założył kask i od razu pojechał na Małopolską, pod budynek szczecińskiej siedziby CBŚP.

## NAJLEPSZE LATA

Kiedy Iwona wychodziła z pracy, nacisnął klakson i uniósł ramię.

Wczoraj, gdy późnym wieczorem wyjeżdżała od niego, powiedziała mu, że dziś kończy normalnie, więc specjalnie pojechał do mecenasa sprawdzić swoje podejrzenia po południu, a nie rano. Absolutnie nie zakładał, że coś u niego znajdzie, ale okazało się, że zamiast obiadu w dobrej knajpie, a może nie zamiast, tylko na deser, będzie mógł zaproponować Iwonie coś znacznie smaczniejszego. Oby, bo wciąż nie miał pewności, że o ten film chodziło: nie mógł jej mieć, dopóki go nie obejrzał, a ta początkowa pewność wynikała raczej z nadziei i entuzjazmu spowodowanego odkryciem. Na wszelki wypadek zaparkował po przeciwnej stronie ulicy, wciskając się vespą między samochody.

- Co ty tu robisz? - syknęła, podchodząc do niego niepewnie i rozglądając się na boki. - Zwariowałeś?

Uśmiechnął się szeroko, jak dawno się nie uśmiechał i poprawił okulary przeciwsłoneczne.

- Jesteś dziś drugą osobą, która mi to zarzuca. - Popukał się w kask. - Spokojnie, w tej skorupie nikt mnie nie pozna.

Zsiadł ze skutera i otworzył kufer.

- Zobacz. - Pokazał jej wnętrze; koperta leżała na samej górze, na parasolce i zestawie podstawowych narzędzi.

- Co to jest? - Podniosła na czoło ciemne okulary.

- Sprawdź.

Sięgnęła ostrożnie po kopertę i nie wyjmując jej z kufra, odsunęła zamknięcie i zajrzała do środka.

- Chryste... Skąd to masz?!

- Czy to ważne? Mam.

- To... To?

- Nie wiem. Musimy dopiero sprawdzić. - Zamknął kufer i usiadł na skuter, chwytając rączki kierownicy. - Ale na razie zabieram cię na obiad. Wsiadaj.

- Żartujesz? - zawołała.

- Nie masz ochoty? Myślałem...

- Nie mówię o obiedzie, Heinrich. Mówię o tym, jak chcesz to sprawdzić? Ludzie, którzy używali tego sprzętu, nie pamiętają swoich nazwisk, tak są starzy - zażartowała. - Znasz kogoś, kto ma odtwarzacz VHS?

- Nie pamiętam.

Przez chwilę stała z otwartymi ustami, zanim zorientowała się, że też żartuje. Roześmiała się, ale zaraz spoważniała.

- Poczekaj... - Potarła ręką czoło i zamknęła oczy. - Kiedyś widziałam jakiś zakład, chyba fotograficzny, który przegrywa stare filmy z taśm ośmiomilimetrowych i kaset wideo na płyty DVD. Tylko cholera, gdzie to było? Nie mogę sobie przypomnieć...

- W mieście? - odpowiedział. - W centrum?

- Właśnie nie w centrum, tylko nawet gdzieś niedaleko mnie. Czeka... Mam! Na ryneczku na osiedlu Zawadzkiego!

- To tam jest ryneczek? - Zdziwił się.

- Kiedy ostatnio tam byłeś? - Zsunęła okulary na nos.

Zagryzł wargę i wbił wzrok w zegary na kierownicy.

- Przed odsiadką - mruknął. - Dobra, na co masz ochotę?

Skierowała w jego stronę głowę, a on w szklach jej okularów zobaczył odbicia swojej twarzy.

- Najbardziej to mam ochotę na obejrzenie filmu - wycodziła. - Teraz. Obiad może poczekać. Co pan na to, panie Vogel?

Zdjął kask i podał go jej.



- Może być. - Przekręcił kluczyk w stacyjce, podgazował lekko i machnął głową. - Zakładaj i wskakuj.

Niecałe piętnaście minut później dojechali na osiedle Zawadzkiego. Przez całą drogę Vogel czuł na swoim brzuchu mocny uścisk ramion Iwony, a na plecach jej biust i ciepło jej brzucha. Nigdy wcześniej nie wiózł nikogo swoją vespą. Nigdy wcześniej nie odczuwał też potrzeby czyjś towarzystwa. Świetnie mu było samemu ze sobą, naturalne ludzkie potrzeby niezwiązane z fizjologią załatwiał w agencji towarzyskiej, zaś stricte towarzyskich potrzeb już nie miał. A teraz z zaskoczeniem zauważył, że jest mu z kimś dobrze. Że pragnie towarzystwa, może tej osoby, a może niekoniecznie jej, ale nagle zaczęło mu sprawiać przyjemność bycie z kimś. Wspólne jedzenie, gapienie się w wodę i seks, który wreszcie nie był mechaniczną czynnością, spuszczeniem ciśnienia i niezdatną namiastką czułości jednocześnie.

Zakład, o którym mówiła Iwona, mieścił się w pawilonie w skrajnej pierzei ryneczku od strony budynku apteki i drogerii. Trafili do niego od razu, przyciągnęci szyldem przypominającym te z lat dziewięćdziesiątych, które widniały nad osiedlowymi wypożyczalniami kaset wideo. Lokal był maleńki, zastawiony przeróżnymi urządzeniami, których widok natychmiast wzbudził w nich uczucie nostalgii.

- Dzień dobry. - Zaczęła Iwona. - Chciałam zapytać o możliwość obejrzenia kasety VHS.

- Chce pani ją przegrać, tak?

- Najpierw chcę obejrzeć, co na niej jest.

- Przepraszam, ale to nie jest kino. Ja tu kasety przegrywam, a nie puszczam. Taki już ze mnie przegryw. - Wyszczrzył zęby, ale Iwona nie roześmiała się.

- Poprosiłabym, żeby dla nas zrobił pan wyjątek.

- Przykro mi. - Usta ściągnęły się i zęby zniknęły. - Mam zasady i sporo pracy.

– Ja też mam sporo pracy. – Iwona wyciągnęła blachę i podstawiła ją mężczyźnie pod nos. – I to, o co pana proszę, jest jej elementem.

– Serio?

– Serio. Nad przegraniem jeszcze się zastanowimy, dobrze? Ma pan sprzęt?

– To żart?

– Nie wiem, może ma pan tylko odtwarzacze, a nie ma telewizora, więc pytam.

– Aha. No dobra, mam wszystko, nawet kineskopowego soniaka trinitron. Lubię sobie czasem zerknąć w tego grzmota. Jest jak wehikuł czasu, który przenosi w okres beztroski. Lata dziewięćdziesiąte to były najlepsze lata, mówię pani. Dzisiejsze dzieciaki nigdy nie doświadczą czegoś takiego. Zapraszam na zaplecze.

Zapleczem była maleńka, ślepa pakamerka zapchana sprzętem elektronicznym jeszcze bardziej niż główne pomieszczenie. W jej centralnym punkcie, na regale pod ścianą stał olbrzymi telewizor marki Sony, o którym wspominał wcześniej właściciel.

– Moje minikrólestwo – zaprezentował je ruchem ramienia, ale niezbyt szerokim, bo na taki nie było miejsca; ledwo mieścili się w nim w trójkę. – Poproszę kasety.

Vogel wyciągnął ją z koperty i podał facetowi. Ten obejrzał ją na wszystkie strony.

– Ma wyłamany ząbek. – Skubnął paznokciem niewielki, kwadratowy otwór na spodzie. – To zabezpieczenie przed ponownym nagraniem na taśmę.

– Pamiętam – mruknął Vogel. – Też wyłamywałem.

– Czego nie chciałeś stracić? – Teraz Iwona była wyraźnie rozbawiona. – Filmów z satelity nagrywanych potajemnie po nocy?

– Nie, wyłącznie tych ze Schwarzeneggerem. – Zmarszczył nos. – Miałem niezły sprzęt w swoim pokoju. Przegrywałem kupłom

w ilościach hurtowych. Za kasę. Ojciec był zachwycony, bo to był mój pierwszy biznes.

- Na bogato. - Facet roześmiał się. - Też bym tak chciał, a nie kombinować, żeby starzy nie zauważyli.

- Nie jestem pewien, czy chciałby się pan ze mną zamienić na życia.

Tymi słowami zmył mu rozbawienie z twarzy, mimo że wypowiedział je z lekkim uśmiechem. Może dlatego, że oczy nie brały w nim udziału.

- Dobra, koniec wspomnień. - „Przegryw” włączył jeden z odtwarzaczy, a pilotem uruchomił telewizor, na którym pojawił się cyfrowy śnieg.

- Poradzimy sobie dalej - powiedziała Iwona z życzliwym uśmiechem na ustach.

- Mam was tu zostawić? - Facet zmarszczył brwi.

- Nie może pan zobaczyć tego filmu, przykro mi.

- Nie jestem z tym szczęśliwy. - Rozejrzał się po pakamerze. - Nie zepsujcie niczego, bo nie daruję. Nawet policji. I tak dobrze, że nie macie ze sobą granatnika.

Wyszedł, zostawiając ich samych. Vogel włożył kasetę w szczelinę magnetowidu i wcisnął play. Taśma ruszyła z cichym szumem, ale obraz pozostał ciemny. Czekali kilkanaście sekund, jednak nic się nie zmieniło.

- Przewiń na podglądzie, szkoda czasu - poprosiła Iwona.

Vogel wcisnął odpowiedni przycisk na pilocie odtwarzacza i na ekranie zobaczyli drgające paski. Kiedy nagle pojawił się jakiś obraz, zastopował.

- Gotowa? - zapytał Iwony.

Pokiwała głową, wpatrzona w telewizor. Ponownie wcisnął play i nagle zobaczyli na ekranie las.

## POMYŁKA

Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócili uwagę, była data widoczna w rogu ekranu: czternasty stycznia dziewięćdziesiątego czwartego roku. Las zniknął na chwilę, kiedy operator kamery opuścił ją w dół i ekran wypełnił się bielą. Słysząc było czyjś oddech i skrzypienie śniegu pod podszewkami. Kamera wróciła nagle do poprzedniego położenia i znów zobaczyli pnie drzew, ich bezlistne korony i gałęzie przyprószone śniegiem.

- Dawajcie, bo zimno - rozległ się czyjś głos, a Vogel w tym samym momencie zastygł w bezruchu.

- To on - szepnął.

- Kto? - Nie zrozumiała Iwona.

- Ojciec. To jego głos...

Kamera zaczęła omiatać las i w polu widzenia pojawiły się dwie postacie. Szły jakieś trzydzieści metrów z przodu i widać je było od tyłu. Ubrane w kożuchy, na głowach miały czapki uszanki, a jedna, ta wyższa, niosła na plecach przewieszony przez ramię myśliwski sztucer.

- To chyba dziecko - mruknął Vogel, wskazując tego niższego.

- Też mi się tak wydaje.

Oboje zbliżyli twarze do ekranu i tak samo nagle od niego odskoczyli, kiedy niespodziewanie tuż przed obiektywem pojawiła się butelka wódki. Wypełniła cały kadr, widać było palce w rękawiczce obejmujące ją pod charakterystyczną, bulwiastą szyjką. Tuż za nią pojawiła się twarz jakiegoś mężczyzny ze zniekształconym przez szkło szerokim uśmiechem.

- Zdrooooooowie pięknych paaaań, mooooooże jeeeeeszcz przyyyyyyjdą...

- Zaintonował bełkotliwie.

– Mirek, spierdalaj, no! Nie zasłaniaj!

Butelka zniknęła, została sama twarz i te charakterystyczne, zimne oczy, i wielki nos niemal przyciśnięty do obiektywu. Naczyniak zasłonięty był czapką.

– Jezu, to Misza... – Vogel aż zasłonił ręką usta i w tej samej chwili oboje zorientowali się, że to Zenon Ptasznik jest operatorem.

– Tak jest! – wrzasnął Misza, co niespodziewanie zabrzmiało jak potwierdzenie słów Vogla.

– I ciszej, durniu, bo spłoszysz zwierzynę.

Misza był ewidentnie pijany.

– Oszywiście... Ćśśś... – Przystawił palec do ust i jego głowa chwiejnie zniknęła z kadru.

– Czyli jednak... – Iwona westchnęła. – Utrzymywali kontakt po osiemdziesiątym dziewiątym.

– Ojciec od zawsze jarał się sprzętem elektronicznym – powiedział Vogel bez związku głosem robota, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w ekran telewizora. – Jak tylko w Polsce pojawiał się jakiś nowy gadżet, natychmiast go kupował. Dlatego w szkole miałem najszybciej komputer, walkmana, magnetowid, potem taki ręczny, mały skaner, który przywiózł z Anglii, discmana i aparat cyfrowy. Dostałem go na osiemnastkę...

Iwona już nic nie mówiła, również wpatrzona w ekran.

Obraz zaczął drgać, Ptasznik musiał zacząć biec w stronę tamtych. Kiedy ich dogonił, zwolnił i obraz ustabilizował się.

– Hej, młody, pomachaj do kamery! – Usłyszeli jego głos. – W końcu twoje pierwsze polowanie, co nie? Tata, ty też! Będziecie mieli pamiątkę.

Chłopiec odwrócił się i nieśmiało pomachał. Jego ojciec zrobił to samo, nieco energiczniej. Twarz chłopca była przejęta, z jego twarzy biła radość. Ojciec przytulił chłopaka do biodra i wytargał jego czapkę. Ten zawstydzony spuścił wzrok i poprawił ją sobie na głowie.

– Oj, tato, noo... – mruknął.

Film urwał się nagle, obraz pociemniał, ale sekundę później pojawił się znowu. Data była ta sama, krajobraz też, tylko godzina wskazywała na to, że operator włączył kamerę jakieś pół godziny później. Tym razem nikt nic nie mówił. Ptasznik szedł z tyłu, mając wszystkich w polu widzenia. Posuwali się powoli do przodu, idąc gęsiego, Misza szedł pierwszy i odsuwał gołe gałęzie krzewów. Słysząc było tylko oddechy, para leciała z ust i unosiła się w mroźnym powietrzu, mieszając się z nim i znikając. Nagle Misza przystanął i wbił wzrok w ścianę lasu, a potem wyciągnął przed siebie rękę i syknął:

– Patrzcie, tam!

Wszyscy stanęli jak na komendę.

– Cisza teraz – zakomenderował ojciec chłopca, zdejmując sztucer z pleców.

– Dzik – szepnął Ptasznik.

– Kładź się – polecił synowi mężczyzna i chłopiec położył się na śniegu na brzuchu.

Jego ojciec przeładował sztucer, kucnął obok syna i podał mu go. Młody chwycił broń, widać było, jak jego nozdrza ruszają się w rytm szybkiego oddechu, z dziurek buchały krótkie serie pary.

– Zdejmij rękawiczki.

Chłopak odłożył sztucer i zrobił to.

– Gdzie kładziesz? O broń się dba! Sprawdź, czy w lufie nie ma śniegu.

– Ciszej, Zbyszek. – To był głos Ptasznika.

Misza kucał na śniegu i wciąż wbijał wzrok w las. Chwiał się lekko, w pewnym momencie musiał się podeprzeć ręką.

– Jest tam – szepnął głośno i odwrócił się do kamery z szerokim uśmiechem. – Idzie na nas. Kurwa, idzie prosto na nas!

Młody złożył się do strzału, jego ojciec klęczał nad nim, przynosząc wzrok z syna na las i z powrotem na niego.

- Kolba wciśnięta w dół obojczykowy, tak jak cię uczyłem. Nie dotykaj okiem lunety, odsuń trochę twarz. Taak, dobrze. Przymierz porządnie, jakieś pięćdziesiąt metrów. Taak, spokojnie. Poczekaj... Poczekaj... Spust powoli, nie zerwij. Idzie... Idzie, ale wielki skurwiel.

Ptasznik przeniósł obiektyw kamery na las i zrobił zbliżenie. Gdzieś pomiędzy drzewami, nisko, przy samym poszyciu mignęła ciemniejsza plama i nagle usłyszeli trzask pękającej gałęzi.

- Widzisz go? - zapytał mężczyzna syna. - Masz go w krzyżu?

- Tak, tato!

- Poczekaj, aż się zatrzyma, i wal. Tylko pamiętaj, powoli ściągnij spust.

Zapadła cisza, którą przerwał huk wystrzału. Karabin szarpnął się w rękach chłopca.

- W celu! - krzyknął mężczyzna, ale ciemna plama wciąż się ruszała.

- Postrzałek! Popraw!

Chłopak złożył się ponownie do strzału i ciszę znów przerwał huk.

- Chyba spudłowałem, tato.

- Spokojnie, czekaj...

Kształt majaczący między drzewami poruszał się jeszcze przez chwilę, a potem zastygł w bezruchu.

- Daj mi to. - Mężczyzna wyjął sztucer z rąk syna. - I chodź, idziemy sprawdzić, co ustrzeliłeś.

Chłopiec wstał z ziemi, otrzepał się ze śniegu, na jego twarzy był szeroki uśmiech.

- Zapamiętaj ten dzień, synu. - Widać było, że ojciec jest z syna dumny. - Twoje pierwsze trofeum. Smak kielbasy, którą z niego zrobimy, też zapamiętaj.

Ruszyli w stronę swojej zdobyczy, Misza zrobił to samo, a kamera podążyła za nimi. Ptasznik nie odzywał się, tylko filmował. Skrzypieniu śniegu towarzyszył odgłos oddechów myśliwych i szurania gałęzi

ocierających się o ich ubrania. Chłopiec wysforował się na przód, ale ojciec poprawił chwyt na sztucerze, a drugą ręką złapał go za ramię.

– Czekaj, nie pędź tak, może trzeba będzie go dostrzec.

Minał syna, przyłożył sztucer do ramienia. Po kilku krokach zwolnił nagle i zatrzymał się, a sztucer opadł, opierając się lufą o ziemię.

– Tato...? – W głosie chłopca było słychać przerażenie.

– O, ja pierdolę... Chryste...

Kamera ominęła mężczyznę, chłopca i Miszę, i skierowała się w dół, a Vogel i Iwona skamienieli. Na śniegu leżało ciało kobiety. Głowę miała owiniętą ciemną chustą, biała, pobrużdżona zmarszczkami twarz kontrastowała z nią, a spojrzenie martwych, półprzymkniętych oczu było jak nieme oskarżenie. Owinięty wokół szyi włóczkowy szal przesiąknięty był krwią. Pocisk musiał uszkodzić tętnicę, bo jasnoczerwona krew barwiła śnieg na sporej połaci wokół ciała. Kobieta musiała czołgać się jeszcze przez chwilę, bo koło jej podkurczonych nóg śnieg był skopany, spod jego przyzmy prześwitywało runo i ziemia, a nieregularna ścieżka niewielkich plam krwi była jak koszmarny, graficzny zapis ostatnich chwil życia ofiary. Dalej leżał rozrzucony chrust, który kobieta musiała upuścić, gdy ugodził ją pocisk.

– Co ona tu, kurwa, robiła? Skąd się tu wzięła? – Misza stał z otwartymi ustami.

Kamera zaczęła omiatać tragiczny plan. Chłopiec klęczał na śniegu, jęczał i wymiotował. Misza kuczał teraz obok niego i trzymał rękę na jego plecach. Jego głos był słabo słyszalny, ale dało się rozróżnić poszczególne słowa.

– To była pomyłka, rozumiesz? – tłumaczył chłopcu, mimo że ten z pewnością nie słyszał czy może raczej nie słuchał. – To nie twoja wina, to była zwykła pomyłka.

Ojciec chłopaka ścisnął swoją głowę i kiwał się w przód i w tył, jak pobożny Żyd podczas modlitwy.

– Jezu, Jezu, o Jezu... – jęczał głośno. – Co ja mam teraz zrobić?



- Zabierz go stąd, kurwa! - Misza odwrócił się. - Słyszysz? Zabieraj dzieciaka! Wracajcie do domu! Obaj! I morda w kubeł!

Jego głos nie był już tak bełkotliwy, choć głoski wciąż artykułował niewyraźnie. Słyszając go, mężczyzna oprzytomniał trochę.

- To twoja wina! - krzyknął. - Głupi chuju, musiałeś się napierdolić? Ślepy jesteś?

- Ja? - Misza wstał. Jego głos obniżył się, zabrzmiały w nim niebezpieczne nuty. - Ja jestem tylko nagonką! Powiedziałem ci: bierz młodego, spierdalaj do samochodu i wracajcie do domu. Ale już!

Mężczyzna jakby nie słuchał. Puścił głowę i znieruchomiał nagle, wpatrzony przed siebie, prosto w obiektyw kamery. Za nią stał jedyny w tym towarzystwie człowiek, który od momentu oddania strzału nie wypowiedział ani słowa. Nie zrobił nic, prócz tego, że jak wytrawny reporter beznamytnie rejestrował wszystkie zdarzenia.

- Co ty, kurwa, dalej kręcisz? - zawołał mężczyzna. - Wyłącz to! Natychmiast!!

Ruszył gwałtownie ku Ptasznikowi w palcem wyciągniętym w jego stronę. Parł przed siebie kołyszącym się krokiem, zapadając się w śniegu do połowy łydek, a jego twarz wykrzywiona była wściekłością i strachem. Zapomniał o synu, skupiony wyłącznie na Ptaszniku.

Kamera zjechała w dół, ekran znów zrobił się biały, a po chwili zobaczyli czubki butów tamtego. Musiał stanąć tuż przed Ptasznikiem.

- I zniszcz kasetę. - Usłyszeli jego głos. - Teraz! Wyciągaj taśmę, chcę zobaczyć, jak ją palisz!

Obraz zniknął nagle, jak urwany. Vogel z Iwoną przez jakiś czas siedzieli, nie odzywając się do siebie. Nagle drzwi do pakamery otworzyły się i zajął do nich właściciel.

- Tylko sprawdzam, czy wszystko w porządku - powiedział, lustrując pomieszczenie wzrokiem.

- Jeszcze chwila. - Z ust Iwony niezamierzenie wyrwał się warkot. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, spojrzała na mężczyznę i dodała: - Niedługo kończymy i niczego nie popsuliśmy. Damy panu znać, dobra?

Właściciel pokiwał głową bez słowa i zniknął za drzwiami, zamykając je nieco zbyt mocno. Vogel od razu zaczął przewijać taśmę na podglądzie, ale niczego więcej na niej nie było. Wizg kasety wyjeżdżającej z magnetowidu był końcem spektaklu. Vogel wyciągnął ją ze szczeliny, klapka zamknęła się i urządzenie zamarło.

– Kurwa mać... – wyszeptał tylko zdruzgotany i zerknął na Iwonę. – Co mogło stać się potem?

– Nie wiem. Pewnie pozbyli się zwłok. Misza z twoim ojcem.

– Dlaczego ojciec nie spalił kasety, tak jak kazał tamten?

Iwona powoli odwróciła głowę w jego stronę.

– Nie mam pojęcia, ale zapewne zrobił to celowo. Musiał wiedzieć, że jeszcze mu się przyda.

– Zabiła go w końcu.

– W jakim sensie?

– Gdyby nie nagrał tego filmu, a w zasadzie gdyby go zniszczył, nie musiałyby z jego powodu uciekać. Cała ta operacja musiała go kosztować trochę nerwów. Może dlatego doznał udaru? A gdyby nie uciekał, tylko żył dalej tu, nic by się nie stało.

Iwona pociągnęła nosem i ścisnęła sobie nosadę. Mocno.

– Nie ma sensu snuć takich rozważań – stwierdziła. – Nie wiesz, co by było. Stało się i się nie odstanie.

– Co robimy dalej?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Nie jestem w stanie zebrać teraz myśli.

– Chodźmy stąd – zaproponował. – Pomyślimy u mnie. Albo nie, jeszcze chwila.

Wstał już i ruszył do drzwi, ale nagle się zatrzymał. Iwona patrzyła zdziwiona, jak ładuje kasetę do magnetowidu, cofa taśmę do początku, puszcza film i przewija go na podglądzie. Po chwili wcisnął stop-klatkę, wyjął telefon i zrobił zdjęcie ekranu. Potem przewinął film jeszcze kawałek, i kiedy dotarł do sceny z Miszą podtykającym butelkę wódki do

kamery, zrobił to samo. Na koniec pstryknął fotkę mężczyzny i Miszy pochyłających się nad ciałem kobiety, wreszcie wyjął kasety i powiedział:

- Dobra, chodź, bo się porzygam.

- Po co ci te zdjęcia? - Iwona wskazała telefon.

- Na razie nie wiem. Jako dowód? Ślad, gdyby film zaginął?

- Nie możesz pokazać tego Miszy. Nie może wiedzieć, że go masz i że go oglądałeś. A przynajmniej nie teraz. To może być jak wyrok śmierci.

- Zdaję sobie sprawę - zgodził się. - W zasadzie powinniśmy przegrać ten film na coś trwalszego, a przede wszystkim po to, żeby go móc jakoś normalnie odtworzyć. Ale nie tu.

- A gdzie?

- Nie wiem. Powtarzam: zostawmy to na razie i chodźmy stąd wreszcie.

Wyszli na zewnątrz, pożegnanie z właścicielem skracając do niezbędnego minimum. Tam odetchnęli pełną piersią. Vogel rozejrzał się po pawilonach ryneczku.

- Kebab? - Wskazał szyld w jednym z nich. - Miało być coś ekstra, ale chyba nie mam ochoty wracać do miasta.

- Ja nawet nie jestem pewna, czy w ogóle mam ochotę na jedzenie.

Jednak obojgu burczało w brzuchach. Czekaając, aż Hindus przygotuje danie, milczeli, każde pograżone we własnych myślach. Kiedy dostali pudełka, zjedli po połowie, niemal się do tego zmuszając. Do skutera szli, również milcząc.

- Muszę się powoli zbierać - powiedział Vogel, przestępując z nogi na nogę, jak młokos, który wieczorem rozstaje się z niedawno poznaną dziewczyną, licząc na odrobinę więcej niż pomachanie na do widzenia.

- Odwiozę cię do domu.

- Możesz przenocować u mnie - zaproponowała nieśmiało.

- Na pewno? - Nie o to mu chodziło, ale mile się zdziwił.

- Na pewno. Chyba nie chcę spać dziś sama. Poza tym, równie dobrze możemy ustalić, co dalej, u mnie.

## PŁACZ

Na osiedle przy Wiosny Ludów dotarli kilka minut później, dochodziła osiemnasta. W mieszkaniu Iwony było gorąco mimo uchylonych okien. Otworzyła je na oścież i zrobił się lekki, przyjemny przeciąg.

– Nie masz nikogo? – zapytał Vogel znienacka.

Pytanie wydało mu się naturalne i miał nadzieję, że Iwona nie uzna je za wścibstwo. Nie zauważył żadnych zdjęć rodzinnych ani przedmiotów, które mogły należeć do mężczyzny albo do dziecka.

– Pytasz o faceta? – Iwona obejrzała się na niego od okna.

– Hmm, tak.

– A zaprosiłabym cię do siebie, gdybym go miała?

– Okej, pytam w nieco szerszym kontekście. – Roześmiał się, trochę z przymusem.

– Nie mam faceta. Już nie. W zasadzie nie mam nikogo.

A potem zdarzyło się to, co na łodzi, podczas rejsu po Roztoce Odrzańskiej. Iwona usiadła na kanapie, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Tama puściła. Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, ale tym razem on zareagował. Usiadł obok niej i objął ją. Odczekał, aż jej płacz trochę ucichnie, nabrał głęboko powietrza i zaproponował:

– Zapytam, co się wydarzyło, ale jeśli nie chcesz, nie musisz odpowiadać. Czy mam nie pytać?

– Możesz zapytać.

– Co takiego wydarzyło się w twoim życiu, że reagujesz tak na pewne kwestie? Wtedy, na łodzi, kiedy wspomniałem o zabijaniu, i teraz, kiedy rozmawiamy o facetach? Ty, twarda babka, której jaj mógłby pozazdrościć niejeden tak zwany prawdziwy mężczyzna?

– Kto ci powiedział, że jestem twarda? – Odsunęła dłonie od twarzy i spojrzała na niego.

Miała mokre oczy, ale błyskało w nich już coś innego niż tylko czarna rozpacz i trochę udawane zdziwienie.

– Jestem bystrym obserwatorem. – Zmarszczył nos. – Więc jak? Dalej masz szansę nie odpowiadać.

Zbierała się w sobie, widział to. Nie popędzał jej, po prostu czekał. A potem Iwona zaczęła mówić.

– Zostałam wrobiona w pewną akcję. Nie byłam do niej przygotowana, ktoś uznał, że z pewnych względów mam predyspozycje, żeby wziąć w niej udział. Nie mogę ci zdradzić szczegółów, ale w konsekwencji straciłam wszystko. Partnera, matkę, przyjaciela, kogoś, kogo miałam za przyjaciela, i szacunek do samej siebie. Zostałam wykorzystana wbrew swojej woli. Kiedy się godziłam na tę akcję, nie miałam pełnej wiedzy, o co w tym wszystkim chodzi. Przegrałam wszystko, całe życie. Jeszcze się po tym nie pozbierałam i pewnie długo nie pozbieram. Czasem to we mnie wzbiera, a niektóre słowa budzą po prostu skojarzenia i wtedy się trochę rozklejam. Poza tym chodzę do pracy i to jest teraz jedyny mój cel. Nie mam innego, i nie mam też perspektyw. Jestem ludzkim automatem.

– Aż tak źle? – zapytał cicho.

– Nawet sobie nie wyobrażasz – szepnęła. – Pływałam w najgorszym szambie. Byłam zmuszona podejmować natychmiastowo krytyczne decyzje i robić rzeczy, które do dziś śnią mi się po nocach. Patrzeć na okrucieństwo i ludzką podłość. Zabijałam, Heinrich. W obronie własnej, ale zabijałam. Mam na sumieniu kilka osób, rozumiesz? Nie: jedną. Kilka. Byli skurwysynami, bogatymi skurwysynami, którzy nie zasługiwali na to, żeby żyć, ale to ja musiałam ich zabić. Nie miałam wyjścia. Zabijałam ich, patrząc im w oczy.

– Mój ojciec też był bogaty... – wtrącił Vogel pozornie bez związku.

Ale bez związku nie dla niego. Pożałował po chwili egoistycznego wtrętu, ale to uświadomiło mu, jak głęboko tkwi w nim to wszystko, co

zdarzyło, się, kiedy ojciec odniósł sukces. Rozpad. Pieniądze były zapalnikiem, tak sądził, wielokrotnie zastanawiając się, co by było, gdyby ojciec chodził do normalnej pracy, zarabiał średnią krajową i miał czas. Dla niego, dla matki. I przeważnie dochodził do wniosku, że pewnych rzeczy nie dałoby się jednak uniknąć, bo ojciec taki po prostu był.

Iwona tylko westchnęła.

– Nie mam nic przeciwko bogactwu, jeśli o to ci chodzi.

– Nie, nie do końca o to. Przepraszam, że ci przerwałem. Wypsnęło mi się. Też mam swoje demony i nie wiem teraz, czyje są gorsze: twoje czy moje.

Uśmiechnęła się lekko przez łzy.

– Po prostu moje ostatnie doświadczenia z takimi ludźmi sprawiły, że teraz znów mam wrażenie, że wchodzę do tej samej rzeki, rozumiesz? A właściwie do tego samego bagna. Tamtej sprawy nie da się porównać z tą twojego ojca, ale to wraca, wciąż wraca... W dodatku pozwoliłam, żeby mój partner też odszedł. Zostałam sama jak palec. – Spojrzała mu w oczy i otarła piętami łzy. – Co pan na to, panie Vogel?

– Nie wiem, co powiedzieć, przepraszam... – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie musisz nic mówić, nie tego oczekuję. Po prostu pobądź teraz ze mną, żebym chociaż dziś wieczorem nie musiała być sama, nie musiała słuchać wyłącznie własnego oddechu, albo pierdolenia z telewizora, byle tylko nie było tu tak koszmarnie cicho.

Objął ją. Kiedy położyła mu głowę na ramieniu, pocałował jej włosy. Pachniały szamponem. Siedzieli tak przez kilka minut w kompletnej ciszy.

– Dobra, pogadajmy o czymś, bo zrobiło się smętnie. – Iwona westchnęła, wyzwoiliła się delikatnie z jego objęć i wstała. – Możemy wrócić do sprawy. Coś z tym trzeba zrobić.

– Będę musiał w końcu dać ten film Miszy, wiesz o tym? – Został na kanapie. – Inaczej nie da mi spokoju.

– Mówiłam ci, zapłacisz za to życiem. – Głos Iwony był zmęczony. –  
Gdzie on był schowany?

– W sejfie, który ojciec wynajął u swojego pierwszego prawnika  
w Szczecinie.

– Mówiłeś, że Misza twierdził, że szukał filmu wszędzie: po firmach  
Ptasznika, w jego domu... Dlaczego nie tam?

– Nie wiem. Może dlatego, że ojciec miał z Popławskim niewiele  
wspólnego. Podobno już dość dawno zatrudnił jakąś znaną firmę  
prawniczą w Warszawie. Patrząc na stopień skomplikowania jego  
interesów, wątpię, żeby mogła to ogarnąć jedna, w dodatku starsza  
osoba prowadząca niewielką kancelarię, i to w Szczecinie. Ojciec musiał  
mieć do niego jakiś sentyment, choć nigdy bym go o to nie podejrzewał.  
A może właśnie chodziło o to, że nikt by go już z nim nie powiązał.  
Zaczynał z Popławskim trzydzieści lat temu jako drobny handlarz  
i waluciarz.

– Przede wszystkim musimy ustalić, kto poza Miszą i twoim ojcem  
brał udział w polowaniu. Ojciec tego chłopca musi być w wieku twojego  
ojca, a ten chłopiec trochę młodszy od nas. Wiemy, że ten starszy ma na  
imię Zbigniew albo Zbysław, a przynajmniej jest nazywany Zbyszkiem.

– Nie wiemy nawet, gdzie odbyło się to polowanie.

– Twój ojciec wystąpił z milicji w osiemdziesiątym ósmym, Miszę  
pewnie w dziewięćdziesiątym wypieprzyli, bo nie przeszedł lustracji.  
Karierę przestępczą, przynajmniej to, co mu udowodniono, zaczął  
w dziewięćdziesiątym piątym, głównie na terenie ówczesnego  
województwa gorzowskiego i zielonogórskiego. Kiedy  
przeprowadziliście się do Szczecina?

– W dziewięćdziesiątym piątym.

– Więc dość prawdopodobne jest, że to było gdzieś w okolicach  
Gorzowa, i od tego zacznijmy. Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to  
sprawdzenie zaginięć kobiet w tamtych okolicach. Mamy precyzyjną  
datę, chociaż mogła nie być ustawiona... – Zwątpiła nagle.



- Jeśli to była kamera ojca, to na pewno data i godzina były ustawione co do minuty. Możesz być tego pewna.

- Dobrze, zakładamy, że tak było, bo czegoś musimy się trzymać. I faktycznie, musieli pozbyć się ciała, to niemal pewne. Gdyby ktoś je znalazł, to pierwszym tropem, jakim poszłaby prokuratura, byłoby sprawdzenie okolicznych myśliwych. To oczywiste. Więc ona musiała zniknąć, skutecznie. Sprawdzę to jutro w pracy. Idziemy spać?

- Tak. - Pokiwał w zamyśleniu głową.

Wzięli prysznic, osobno. Potem położyli się do łóżka. Iwona leżała na boku plecami do niego, a Vogel na wznak z ramionami pod głową i zastanawiał się, co dzieje się teraz w jej głowie. Zdawał sobie sprawę, że jest pierwszym od dawna mężczyzną, który leży na miejscu jej partnera w ich łóżku. To musiało być dla Iwony dziwne uczucie, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie próbował niczego, po prostu słuchał jej równego oddechu, czując, jak sam zaczyna odpływać w sen. Nagle poczuł ruch. Iwona przekręciła się i przysunęła do niego. Miała wciąż zamknięte oczy. Położyła głowę w zagłębieniu jego pachy i objęła go w pół na wysokości klatki piersiowej. Nie zmienił pozycji i wkrótce zasnął, zanim uświadomił sobie, że nie wziął tabletek nasennych.

Rano zjedli szybkie śniadanie, płatki kukurydziane z mlekiem, bo niewiele więcej było w lodówce, potem odwiózł Iwonę do pracy i wrócił do siebie.

Raz w tygodniu robił dzień porządkowy: sprzątał kabiny i pokłady, przeglądał silnik „Worśy”, uzupełniał wodę, robił przepierkę w misce. Pół dnia krzątał się po łodzi, doprowadzając ją do porządku. Sprzątając mesę, nagle zobaczył, że między oparcie a leże koi wciśnięty jest jakiś przedmiot. Wydłubał go i obejrzał ze zdziwieniem. Niewielki, plastikowy pojemniczek na leki. Nazwa leku nic mu nie mówiła, skład jeszcze mniej. Odkręcił zakrętkę, zajrzał do środka i zobaczył jakieś jasnoniebieskie tabletki. Pokręcił tylko głową, trochę rozbawiony, a trochę zły, że ta rzecz przypomniała mu o Miszy, i odstawił pojemniczek na półkę pod okienkiem, nie interesując się nim więcej.

Kiedy Iwona przyjechała po południu, zauważył, że coraz pewniej wchodzi na łódź i uświadomił sobie, że już nawet nie potrafi policzyć, ile razy u niego była. Przywitał się z nią, a potem poszli na górny pokład.

- Mam dobrą i złą wiadomość - Iwona westchnęła.

- Zaczniij od dobrej, okej? - poprosił. - Za dużo ostatnio było tych złych.

- Hmm, dobrze. Być może na coś trafiłam, jeśli chodzi o tę kobietę. W styczniu dziewięćdziesiątego czwartego zaginęła niejaka Genowefa Stańczyk, mieszkanka wsi Mironice.

- To w okolicy Gorzowa, na północ. Piękne lasy...

- Dokładnie. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Była samotna, nikt nigdy nie złożył do sądu wniosku o uznanie jej za zmarłą, więc formalnie figuruje wciąż jako zaginiona, choć dziś miałaby prawie sto lat. W zasadzie tylko ona pasuje. Od tego zaczniemy i zobaczymy, do czego nas to doprowadzi. Oby do nich.

- To teraz ta zła wiadomość, tak?

- Niestety, bardzo zła. Siegfried Noack nie żyje.

- Hmm...

- Nie jesteś zbyt mocno zdziwiony?

- Zbyt mocno nie. Myślałem, że wiadomość będzie gorsza. Rozumiem, że skoro się o tym dowiedziałas, to nie była śmierć naturalna?

- Zgadza się.

- Co mu się stało?

- Został zastrzelony wczoraj późnym wieczorem w Hamburgu.

## ZAMACH

– Żeby było jasne, Iwona: nie spodziewaj się, że będę smutny albo będę go żałował. Nic mnie z nim nie łączyło poza moją matką, a po ostatniej wizycie u niego żałuję tylko jednego: że on się w ogóle urodził.

– Nie musisz mi się tłumaczyć, rozumiem.

Vogel patrzył na Iwonę poważnym wzrokiem. Zaczynał mieć wrażenie, że powoli zaczyna łączyć ich coś więcej, niż tylko sprawa ojca. Po ostatniej nocy i rozmowie w jej mieszkaniu okazało się, że jest chyba jeszcze bardziej poturbowana przez życie niż on, choć licytowanie się na traumatyczne przeżycia było raczej bezsensowne. Przeszła swoje, tak jak i on. Czuli wspólnotę dusz, choć wciąż podszytą ostrożnością, na pewno dużo większą ze strony Iwony, niż z jego. On zaczynał się na nią otwierać i czuł z tego powodu jakąś ulgę, ale w drugą stronę to działało nieco inaczej. Do Iwony dostał się tylko przez szczelinę, która na chwilę pojawiła się w jej pancerzu. Nie snuł planów, co dalej z ich relacją. Nie szykował się na żadne deklaracje, ani z jej strony, ani ze swojej. Liczył się nawet z tym, że kiedy sprawa z Miszą się skończy, wyjedzie stąd i nigdy więcej nie zobaczy się z Iwoną Banach.

– Znasz jakieś szczegóły? – zapytał.

– Na razie niewiele, tyle co przekazali nam Niemcy. Noack był z kimś wieczorem na kolacji w knajpie w portowej dzielnicy. Rozstali się, on wyszedł pierwszy, tamten został. Zabójca zaskoczył go tuż po tym, jak wsiadł do samochodu. Noack zdążył nawet wyjąć pistolet, który zawsze nosił przy sobie, ale tamten był szybszy. Oddał kilka strzałów przez boczną szybę i zniknął. Tam jest ciasna zabudowa, ciemne uliczki, więc nie miał problemu, żeby się na przykład przebrać i zmylić trop. Powiem szczerze, nie wierzę, żeby dało się go wytropić w oparciu o ślady na

miejscu czy monitoring. Jeśli już, to mogą dojść do niego poprzez jakieś powiązania, ale to zajmie dużo czasu.

- Podobno do ojca też ktoś strzelał?

- Tak, to prawda, ale zamach na twojego ojca nie został formalnie zgłoszony, rozumiesz? Dostaliśmy tę informację z innych źródeł, ale tak naprawdę wiemy niewiele ponad to. Śledztwo zostało wszczęte z urzędu, ale on od początku nie chciał współpracować. Nikomu nic się nie stało, świadkowie nie mieli zbyt wiele do powiedzenia, a Ptasznik jeszcze mniej. Twierdził, że nie ma pojęcia, kto mógł chcieć go zabić. Czego tu oczekiwać? Niby wszystko zmieniła katastrofa śmigłowca, ale ten wątek został, jaki był: zero nowych informacji, świadkowie też niczego nowego sobie nie przypomnieli. A poszkodowany nie żył.

- Zastanawia mnie jedna rzecz. Krótki odstęp czasu między moją wizytą w Hamburgu a jego zabójstwem. Może to przypadek, a może nie. Ale wzięwszy pod uwagę, co się dzieje wokół tej sprawy, to mam wrażenie, że jednak nie.

- Misza?

- Tak. Tylko on o tym wiedział. I wiesz co, coś mi przyszło do głowy. Poczekaj.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Artura. Przyłożył komórkę do ucha i uśmiechnął się lekko, widząc, jak Iwona marszczy ze zdziwieniem brwi. Kiedy pan Artur odebrał, włączył tryb głośnomówiący i położył telefon na stoliku.

- Dzień dobry, panie Arturze, mówi Henryk, mam sprawę... - Pochylił się nad blatem. - Nie, nie samochód, nie tym razem. Wypożyczu u pana auto jeden facet. Nazywa się Jacoń, Mirosław Jacoń.

- Taak, zgadza się, wypożyczał u mnie już parę razy. Na jeden dzień, albo na kilka.

- O, proszę. A czy... Ma pan tam może jego adres?

- A co się dzieje?

- Nie, nic, ale facet się koło mnie kręci i widziałem raz, że miał auto od pana.

– Ode mnie? Jak je poznałeś?

– Wydawało mi się, że widziałem je kiedyś u pana na placu... – Vogel nakrył telefon dłonią i zapytał szybko Iwony: – Co to było?

– Czerwone renault clio – odszepnęła.

– Czerwona renówka, clio. I pomyślałem, że sprawdzę, o co chodzi.

– Poczekaj, wejdę w komputer... Jacon... Jacon... Mieszka w Gorzowie, chcesz dokładny adres?

Vogel zerknął na Iwonę, ale ta się tylko skrzywiła i wzruszyła ramionami. Wiedział, co ma na myśli: nawet jeśli adres był aktualny, to i tak Miszy pod nim nie było.

– Od kiedy wynajmuje u pana auta? – zapytał pana Artura.

– Od... Czeka... Od dwóch tygodni.

– A ostatnio?

– Tak się śmiesznie składa, że oddał samochód dziś rano. Wziął wczoraj, też rano. Źle wyglądał. On, a nie samochód.

– Hmm, a nie wie pan, gdzie był?

– Nie mam pojęcia.

– Nie ma pan GPS-ów w swoich autach?

– Nie. Ale wiem, ile kilometrów zrobił.

– Naprawdę?

– Tak, zawsze notuję stany liczników w swoich autach. – Artur roześmiał się. – Ty też nie jesteś wyjątkiem.

– Sprawdź mi pan to?

– No dobra, poczekaj... – Usłyszeli ciche klikanie w klawiaturę. – Osiemset kilometrów z groszami.

– Dzięki, panie Arturze. I... On się o tym nie dowie, prawda?

– Od dziś się znamy, Henryk?

– Cieszę się. Do zobaczenia następnym razem.

– Mam mieć wszystkie wypożyczone, kiedy znowu do mnie przyjdzie?

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Wszystko zostaje bez zmian, jakby co, odezwę się.

- Jasne. Trzymaj się, Henryk. I... Za tydzień jest rocznica, pamiętasz?

- Pamiętam - odparł cicho. - Przyjdę na cmentarz, obiecuję. Do widzenia, panie Arturze.

- Do zobaczenia.

Vogel rozłączył się.

- Rocznicą? - zapytała Iwona.

Wyjaśnił jej wszystko, a ona tylko pokiwała głową.

- Osiemset kilosów to droga do Hamburga i z powrotem - stwierdziła. - To o to ci chodziło?

- Tak. Pomyślałem głupio, że znów wzięł auto od Artura. I jak się przed chwilą okazało, nie tak wcale znowu głupio.

- Za to on musi być chyba głupi. Nie posługuje się fałszywym dowodem tożsamości. Podaje w wypożyczalni prawdziwe nazwisko. Przecież musi sobie zdawać sprawę, że zostawia ślad.

- Zrobił to specjalnie, mówiłem ci. Chciał, żebyś wiedział, że jest blisko mnie. Cały czas.

- Ale nie jest cały czas. I nie mógł mieć pewności, że w ogóle zobaczysz, czym jeździ, a jeśli tak, to że przyjdzie ci do głowy sprawdzić numery.

- Tobie przyszło. A on wiedział o tobie. Wie, że jesteś policjantką i mi pomagasz, mimo że mu o tym nie mówiłem. I najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu. Więc wiedział też, że to sprawdzisz. Dlatego kazał ci wtedy jechać do domu, a nie poczekać na nabrzeżu, aż skończę z nim gadać.

- Dobrze, nawet jeśli, to musi być durniem, jadąc dokonać zamachu autem z wypożyczalni wynajętym na własne nazwisko. Przecież to da się sprawdzić na zapisach monitoringu z okolicy: musiał się gdzieś załapać. Teraz wiadomo, czego szukać. Auta.

– Niekoniecznie. On nie jest głupi, Iwona. Jest, jaki jest, zrobił, co zrobił, ale to inteligentny facet. Może zaparkował gdzieś na obrzeżach i do miasta dotarł pociągiem. Może pojechał innym autem, a wypożyczenie u Artura było jakąś zmyłką. A może to w ogóle nie on zabił wuja?

– Data, Heinrich. Data wynajmu pokrywa się z datą zamachu na twojego wuja. I dlaczego, do cholery, bawi się w wynajmowanie i oddawanie, zamiast wziąć auto na miesiąc czy chociaż tydzień?

– Ja tak robię. – Zwrócił uwagę, na sekundę wytrącając jej argument z ręki.

– Ty to co innego – stwierdziła po chwili. – Nie poruszasz się na co dzień samochodem, potrzebujesz go raz na jakiś czas na dalszy wypad.

– On widać też.

– Nie. Musi być mobilny, to podstawa śledzenia kogokolwiek. Kurwa, nie rozumiem tego. To po prostu niekonsekwentne. I cholernie dziwne.

– Może nie ma nic do stracenia?

– Zawsze ma się coś do stracenia. Zastanawiam się, jak zasugerować badania porównawcze pocisków z ciała Matysiak i twojego wuja.

– Myślisz, że zabił ją osobiście? Mówił tylko, że zrobili to ludzie, którzy go wynajęli.

– A tak trudno w to uwierzyć? Że on zabił? Nawet na ich zlecenie, ale osobiście?

– Nie, nietrudno – odparł po chwili zastanowienia. – I dlaczego nie wpadłem na to wcześniej?

Ścisnął dolną wargę, a potem wsadził kciuk w zęby i przygryzł paznokcie. Wiedział chyba dlaczego. Bo nie chciał wpaść. Wołał wierzyć, że Misza nie przyłożył do tego ręki, nawet jeśli związany był z tamtymi ludźmi. Bo ta świadomość znów wprowadziłaby ich relację na nowe tory. Nowe, ale stare, takie jak w Goleniowie, gdzie autentyczny strach przed człowiekiem, który z zimną krwią i wyrachowaniem zabił innego człowieka, spowodował, że poddał mu się całkowicie. Ja zresztą wszyscy inni.

– Wróciłeś już do mnie? – zapytała Iwona.

– Tak... – potwierdził cicho.

– Jeśli pociski będą pochodzić z tej samej broni, to może oznaczać, że zabójcą jest Misza, i to też będzie pewien ślad. Powiązanie Matysiak i Noacka. Zwiększa tym samym ryzyko odkrycia całej intrygi i musi to wiedzieć. A on jakby się tym nie przejmował i pytanie, czy dla ludzi, którzy za nim stoją, też to nie ma znaczenia?

– Może o tym nie wiedzą?

– Może. A tę Matysiak zabił dlatego, że nie chciała mu powiedzieć, gdzie jest twój ojciec. Jeśli w ogóle to wiedziała.

– Dała do analizy szczoteczkę Sudoła.

– Zgadza się, ale to nie oznacza, że musiała znać wszystkie szczegóły.

– A Noack? Dlaczego zginął Noack?

– Z tego samego powodu.

– Przecież wyjaśniłem Miszy, że ojciec nie żyje.

– Ale nie dałeś mu bezpośredniego dowodu. Więc może pojechał upewnić się sam, a Noack skończył jak Matysiak. Bo inaczej nie mógł, Misza czułby na karku jego oddech do końca życia. Zapewne już niezbyt długiego życia, rozumiesz?

– Też nie tak, Iwona. To był strzał z zaskoczenia. Jak ten pierwszy zamach na ojca. Nie pytał Noacka o film ani o niego, tylko po prostu zastrzelił. Wyeliminował. Nie bawił się w zgadywanie, wypytywanie, tylko uciął nić. Pozbywa się wszystkich, którzy mają z tym coś wspólnego.

– A ci ludzie z filmu? Ten chłopak?

– Tego musimy się jednak jakoś dowiedzieć, choć oczywiście nie od Miszy. Kim byli i czy wciąż żyją. Coś mi się widzi, że to mało prawdopodobne, być może nawet zginęli niedawno. I wtedy zostaje Misza.

– Był najmniej winny temu, co się stało. Twój ojciec też.



- Ale był tam i ukrył prawdę. - Spojrzał na nią. - I mój ojciec też ją ukrywał.

- Wiesz, jest taka łacińska sentencja. Sprawdza się cholernie często. Is fecit, cui prodest. Ten uczynił, czyja korzyść.

- Jaką korzyść odniósł Misza?

- A może to nie chodzi o Miszę? Ani o Ptasznika?

- Ten facet? Ojciec dziecka, które strzelało? Myślisz, że jednak żyją?

- Może chceć go chronić, a nie pozbywać się wszystkich świadków.

- Dopiero teraz? Po tylu latach?

- Być może istniała jakaś równowaga. Każdy z nich straciłby wszystko, gdyby ten film ujrzał światło dzienne, więc musieli się wzajemnie kryć. Musiało się jednak stać coś, co tę równowagę nagle zburzyło. Tylko co?

# JENOT

– Dobrze, wiemy już, kim była ta kobieta z lasu – stwierdził Vogel. – A jak chcesz sprawdzić resztę? Jak dotrzesz do szczegółów polowania sprzed trzydziestu lat?

– Nie wiem jeszcze, choć to powinno być możliwe. Nie znam się, ale każde polowanie trzeba chyba wpisać w jakieś dokumenty? Książka ewidencji, protokół?

– Trzydzieści lat temu, Iwona. To było trzydzieści lat temu. Wzięli na polowanie dziecko, pili alkohol, podejrzewam, że to kiedyś było nagminne, a kto wie, może dziś też. Przepisy przepisami, a życie życiem. Nawet jeśli wpisali, to po wszystkim postarali się wszystko wyczyścić. Protokół zaginął, ta książka się zniszczyła, albo też ją wciąło. I co, pojedziesz tam i zażądasz wglądu do dokumentów? Na jakiej podstawie? Poza tym, wtedy ktoś się może zorientować, w czym grzebiemy. Na przykład ojciec tego chłopaka, jeśli wciąż jest czynnym myśliwym. – Odetchnął głęboko. – Czemu tak na mnie patrzysz?

– Bo właśnie poddałeś mi pomysł.

– W którym momencie?

– Mówiąc o czynnym myśliwym. Kto wie, może nie musimy niczego sprawdzać w dokumentach. Wystarczy pogrzebać w sieci. Myślisz, że za co zapłaciłeś Bennerowi? Za rozmowy, jeżdżenie, śledzenie? Połowę albo nawet więcej z rzeczy, które ci sprawdził, znalazł w necie, tylko po prostu wiedział, gdzie i jak ich szukać, a ty nie.

– Ty się na tym znasz? – Zmarszczył brwi.

– Na pewno nie tak jak on, ale chodzi mi teraz o to, że w odmętach internetu jest mnóstwo rzeczy, które można znaleźć samemu. W dodatku nic w nim nie ginie.

- Protokołów z polowań z pewnością nie ma.

- Zgadza się. Ale są inne ślady działalności myśliwych. Jaki jest jeden z powodów, dla którego polują?

- Nie znam ani jednego. A jeśli znam, to nie rozumiem.

- Bo lubią się pochwalić, Heinrich. Zrobić sobie zdjęcie z trofeum i pokazać znajomym. Albo całemu światu. Sprawdźmy, może pokażą je również nam.

- Nie mam zamiaru oglądać tego gówna. Wystarczy, że za dzieciaka oglądałem to, co przywoził z polowań ojciec. A potem musiałem to jeść.

- Jezu, skup się! Nie będziemy oglądać trofeów, tylko ich, rozumiesz?

Zmieszał się lekko.

- Hmm, emocje wzięły górę. - Zaczął się niezgrabnie tłumaczyć.

- Zauważyłam, że jesteś bardzo emocjonalny - powiedziała poważnie. - Nie mówię, że to źle, ale nigdy nie pozwól, żeby w krytycznej sytuacji emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem.

- Coś o tym wiesz, co?

- Tak. Wiem o tym prawie wszystko. I nie wracajmy do tego. - Wiedział, że ma na myśli nocną rozmowę. - Zabierzmy się za to do roboty. Najlepiej systemowo. Cholera, szkoda, że nie masz laptopa...

- Mam komórkę.

- Aa tam... Czeka, mam w aucie służbowy laptop. Chwila. - Zerwała się z koi.

Zostawiła go na chwilę i pobiegła do samochodu. Gdy już wróciła z torbą pod pachą, otworzyła ją, wyjęła komputer i uruchomiła go. Usiedli na koi, laptop leżał na stoliku. Iwona bez problemu znalazła stronę, o którą jej chodziło.

- Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Gorzowie, struktura - przeczytała na głos. - Mapy obwodów łowieckich. Galeria. Proszę bardzo. Wszystko jest.

Kiedy na ekranie pojawiła się mapa, poznaczana kolorowymi, krętymi liniami granic obwodów, Vogel zająrzył Iwonie przez ramię i odruchowo wyciągnął palec w stronę monitora.

– Koło łowieckie „Jenot” z Kłodawy Gorzowskiej podlega pod Zarząd Okręgowy w Gorzowie, a Mironice leżą w jego obszarze. Wejdź w to...

Patrzył, jak kierowana myszą strzałka wędruje po stronie, kiedy Iwona rozwijała kolejne zakładki. Administrator zamieścił sporo zdjęć z polowań i imprez myśliwskich, głównie grupowych i nawet trochę archiwalnych, choć wyłącznie po dwa tysiące ósmym roku, ale na żadnym z nich nie odnaleźli człowieka, który choćby trochę przypominałby Zbyszka z filmu. Oboje mieli w pamięci jego twarz: zszokowaną, napiętą i przerażoną. W dwóch przypadkach mieli wątpliwości, bo zdjęcia były w niezbyt dobrej rozdzielczości i przedstawiały kilkanaście osób.

Byli już oboje nieco zrezygnowani, kiedy Vogel przejął mysz. Rozwinął zakładkę „Aktualności” i rzucił okiem na pierwsze kilka wiadomości. Kiedy dotarł do tej sprzed dwóch tygodni, poczuł, jak serce niemal przestaje mu bić. Zaczął czytać na głos:

– Po długiej i ciężkiej chorobie odszedł od nas do Pana nasz Przyjaciół, Darczyńca i wieloletni Prezes, a ostatnio Prezes Honorowy koła łowieckiego „Jenot”... Kurwa, popatrz na zdjęcie, to on! Na bank! Iwona...?

Zerknął na Iwonę, która pobieliała na twarzy i ścisnęła nagle jego dłoń.

– Co się stało?

– Zostaw zdjęcie, czytaj dalej – szepnęła.

Przeniósł wzrok na ekran i znalazł miejsce, w którym przerwał.

– ...Prezes Honorowy koła łowieckiego „Jenot”, Kolega Zbigniew Jaskólski. Darz Bór, Zbyszku! Będzie nam Ciebie brakowało! Mamy go...

– Jaskólski. Ja znam to nazwisko. – Iwona z trudem zbierała myśli. – To może być przypadek, ale coś mi mówi, że jednak nie... Nawet wiek się zgadza.

- Kto to? - zapytał z niepokojem, a ona spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że sprawę śmierci twojego ojca przejęło ABW? - zapytała.

- Pamiętam.

- Tak się nazywał szef delegatury we Wrocławiu, który przyjechał do nas wtedy osobiście... Jaskólski. Pułkownik Dariusz Jaskólski.

# WIRUS

Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w monitor.

– W gorsze gównu nie mogłem wpaść – poskarżył się Vogel. – W co ten gnój mnie wpierdolił?

– Z tej czwórki żyje tylko Jaskólski i Misza. Chyba wszystko jest jasne, nie? Już wiemy, po co chcieli film ci tajemniczy ludzie, którzy stoją za Miszą. Dziś teczki z archiwum SB to już przeżytek. Dziś można polityków szantażować filmem. Teraz nasza współpraca nie może wyjść na jaw pod żadnym pozorem.

– Przecież Misza o niej wie.

– Niekoniecznie. Wie tylko, że spotykamy się... Hmm, prywatnie.

– Musiałby być durniem, żeby sądzić, że nie rozmawiamy o sprawie. Poza tym, dał ci się namierzyć z tą wypożyczalnią.

– To mógł być przypadek, Heinrich. Po prostu i najzwyczajniej w świecie. Mała wypożyczalnia to mniej formalności, mniejsza staranność przy ich załatwianiu, no i nie ma cię w jakimś ogólnopolskim systemie, jak w przypadku tych sieciowych. Poza tym oficjalnie nie prowadzę już żadnej sprawy związanej ze śmiercią i działalnością Zenona Ptasznika. Nikt nie wie, że w tym grzebień nieoficjalnie, zresztą najgrubsze rzeczy załatwiam sam. Bennera, Noacka...

– A Sudoł? Byliśmy w Poznaniu razem.

– O tym pewnie Misza nie wie i lepiej, żeby tak zostało.

– Ale wciąż w tym tkwisz.

– Może doszedł do wniosku, że mnie czasem pytasz o coś, ale niekoniecznie musisz mi mówić, co ustaliłeś.

– Przepraszam cię bardzo, ale ten tok myślenia jest trochę naiwny.

- Bo wciąż zgadujemy. Nie możemy sprawdzić wszystkiego na sto procent i porządnie, więc snujemy domysły na podstawie tego, co mamy. A nie mamy wbrew pozorom zbyt wiele.

- Myślę, że on to po prostu akceptuje w imię wyższego celu.

- Też tak może być. - Zgodziła się.

Vogel machinalnie sięgnął po stojącą pod okienkiem fiolkę, którą znalazł na koi, i zaczął ją podrzucać w rękę. Kiedy zobaczył, że Iwona go obserwuje, chwycił opakowanie w dwa palce i pokazał jej.

- Misza już nie taki jurny, jak kiedyś. Potrzebuje wspomagaczy.

- To jego?

- Tak. Musiało mu wypaść z kieszeni, kiedy zemdłał.

- Pokaż mi to.

Wyciągnęła rękę, więc podał jej pojemniczek, a ona zrobiła to samo, co on, kiedy go znalazł: otworzyła i zajrzała. Zmarszczyła brwi i wysypała sobie kilka tabletek na dłoń.

- To nie viagra - stwierdziła. - Viagra ma inny kształt.

- Może zamiennik? Generyk? Kolor się chyba zgadza?

Iwona spojrzała na etykietę, drugą ręką sięgnęła po mysz, otworzyła stronę wyszukiwarki i zaczęła coś wpisywać w okienku.

- Na pewno jemu to wypadło? - zapytała cicho, klikając myszą.

- Nie ma innej możliwości, chyba że tobie - roześmiał się, choć po minie Iwony widział, że chyba nie powinien. - Nikt inny u mnie nie był. O co chodzi?

- To jego dziwne omdlenie i to, jak on wygląda...

- Zestarzał się, po prostu. Wiek i piętnaście lat w pierdlu. Faktycznie, może ma jakiś nowotwór, ale szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to. A to, co i z kim robi w łóżku... - Wskazał fiolkę. - Jeszcze mniej.

- Truvada nie jest lekiem na potencję - powiedziała Iwona, patrząc mu prosto w oczy.

- A na co?

- Na HIV...

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- On sam jest jak pieprzony wirus - mruknął Vogel i zapytał: - To coś zmienia?

- Nie wiem. Dziś ludzie żyją z tym dziesiątki lat. Ten lek zmniejsza ilość wirusa we krwi do poziomu niewykrywalności, choć wciąż zostają przeciwciała, których obecność świadczy o chorobie. Piszą też, że stosuje się go w leczeniu wirusa zapalenia wątroby typu B...

- Myślę, że to jednak może być HIV. Wiem, co robił w więzieniu. I ta jego twarz. To mięsaki Kaposiego. - Rozejrzał się po mesie i przypomniał sobie pierwszą wizytę Miszy, kiedy ten poprosił go o wodę, i pogratulował sobie w duchu wyrzucenia szklanki po jego wyjściu, choć zrobił to z zupełnie innego powodu. - Mamy już wszystko, Iwona, lub prawie wszystko. Ten Jaskólski nie zabrał sprawy przez przypadek. Próbuje walczyć z szantażystami: ludźmi, którzy wiedzą o istnieniu tego filmu i o zdarzeniach, które na nim są. Próbuje przejąć nad tym kontrolę, na tyle, na ile może. I dlatego czas się z nim skonfrontować i dowiedzieć się tego, czego jeszcze nie wiemy.



# PUŁKOWNIK JASKÓLSKI

Vogel szykował się na co najmniej dwudniowe ustalanie miejsca zamieszkania Jaskólskiego, a tymczasem okazało się, że poszło nadspodziewanie łatwo. Od dwunastej w południe siedział w zaparkowanym na ulicy Łąkowej samochodzie niedaleko wejścia do budynku delegatury ABW. Zabudowa ulicy, przy której znajdowała się wrocławska siedziba Agencji, a także komenda wojewódzka policji niemal jota w jotę przypominała tę szczecińską, w rejonie Małopolskiej, gdzie z kolei mieściły się lokalne odpowiedniki obu instytucji. Vogel wciąż z nudów popatrywał na proste, modernistyczne elewacje: tynkowane albo z klinkierowej cegły o gładkim licu.

Udało mu się znaleźć miejsce parkingowe koło budynku Wyższej Szkoły Bankowej, niezbyt odległe od wejścia do delegatury ABW, i siedział tak od kilku godzin, z tylnego siedzenia wpatrując się w drzwi wyjściowe. Zdjęcie dyrektora Jaskólskiego dało się bez problemu znaleźć w internecie, co Vogła trochę dziwiło, ale Iwona twierdziła, że nie ma w tym nic dziwnego, więc nie polemizował.

Około osiemnastej przy wyjściu pojawił się mężczyzna w szarym garniturze i z aktówką w rękę. Vogel miał pewność, że to Jaskólski. Wychodząc, pułkownik przywitał się z kimś mijanym w drzwiach, podając mu rękę. Porozmawiali chwilę, a potem Jaskólski wsiadł do ciemnego volkswagena arteon, który czekał na ulicy, zaparkowany na wymalowanej na niej kopcercie. Vogel przesiadł się szybko, odpalił silnik, odczekał, aż auto go minie, i ruszył za nim, włączając się do ruchu. Co chwila zerkał w lusterka, bojąc się, że Jaskólski ma jakieś ubezpieczenie, że jedzie za nim drugi samochód z agentami, którzy mają za zadanie wypatrywać, czy po drodze nie dzieje się coś dziwnego,

na przykład czy szef nie jest śledzony. Na szczęście jego obawy okazały się na wyrost. Nic się nie wydarzyło. Po prostu urzędnik wysokiego szczebla był odwożony do domu przez kierowcę.

Życie.

Jechał za volkswagenem kilka samochodów dalej, co jakiś czas dojeżdżając do krawędzi pasa albo krawężnika, żeby się upewnić, że go nie zgubił. Przebijali się przez późnopołudniowe korki, kierując się mniej więcej na południe. W pewnym momencie musiał przejechać jakieś skrzyżowanie na pomarańczowym i przez chwilę bał się, że sytuacja się powtórzy, tylko że to nie będzie już pomarańczowe, a czerwone, albo że przydybie go drogówka.

Okolo czterdziestu minut później arteon zwolnił i zatrzymał się przed jakąś kamienicą. Vogel zauważył, że są na ulicy Wapiennej, choć nic mu to nie mówiło: nie wiedział nawet, w której części Wrocławia się znajdują. Jaskólski wysiadł i chwilę później zniknął za drzwiami wejściowymi do budynku. Vogel poczekał, aż arteon odjedzie, na wypadek gdyby okazało się, że to tylko przystanek po drodze. Po pięciu minutach Jaskólski znów pojawił się na ulicy, tym razem nie sam. Miał ze sobą psa, wyżła węgierskiego. Pospacerował z nim dosłownie chwilę, żeby pies zdążył się załatwić, i wrócił do domu, a Vogel domyślał się, że wieczorem będzie musiał wyjść z nim znowu. Postanowił więc poczekać.

Znalazł w internecie jakąś pizzerię z dowozem, zamówił sobie capriciosę i colę. Czekając na dostawę, poczuł, że ma pełny pęcherz, więc wysikał się za kępą krzaków rosnących tuż przy elewacji bloku po drugiej stronie ulicy. Kiedy pizza dojechała, zjadł ją żarłocznie, a potem siedział w samochodzie, nudząc się jak mops. Poszperał w internecie, zadzwonił do Iwony, opowiedział jej, co wydarzyło się do tej pory, pogadał z nią chwilę o jakichś pierdołach, a potem znów zastygł w oczekiwaniu na pojawienie się Jaskólskiego.

Okolo dwudziestej drugiej, kiedy było już prawie ciemno, Jaskólski ponownie wyszedł z psem. Vogel, który już prawie przysypiał, otrząsnął

się, przetarł oczy i obserwował go uważnie. Pułkownik przystanął w pewnej chwili, a pies przykucnął, więc otworzył drzwi i wysiadł, czując mrowienie w zdrętwiałych nogach. Zamknął drzwi auta i ruszył w kierunku tamtego. Kiedy znalazł się przy Jaskólskim, ten właśnie kucał na chodniku i zbierał psią kupę do woreczka.

- Dzień dobry, panie pułkowniku - powiedział do niego.

Pies szarpnął się zaskoczony i podkuilił ogon.

- Spokojnie, Baster. - Jaskólski wstał, zawiązał woreczek i spojrzął na Vogla. - Znamy się?

- Nie. Ale mamy wspólnych znajomych.

- Nie sądzę. To chyba pomyłka.

- A jednak. Misza, mówi to panu coś?

- Niestety, nie. - Wyraz twarzy i oczu Jaskólskiego świadczył, że nie udaje: on naprawdę nie wiedział, o kim Vogel mówi. - Czyli miałem rację, że to pomyłka. Do widzenia. Baster, chodź. - Pociągnął psa.

- To może inaczej: Mirosław Jacoń.

Jaskólski zbladł nagle, widać to było wyraźnie nawet mimo słabego oświetlenia. Teraz też nie udawał.

- Misza i Jacoń to ta sama osoba - wyjaśnił mu na wszelki wypadek Vogel.

- Kim jesteś? - wychrypiął Jaskólski.

- Heinrich Vogel, mówi ci to coś?

- Nie.

- Kiedyś nazywałem się Henryk Ptasznik. Zenon Ptasznik to mój ojciec. On i twój ojciec chyba się kiedyś dobrze znali, prawda? Wiem, że polowali razem.

Teraz trafił w dziesiątkę i widział to wyraźnie po twarzy tamtego. Stężała w dziwnym grymasie.

- Czego chcesz? - zapytał Jaskólski.

- Porozmawiać.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

– Naprawdę? Mam od razu dzwonić do ministra koordynatora? On na pewno będzie chciał ze mną pogadać.

Jaskólski jedną ręką miętosił smycz psa, drugą ścisnął skraj woreczka z jego odchodami. Oddychał głośno przez nos, w końcu przełożył smycz do drugiej ręki, potarł go i rozejrzał się na boki.

– Nie tutaj.

– Pewnie, że nie. – Wzruszył spokojnie ramionami. – Wolałbym jednak w czterech ścianach.

– Mam na myśli, że nie u mnie mieszkaniu. Żona i dzieci są w domu.

– Wskazał kamienicę, na jedno z okien, które wyróżniało się fioletową poświatą ledowej taśmy przyklepionej wzdłuż węgarzków od wewnątrz: pewnie pokój dzieciaków. – Przejedźmy się gdzieś.

Vogel roześmiał się krótko.

– Nie ma mowy o przejażdżce. Możemy się ewentualnie przejść, ale tylko ulicą, do jakiejś kawiarni albo restauracji. Samochód jest wykluczony.

– Muszę najpierw zaprowadzić psa.

– Zaprowadź. Czekam. Ale czekam niedługo. Jeśli nie zjawisz się w ciągu dziesięciu minut, jadę prosto do Warszawy. I nie dzwoń w międzyczasie do Miszy ani do nikogo innego, to ci nie pomoże, tylko zaszkodzi. Zabezpieczyłem się odpowiednio. Nie jestem jedyną osobą, która wie.

– O czym wie?

– Potraktuj mnie poważnie, te głupie pytania nic ci nie dadzą. I to ja zamierzam zadawać pytania.

Jaskólski przypatrywał mu się dłuższą chwilę.

– Nie wiesz, w co grasz – stwierdził w końcu.

– Otóż wiem. I miałem dobrych nauczycieli. Znasz obu, o obu przed chwilą rozmawialiśmy. Oni nauczyli mnie zasad tej gry. Dziesięć minut. Sekunda spóźnienia i już mnie tu nie ma.

Patrzył, jak Jaskólski odwraca się, lekko ciągnie psa za sobą, a potem otwiera drzwi do klatki schodowej i znika za nimi razem ze swoim Basterem. Wrócił sam osiem minut później, ze sportową torbą zwisającą mu na ramieniu. Stał przed Voglem, rozpiął torbę, wyjął coś z niej i pokazał mu.

- Co to jest? - zapytał Vogel.

- Moje kąpielówki i ręcznik. Powinieneś się zmieścić, jesteśmy podobnej budowy. Niedaleko jest basen. Chodzę tam często.

- Żartujesz sobie?

- Nie. Chcę wiedzieć, że jesteś czysty - mruknął Jaskólski i schował rzeczy do torby.

Vogel wiedział, że nie o higienę mu chodzi. Tamten ruszył pierwszy i szli obok siebie w milczeniu szybkim krokiem jakieś dziesięć minut. Okolica była jednym wielkim blokowiskiem, które miało formę albo zwartych kwartałów, albo rozsypanych teoretycznie według jakiegoś klucza długich klatkowców. Przeszli przez duży plac i parking i wkrótce dotarli do budynku, który wyglądał na szkołę. I faktycznie nią był.

- Tu chodzą moje dzieciaki - wyjaśnił Jaskólski, poprawiając torbę na ramieniu. - Mam układ z dyrektorką i woźnym: po dwudziestej drugiej, kiedy już tam nikogo nie ma, mogę wpaść i w spokoju popływać.

Stanęli przed drzwiami szkoły, w środku było niemal całkiem ciemno. Jaskólski zbliżył twarz do przeszklonych drzwi, przycisnął do szyby dłoń i zerknął do wewnątrz, a potem odsunął się i energicznie w nie zapukał. W środku zapaliło się światło, a po chwili uchyliły się drzwi jakiegoś pomieszczenia i zza nich wyszedł człowiek. Doczłapał do wyjścia, znalazł w pęku, który trzymał w dłoni, właściwy klucz, włożył go do zamka, drugą ręką łapiąc za uchwyt i po chwili drzwi stały otworem.

- Ooo, kogo ja widzę! - Pomarszczona twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej od szerokiego, szczerego uśmiechu. - Uszanowanie, panie Darczku.

- Dobry, panie Jacku. Co słytać?

- Aaa, bez zmian. A u pana?

- W porządku. - Wąty uśmiech rozjaśnił na moment spięą twarz Jaskólskiego. - Popływam dziś z kolegą, dobra?

- Jasna sprawa. - Woźny uklonił się, zerknął jeszcze na Vogla i zniknął w swojej kanciapie.

Przeszli do przebieralni. Jaskólski zdejmował ubranie, nie patrząc na niego, ze wzrokiem wbitym w pokrywające ścianę płytki glazury, a on w milczeniu robił to samo. Kiedy byli już gotowi, Jaskólski wyszedł z szatni pierwszy. Po chwili znaleźli się w hali pływalni. Sufit z prostych kratownic wykończony był od spodu falistą blachą i przez chwilę Vogel poczuł się jak w jakimś magazynie. Atmosferę poprawiało wyłączone oświetlenie główne i wbudowane w ścianki niecki basenu reflektory, które opalizowały błękitną poświata, rozlewającą się w idealnie gładkiej wodzie. Jaskólski podszedł do drabinki i odwrócił się.

- Daj mi dziesięć minut, muszę ochłonać - powiedział cicho.

Patrzył, jak powoli schodzi przodem po drabince i rzuca się do wody, rozgarniając ją, a potem płynie kraulem, naprzemiennie unosząc ramiona i siekąc nimi taflę z jakąś dziką zajadłością. Kiedy jedno zniknęło pod wodą, natychmiast pojawiało się drugie, nogi kopały wodę wściekle jak w drgawkach, zostawiając za Jaskólskim spieniony kilwater, zupełnie jak za „Worśą”, kiedy Vogel wypływał nią na rozlewiska czy zalew. On też wskoczył do basenu, ale płynął spokojnie, oddychając miarowo i pracując kończynami bez zbędnego wysiłku. Przepłynął tak tor kilkanaście razy, wreszcie podpłynął do krawędzi i chwycił ją, a potem oparł się ramionami. Jaskólski już czekał, więc otarł twarz z wody. Wyszli na brzeg i tamten zaczął się wycierać.

- Możemy już pogadać o filmie? - zaproponował Vogel.

Jaskólski opuścił ręcznik.

- Widziałeś go? - zapytał.

Nie odpowiedział, tylko sięgnął do leżącego obok słupka ręcznika, który dał mu Jaskólski i na którym leżał jego telefon. Otrzepał rękę

z wody, uaktywnił go, wszedł w folder z albumami zdjęć i wybrał jedno, pokazując je Jaskólskiemu. Ten, z ręcznikiem przyciśniętym do klatki piersiowej, długo wpatrywał się w niewyraźny kadr, zagryzając usta.

– A więc jednak istnieje... – Pokiwał głową.

– Tak. Jest na nim wszystko.

Vogel odłożył ostrożnie telefon, sięgnął po swój ręcznik i też zaczął się wycierać, zaczynając od włosów.

– Nie wiedziałem, jak on to zrobi – powiedział nagle Jaskólski, rzucając swój ręcznik na posadzkę. – Nie było mowy o ryzyku, że ktoś przy tym zginie. Miał tylko odzyskać film.

Słyszając to, Vogel zastygł w bezruchu z twarzą zakrytą frotowym materiałem. Ściągnął go z niej powoli i spojrział na Jaskólskiego.

– Słucham? – wyszeptał.

– Mówię, że miał tylko odzyskać dla mnie film.

Vogel milczał, myśląc gorączkowo. To było jak zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zdał sobie w tym momencie sprawę, że musi to rozegrać kompletnie inaczej, niż planował. Zadawanie pytań, jakie sobie przygotował, nie miało sensu. Czy wie pan, kto przysłał Jaconia i jacy ludzie za tym stoją? Kto pana szantażuje? Czego żądają za nieujawnienie filmu? Nie było żadnych innych ludzi, był tylko Misza i Jaskólski. I to nie był klasyczny szantaż. To było zlecenie. Jaskólski z jakichś powodów zlecił Miszy odnalezienie filmu. I teraz wiedział, dlaczego był to akurat Misza, czemu tak się dziwił podczas pierwszego z nim spotkania. Misza twierdził, że został wynajęty dlatego, że jest dobry. Powód był zupełnie inny. Został wynajęty dlatego, że wiedział, co stało się w lesie koło Mironic i brał w tym udział. W przypadku kogoś spoza tego kręgu Jaskólski mógł bać się, że gdy ta osoba dotrze do prawdy, przyjdzie jej do głowy coś głupiego. Na przykład właśnie szantaż. I Vogel zaczął wyrzucać sobie głupie gadki spod domu Jaskólskiego. Zamiast przejść do rzeczy od razu i powiedzieć, że wie, że Misza go szantażuje, bawił się w głupawę „to ja tu zadaję pytania”.

Gdyby dowiedział się tego tam, na ulicy, łatwiej by mu było ukryć zaskoczenie.

Vogel znów zaczął wycierać twarz, żeby zyskać na czasie i zebrać myśli. Nie mógł dać po sobie poznać, że jest zdziwiony.

- I co, chcesz mi powiedzieć, że dalej nie wiesz, jak to robił? - zapytał w końcu Jaskólskiego. - Ile osób straciło przy tym życie? Mój ojciec, chirurg plastyk, były bezpieczniak ze Stasi...

- To ofiary teatryku, jaki urządził Ptasznik.

- Ale jego asystentka i Noack już nie. To twoje ofiary. Twojego psa gończego, którego wypuściłeś.

- Nie wiedziałem, że tak to załatwi, nie rozumiesz? Miałem niczego nie wiedzieć, sam tak powiedział: im mniej wiesz, tym lepiej. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że kogoś skrzywdzi, co najwyżej postraszy trochę Ptasznika. Miał po prostu odzyskać film, a cena nie grała roli. Ale finansowa cena, o tym mówię.

Trochę mu wierzył. Misza nie podał mu jego nazwiska, a to mogło przemawiać na korzyść Jaskólskiego, a właściwie świadczyć o jego prawdomówności w tej kwestii. Ale to nie zmieniało faktu, że wszystko poszło koszmarnie źle, a Jaskólski w jakiś sposób był za to odpowiedzialny. Jeśli bawisz się ogniem, musisz się liczyć z tym, że się oparzysz.

- Po co to wszystko? - zapytał Jaskólskiego. - Dlaczego dopiero teraz?

- Nie wiem. Po prostu przyszedł do mnie, kiedy jeszcze żył ojciec.

Kolejny zwrot, jak w rollercoasterze. Vogel nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, zaczął nawet wątpić w swoją inteligencję. A na pewno w zdolność wyciągania właściwych wniosków. Tajemnicza grupa znów pojawiła się na horyzoncie, tak samo niespodziewanie, jak przed chwilą zniknęła. O co tu, do cholery, chodziło?

- Zaraz, to jednak on przyszedł do ciebie? - zapytał, nie dbając już o ukrycie zaskoczenia. - To nie ty go odszukałeś, żeby znaleźć film?

Jaskólski spojrzał na niego wielkimi oczami.



- Ja? Zwariowałeś?

- Pogubiłem się już - przyznał Vogel, bo nie miał chyba innego wyjścia. - Szantażował cię w końcu czy nie? I on, czy przyszedł w czyimś imieniu?

- Myślisz, że to takie proste?

- Wręcz przeciwnie, panie pułkowniku. Tu nic, kurwa, nie jest proste!

Jaskólski zapatrzył się w płytki, tym razem w te pod swoimi bosymi stopami.

- Gdyby się u mnie nie pojawił, nie byłoby cię tu - mruknął. - Wszyscy siedzielibyśmy na tyłkach w swoich domach i nawet nie wiedzieli o swoim istnieniu. On też zaczepił mnie tak jak ty: niespodziewanie...

# CHŁOPIEC I MĘŻCZYZNA (WCZEŚNIEJ)

Pułkownik ABW Dariusz Jaskólski wychodził właśnie ze szpitala Wielkopolskiego Centrum Onkologii w Poznaniu. Przeszedł zamyślony przez przeszklone drzwi i dlatego nie zwrócił uwagi na stojącego nieopodal mężczyznę w szarym płaszczu, który tamten miał na sobie mimo dość wysokiej temperatury. Kiedy ten podszedł, Jaskólski stanął zaskoczony, wciąż zatopiony we własnych myślach.

- Jak tam tata? - zapytał mężczyzna niespodziewanie.

- O co panu chodzi? - Jaskólski zamrugał, wracając do rzeczywistości.

- Pytam, jak się czuje Zbyszek.

- Kim pan jest?

- Wybawcą.

- Bardzo zabawne. Pan chyba nie wie, kim ja jestem.

- Wiem. Wiem, kim jesteś, i wiem, kim byłeś. W dziewięćdziesiątym czwartym. - Misza zerknął w dół, na rękę Jaskólskiego, i podrapał się od niechcenia w skroń, w miejsce, w którym był naczytniak. - Nie masz oporów przed dotykaniem broni?

Kiedy wrócił spojrzeniem do jego twarzy, zobaczył, że poszarzała.

- Pan Mirek...

- Po prostu Mirek.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać.

- O czym?

- Jak to o czym?

Jaskólski obejrzał się bezradnie do tyłu, na przeszklone wejście do budynku, z którego właśnie wyszedł.

- Tata umiera na raka - powiedział cicho.

- Żadna różnica. W takim razie chcę porozmawiać z tobą.

- Żadna różnica? Ty s...

- Ręce przy sobie. - Misza cofnął się o krok i uchylił połę płaszcza, zza której mignął ciemny metal.

Jaskólski opuścił ramiona.

- Masz przesrane - wysyczał.

- Nie, ja nie. I mówiłem: jestem wybawcą, nie wrogiem. Powstrzymaj emocje, teraz nie pora na to. - Misza zapiął płaszcz i poprawił kołnierz. - To co, porozmawiamy? Nawet tutaj. - Rozejrzył się. - Albo lepiej w twoim samochodzie.

Jaskólski bez słowa ruszył energicznie w lewo, Misza zrobił to samo, idąc o dwa kroki za nim. Patrzył na zgarbione plecy Jaskólskiego i jego palce, które zaciskały się rytmicznie i prostowały, jakby je rozgrzewał. Podeszli do zaparkowanego na ulicy citroena, Jaskólski wyjął pilota i odblokował drzwi. Wsiadł pierwszy. Kiedy Misza usadził się obok na siedzeniu pasażera, Jaskólski opuścił szybę i wyciągnął z pudełka papierosa. Zapalił go, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym z płuc, kierując głowę w stronę okna. Misza czekał w milczeniu.

- Słucham - warknął w końcu Jaskólski z ręką zwisającą na zewnątrz, a słowa z ledwością przecisnęły się przez zaciśnięte usta i zęby.

- Nie pamiętasz mnie, ale ja pamiętam ciebie, Darek.

- Wolałbym zachować formę grzecznościową.

- Bardzo proszę, panie pułkowniku. Tak lepiej?

- Czego pan chce? - Jaskólski nie patrzył na niego, tylko w przednią szybę.

Miszy to nie przeszkadzało.

- Wraca sprawa sprzed lat - powiedział spokojnie.

- Nie ma żadnej sprawy - odparł Jaskólski, akcentując przerwę między ostatnimi słowami.

- Pan by tak chciał i pana ojciec też, ale obawiam się, że nie wszystkie życzenia się spełniają.

- Wiedzą o tym tylko cztery osoby i żadnej z nich nie zależy, żeby ona wróciła. Więc nie pierdol, człowieku.

- A może komuś zaczęło zależeć? - zapytał Misza, patrząc, jak Jaskólski zaciąga się łąpczywie dymem.

- Konkrety. Nie mam czasu, muszę wracać do domu.

- Wie pan, kim jest teraz Zenon Ptasznik? Co robi?

- Słyszałem. Bez szczegółów, ale słyszałem.

- Myślę, że jest tylko kwestią czasu, panie pułkowniku, aż usłyszysz pan o tym więcej. Ostatnio zaczął się nieładnie bawić. Wykorzystał wojnę w Ukrainie, pośredniczy w handlu bronią na dużą skalę. Nie mówię o tej legalnej działalności. Mówię o kontaktach z ruskimi onucami.

Jaskólski zdumiony obrócił głowę w stronę Miszy.

- Skąd pan niby o tym wie?

- Ptaszki ćwierkają. Takie, co kiedyś służyły w jednej formacji.

- Nic na nas nie ma. Poza tym, sam straciłby wszystko.

- On tylko filmował.

Jaskólski roześmiał się. Widać było, że poczuł się pewniej. Znów zaciągnął się papierosem, tym razem spokojniej.

- Ma pan na myśli tę kasetę? - zapytał, wydmuchując dym w stronę otwartego okna.

- Dokładnie.

Pułkownik pokręcił z rozbawieniem głową.

- Ptasznik nie tylko filmował, ale również ukrył fakt wypadku, w którym życie stracił człowiek, to po pierwsze. Za to też się odpowiada karnie. A po drugie... On ją zniszczył. Wyciągnął taśmę i spalił ją. Przy nas. Niewiele pamiętam z tamtego dnia...

- Wyparcie.

- Niewiele pamiętam, ale to, jak wyciągał z obudowy taśmę i jak paliła się na śniegu, akurat tak. Mój ojciec kazał mu to zrobić.

Misza prychnął.

- Mógł sobie, kurwa, kazać. Ptasznik niczego nie zniszczył. Miał w pokrowcu drugą kasetę, pustą, zapasową i tę spalił. Przełożył je, widziałem to kątem oka, wy nie. Już wtedy wiedział, że zrobi na tym kiedyś interes. W końcu ABW zainteresuje się nim, więc pewnie wykorzystają film, żeby pan sprawił, żebyście przestali się interesować.

- Jak miałbym niby to sprawić?

- Nie wie pan, co ludzie robią z desperacji? Głupoty. On przyjdzie w końcu z tym filmem. A pan, albo się zgodzi i to w końcu wypłynie, bo takie afery zawsze wypływają, albo nie, a on ujawni film. Obie opcje są niezbyt korzystne dla pana. To będzie pana koniec.

- A jeśli tego filmu nie ma? Zgubił go, przypadkiem się zniszczył?

- Sprawdzę to, ale jestem pewien na sto procent, że ta kaseta wciąż istnieje. I zrobię to nie tylko dla pana i dla Zbyszka, ale również dla siebie. W takich przypadkach łatwo oberwać rykoszetem, czy raczej odłamkiem, a tego bym nie chciał. Można powiedzieć, że jedziemy na jednym wózku, tylko ja mam mniej do stracenia. I jestem panu potrzebny, bo pan nie może zrobić niczego, co powiązałoby pana z nim. A ja mogę. I potrafię.

- To była pomyłka. Zwykła pomyłka. Byłem nieletni. Byłem chłopakiem. Dzieckiem, rozumie pan? - Jaskólski pokręcił głową i cisnął niedopałkiem o chodnik.

- Jasne, wszystko się zgadza. Ale naprawdę myśli pan, że po czymś takim zostanie pan na stołku? Osiągnie coś więcej? W agencji, w polityce? To pana zniszczy jako funkcjonariusza i jako przyszłego polityka, bo wiem, że ma pan ambitne plany. Nawet pan nie zdąży zacząć swojej kariery.

Jaskólski oparł ręce na kole kierownicy, zacisnął na nim palce i wyprostował ramiona, wciskając ciało w oparcie fotela.

– Mam interes po ojcu, mógłbym spokojnie z tego żyć, rozwijać go. Albo nawet sprzedać i utrzymywać się z samych odsetek z konta.

– Nie. Pan to lubi. To, co pan teraz robi i co pan planuje robić w przyszłości, panie pułkowniku, jest sensem pańskiego życia, przecież to wie każdy, kto pana choć trochę pozna. To, a nie kombajny, silosy ze zbożem, krowy i smród ich gówna snujący się po polach. A z takim piętnem nie będzie mógł pan tego robić. Wyleci pan z ABW, pańskie dzieci będą wytykane palcami. Już nie mówię o pańskim ojcu.

Jaskólski spojrział na Miszę.

– Muszę z nim pogadać. Ile to będzie kosztować?

– Milion.

– Ile?

– To chyba nie jest dużo dla pańskiego ojca? Wie pan, ile kosztuje teraz metr kwadratowy mieszkania? Nawet kostka masła?

Jaskólski zabębnił palcami po kierownicy.

– Nie odpowiem teraz – stwierdził po chwili.

– Oczywiście, rozumiem. Ale czasu jest niewiele. Zdaje się, że Ptasznikowi grunt pali się pod stopami. A w takich sytuacjach łatwo o nerwowe ruchy.

– Czasu jest niewiele, ale dlatego, że on umiera.

– Na co konkretnie? – Pytanie zadane było beznamiętnym tonem.

– Rak płuc. Zostało mu niewiele życia.

– To tym bardziej. Widzimy się jutro.

– Jutro nie. Mogę przyjechać do Poznania dopiero w następny weekend.

– Są telefony, panie pułkowniku. Niech pan potraktuje to poważnie.

Jaskólski zamilkł. Wciąż wpatrzony w przednią szybę, przesuwając językiem po wewnętrznej stronie policzka, wypychając go.

– Co się z nią stało? – zapytał nagle.

– Mówi pan o tamtej kobiecie?

– Oczywiście, kurwa, a niby o kim?

- A jak pan myśli?
- Została tam? - Jaskólski potarł nos.
- Tak. Zakopaliśmy ją.
- Był mróz...

- Owszem. Siedzieliśmy tam z Ptasznikiem do zmroku. Miałem pęcherze na rękach. Nie jest łatwo saperką kuć zmrożoną do niemal pół metra ziemię. A musieliśmy wykopać półtorametrowy dół, inaczej wyciągnęłaby ją zwierzyna.

- Dobrze, omówiliśmy już wszystko. Jutro zadzwonię do ojca.

- Tu jest mój numer telefonu. - Misza położył na desce rozdzielczej jakiś świstek z zapisanymi na nim cyframi. - Czekam.

Wysiadł z samochodu, ale zanim zamknął drzwi, pochylił się jeszcze z ręką opartą o ich górną krawędź i włożył głowę do środka.

- Aha, panie pułkowniku...
- Czego? - Jaskólski z niechęcią oderwał wzrok od szyby.
- Czasem trzeba umieć uczyć się na błędach innych.
- Nie rozumiem.

Misza wskazał oczami pudełko papierosów leżące między siedzeniami.

- Chce pan skończyć jak ojciec?

Jaskólski zerknął w to miejsce. Jego żuchwa lekko drgnęła.

- Jeszcze jakieś dobre rady? - zapytał. - Jak nie, to do widzenia.

Misza wyprostował się.

- Pogadaj z ojcem, Darek - rzucił beznamiętnie. - Czekam na odzew.

## WYJŚCIE HONOROWE

- Próbowałem mu, a właściwie sobie jakoś pomagać – kontynuował Jaskólski, już w szatni, gdzie i on, i Vogel zaczęli się ubierać. – Przejęliśmy śledztwo od CBŚP, żebym mógł mieć nad tym jakąś kontrolę. Nie łączyłem śmierci tej asystentki z Jacońiem, brałem raczej pod uwagę, że to Ptasznik pali za sobą mosty, bo odkrył, że to ona zawiadomiła CBŚP.

Vogel pokręcił przecząco głową. Wiedział już, że to nie Matysiak była sygnalistką.

- Zginęła już po katastrofie śmigłowca – powiedział, akcentując przyimek.

- To też mogło świadczyć o tym, że twój ojciec żyje, tak przynajmniej sądziłem. Jacoń się ze mną w tej kwestii zgadzał.

- To on ją zabił i podrzucił koło mojej łodzi.

- Nie wiedziałem o tym! – Jaskólski prawie krzyknął, w jego głosie była jakaś rozpacz. – Wszystko, co robiłem w dorosłym życiu, miało być zadośćuczynieniem – powiedział już ciszej. – W dodatku za nie swoją winę. Ale to ja oddałem strzał, mimo wszystko. Służyłem temu krajowi najlepiej, jak potrafiłem, często kosztem siebie i rodziny. Poświęciłem służbie niemal wszystko: mogłem szykować się do przejęcia interesu po ojcu i żyć jak pączek w maśle. Ale nie, wybrałem inaczej, również, a może właśnie przede wszystkim ze względu na to, co się wtedy stało. A teraz... Teraz będzie koniec... – Założył bluzę z kapturem, strząsnął go sobie z głowy, gwałtownie odrzucając ją do tyłu, a potem spojrzął na Vogla, pytając: – Co dalej?

- Nie wiem. Ja chciałem... Ja zostałem zmuszony do dotarcia do prawdy i dotarłem do niej. Co zrobisz ty, nie wiem. Nie mogę ci niczego



doradzić.

– Da się to utrzymać w tajemnicy?

– Nie pytaj mnie o to.

– Pytam, co zamierzasz.

– Nie wiem. – Spojrzał na Jaskólskiego. – Jesteśmy trochę podobni. Synowie majątnych ludzi, opływający w dostatek, którzy wpadli w szambo nie ze swojej winy. Dobrze wiem, jak to jest zostać ukaranym za coś, czego się nie chciało zrobić. Ale nie da się porównać tych sytuacji: mojej i twojej. Ja naprawdę byłem niewinny, nie przekroczyłem granic obrony koniecznej, jak uważał sąd. Odsiedziałem pięć lat. Ty też jesteś niewinny, ale nie można tego tak zostawić. Po prostu nie można. Ten skurwysyn też musi za to zapłacić.

Nagle Vogel przypomniał sobie kłamstwo, jakie sprzedał pani Bachmann w Dreźnie: to o umierającym na raka ojcu. Przypomniał je sobie w kontekście podobieństwa do Jaskólskiego, o którym wspomniał przed chwilą. W niezamierzony sposób zbliżył się do niego jeszcze bardziej, a przynajmniej tak to odczuwał.

Jaskólski podniósł głowę do góry i zapatrzył się w sufit szatni.

– Kochałem swojego ojca – powiedział. – Kocham go dalej, mimo że nie żyje. Wychował mnie na porządnego człowieka. Myślę, że wszystko, co robił dla mnie, robił po to, żeby mi wynagrodzić to, co się stało w tym lesie.

– Albo zagłuszyć poczucie winy.

– Możliwe, już go o to nie zapytam. Zawsze był mi bliski, a tamto... To był głupi wypadek. Nic już by nie wróciło życia tamtej kobiecie, za to mogło zniszczyć kilka innych.

– Jak widzisz, ukrycie prawdy w niczym nie pomogło. Wszystko tylko odwlekło się w czasie. Wtedy dostaliby za to kilka lat odsiadki, może nawet jakoś się wywinęli zawiasami, a teraz? Wszyscy przegraliście wszystko. Nasi ojcowie przynajmniej dochrapali się czegoś w życiu, odnieśli sukces, opływali w dostatek, no i zmarli w dość późnym wieku. Wyłgali się. Użyli życia, ale spierdolili nam nasze. Mój dlatego, że był

skurwysynem, a twój, bo nie chciał ponieść konsekwencji tego, co zrobił. Teraz w jakiś sposób poniesiesz je ty. Nie wiem w jaki, nie znam się na prawie, podejrzewam, że to będzie bardzo niejednoznaczna i skomplikowana sprawa. Ale już nie moja.

Jaskólski usiadł na ławce pod ścianą i oparł łokcie o kolana, a głowę o dłoń.

– Miałem tylko dwanaście lat, rozumiesz? – jęknął.

– Rozumiem.

– Gdyby twój ojciec tego nie nagrywał... Albo gdyby chociaż rzeczywiście spalił tę taśmę, jak prosił go mój...

– Gdyby... – Vogel parsknął. – Gdyby byli ostrożniejsi, gdyby nie chlali, gdyby nie wzięli dziecka na polowanie... Możemy tak się cofać i cofać, aż do dni ich narodzenia. Nie ma czegoś takiego jak „gdyby”, panie pułkowniku Jaskólski. Jest „stało się i się, kurwa, nie odstanie”. Nie twierdzę, że jesteś winny zabójstwa tej kobiety. Byłeś nieletni i sterowany przez dorosłych. Ale jesteś współwinny tego, co stało się teraz.

– Wszystko przez tego skurwiela... Gdyby nie on... – Odetchnął głęboko i zerknął na Vogla. – Znowu to gdyby, co?

– Znowu...

– Zrobiłem to dla ojca. Mówię o tym, że się na wszystko zgodziłem; na ten pieprzony układ. Umierał już i chciałem, żeby odszedł w spokoju. Żeby umarł, wiedząc, że to we mnie nie uderzy. Gdyby Jacon przyszedł już po jego śmierci...

– Ale przyszedł wcześniej.

– Zgadza się. Mogłem ojcu nie mówić i kazać Jaconiowi spierdalać, ale on wtedy poszedłby prosto do niego. Woląłem sam to pilotować. Powiedziałem ojcu o jego wizycie. Kazał mi się zgodzić, żeby odnalazł ten przeklęty film...

– Nikt nie miał pewności, że on istnieje. Misza mógł się mylić. Był pijany i mogło mu się tylko wydawać, że mój ojciec pali inną taśmę, choć w to wierzył. Inaczej nie zmontowałyby całej akcji.

– Oczywiście. Ale ty na naszym miejscu podjąłbyś to ryzyko? To nie totolotek, kiedy godzisz się na stratę kilku złotych, mając jakąś tam szansę na wielką wygraną. My mogliśmy stracić wszystko.

– Twój ojciec umierał... Co mógł stracić?

– A dobre imię? Dla niego to było równie istotne. Nie zrozumiesz tego, bo jak sam wspomniałeś, z twoim ojcem nie łączyło cię nic.

Vogel milczał, choć różne słowa cisnęły mu się na usta.

– Ja straciłbym stanowisko – kontynuował Jaskólski. – Wiem, jak to brzmi, ale naprawdę uważam, że robię dużo dobrego dla tego kraju, zwłaszcza teraz. Wiem, co niektórzy o mnie mówią: że podlizuję się każdej aktualnej władzy i dlatego w wieku czterdziestu lat dochrapałem się stopnia i stanowiska. A to nie tak. Pracuję w instytucji, która bywa narzędziem w rękach tej czy innej władzy, i z tym nie ma co dyskutować. Ale ja nie jestem chorągiewką: ja pracuję dla dobra państwa, a nie dla paru rozpolitykowanych abnegatów, którzy pojęcia nie mają, z czym to się je. To nie bliskowschodni emigranci są naszym problemem, tylko Ruscy i Chińczycy, którzy wyciągają macki w naszą stronę, a oni to bagatelizują, szukając wymaginowanych wrogów tu, wśród swoich. Mam dużo pomysłów, kiedyś, kiedy wejdę jeszcze wyżej, wcielę je w życie. Taki przynajmniej miałem plan.

Vogel, już całkowicie ubrany, patrzył na złamanego człowieka, siedzącego na dziecięcej ławeczce z smętnie zwieszoną głową. Jeszcze jedna ofiara polowania. Nagle cofnął się i bez słowa wyszedł z szatni, zostawiając Jaskólskiego samego. Przez chwilę błędził, szukając drogi do wyjścia i czekając na jakieś słowa, które dobiegną go z tyłu, ale żadne nie padły. W korytarzu niesło się tylko echo jego własnych kroków.

– A pan Darek gdzie? – zaczął go woźny, kiedy dotarł do drzwi wyjściowych.

– Suszy jeszcze włosy – rzucił, nie patrząc na niego. – Dobranoc.

Wyszedł przed budynek pływalni i odetchnął głęboko nocnym powietrzem, a potem rzucił się biegiem w stronę, z której przyszedł. Chciał jak najszybciej dotrzeć do auta i wracać do Szczecina. Bał się, że

Jaskólski go doścignie, a tego nie chciał. Wszystko zostało już powiedziane, nie było nic do dodania, poza tym sam miał cholerne poczucie winy. To nie była jego sprawa, ale czuł, jakby dotyczyła go w takim samym stopniu. Obaj byli w tym utopieni i licytowanie, kto siedzi głębiej, nie miało sensu. Było oczywiste, że Jaskólski, ale jego to niewiele pocieszało.

Cztery godziny później był w domu. Mimo wakacji, może przez to, że był środek tygodnia, trasa była niemal pusta. Na autostradzie było trochę aut i ciężarówek, ale na ekspresowej trójce przez te dwieście kilometrów minął ich dosłownie kilkanaście. Położył się od razu. Obudził się przed ósmą i napisał do Iwony. Oddzwoniła niemal natychmiast, była w drodze do pracy.

- Wróciłeś... - Odetchnęła z wyraźnie słyszalną w głosie ulgą.

- Tak. W nocy.

- I jak?

Opowiedział jej pokrótce. Słuchała w milczeniu, w tle słychać było szum samochodów.

- To Misza skonstruował całą intrygę, Iwona - podsumował. - Napuścił ich na siebie. Anonimowo zawiadomił was i ABW o podejrzanych interesach ojca, a potem poszedł do Jaskólskich, twierdząc, że Ptasznik zamierza grać filmem, by się chronić przed zainteresowaniem władz jego działalnością. Wkrótce Misza podjął próbę zamachu i podejrzewam, że nie chciał go zabić, a tylko uprawdopodobnić całą historię. Plan posypał się, kiedy ojciec zniknął, fignując własną śmierć w katastrofie, która została uznana za zamach. Wtedy Misza zajął się tą Matysiak, ale chyba nic z tego nie wyszło, bo przyszedł do mnie. Najpierw kazał mi odnaleźć ojca, a kiedy okazało się, że on naprawdę nie żyje, dopiero wtedy zaczął przebąkiwać o polowaniu i filmie. Tak jak mówiłem: był zdesperowany, bo nie miał już żadnego punktu zaczepienia. Musiał mieć ten film, bo potrzebował kasy. To był zwykły interes. Szantaż był w podtekście: wiedział, że Jaskólski tak będą to traktować, a on pewnie nawet nie miał zamiaru

ich szantażować. Wiedział, że mu zapłacą, ile chce, a on im po prostu odda film i wszyscy zapomną o sprawie.

- Co teraz? - zapytała, a on pomyślał, że wciąż ktoś zadaje mu to pytanie, jakby doskonale znał odpowiedź.

A odpowiedzi na takie pytanie nie było. Nie istniała.

- Co teraz? - powtórzył pytanie. - Teraz muszę się wyspać.

- Mogę przyjechać po południu?

- Masz wątpliwości? - Ciśnienie mu nieco spadło. - Oczywiście, że możesz.

Kiedy przyjechała po pracy, wiedział już, co robić, a przynajmniej tak mu się wydawało. Miał pół dnia, żeby się zastanowić i przemyśleć wszystko na chłodno.

Patrzył, jak Iwona ostrożnie wchodzi na łódź. Miała zmęczoną twarz i oczy.

- Chcę odpuścić - powiedział, kiedy usiedli w mesie, chroniąc się tam przed drobnym deszczem.

- W jakim sensie? - Była jak nieobecna duchem.

- Pojadę jeszcze raz do Jaskólskiego i powiem mu, że zniszczyłem film i wszystko zostaje między nami. Nie mam wpływu na Miszę i nie wiem, co robi, ale ja nie zamierzam niczego ujawniać.

- Heinrich...

- Podjąłem decyzję, Iwona. Jaskólski faktycznie jest najmniej winny, jest taką samą ofiarą, jak tamta kobieta z Mironic. Nie zasługuje na konsekwencje. Niech...

- Heinrich, posłuchaj mnie!

Było w jej głosie coś, co kazało mu przerwać słowotok.

- Co się stało? - zapytał, czując, że wydarzyło się coś złego.

- On nie żyje. Zastrzelili się dziś rano w swoim biurze.

Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy, a całe ciało robi się ciężkie jak z ołowiu. Ledwo utrzymał się na nogach. Chciał coś powiedzieć, ale

nie wiedział co. Myśli wywietrzały mu z głowy, czuł w niej tylko szum i pustkę.

– Miał żonę i dzieci... – wyszeptał zdrewniałymi wargami.

– To nie twoja wina, Heinrich. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Nawet nie waż się tak myśleć.

Wezbrała w nim wściekłość. Na samego siebie.

– Nie moja?! – krzyknął, strząsając jej dłoń szarpnięciem ramion. – Gdybym obiecał mu od razu, że zniszczę film, a nie pierdolił o konsekwencjach, to by się nie stało!

– Nie mogłeś tego wiedzieć.

– To mnie ma tłumaczyć?

Iwona milczała, a on wołał to niż jakiegokolwiek słowa pociechy. Gdyby zaczęła znów mówić, że to nie jego wina, zrobiłby coś głupiego.

– On był porządnym człowiekiem, wiesz? – szepnął. – Widziałem się z nim może godzinę, ale zrobił na mnie naprawdę dobre wrażenie. On rzeczywiście wierzył w swoją misję. Odpokutowywał to, co się stało, w jedyny możliwy sposób, tak jak umiał. I miał kochającego ojca. A zapłacił najwyższą cenę. Jak mam się z tym, kurwa, pogodzić, Iwona? No jak? – W jego oczach błysnęły łzy. – Przysięgam, zabiję go kiedyś. Skręcę mu kark. Wbiję mu nóż w bebechy po sam kręgosłup i będę mu patrzył w oczy, kiedy będzie zdychał. I będę się napawał tym widokiem.

– Nie mów tak. Wtedy też zapłacisz. I to też będzie wysoka cena.

Vogel jakby jej nie słuchał.

– Znów tu przyjdzie – powiedział nagle. – Powiedział, że musi się skonsultować i wróci. Albo dowie się o śmierci Jaskólskiego i też przylezie. A kiedy się zjawi, ja mu wszystko opowiem.

– Nie rób głupstw, proszę cię...

– Nie zabiję go, Iwona. – Spojrzał na nią z błyskiem w oczach. – To by było zbyt łatwe. Będzie żył do końca swoich dni ze świadomością, że mu nie wyszło. Tylko taka zemsta ma sens. Ma czuć kwaśny zapach tej mojej zemsty do końca swoich parszywych dni.

- Chcesz być wtedy sam? - zapytała cicho.

Zaskoczyła go trochę tym pytaniem.

- Tak - zdecydował nagle. - Nie chciałbym, żebyś tu była. Cokolwiek się wydarzy, to moja sprawa, Iwona. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- A myślisz, że ja chcę? Żeby coś stało się tobie?

- Nic mi nie może zrobić. Umiem się obronić.

Pokręciła głową, a lekkie rozbawienie widoczne na jej twarzy mieszało się z troską.

- Matysiak nie umiała - powiedziała krótko. - Noack też nie. Trudno się obronić przed pistoletem.

Zacisnął zęby, sięgnął pod koję i nagle w jego dłoni pojawiła się broń.

- Jezu... - Iwona lekko pobladła. - Cezetka? Skąd ją masz?

- Była razem z filmem w sejfie ojca u jego prawnika. Nie wziąłem jej wtedy ze sobą, tylko zostawiłem, ale zmieniłem zdanie i dziś po nią wróciłem. Nikt o niej nie wie. Misza też nie. To moja polisa ubezpieczeniowa.

- Strzelałeś kiedyś?

- Obejrzałem tutorial na YouTube. I poćwiczyłem na sucho.

- Na sucho, mówisz... - Iwona cmoknęła głośno.

- I nie tylko na sucho - przyznał po chwili. - Wypłynąłem na rozlewiska i wystrzeliłem kilka razy w powietrze. Już lepiej? - Spojrzał jej wyzywająco w oczy.

- Jesteś bardzo pewny siebie - stwierdziła.

- Owszem. Wreszcie. Chyba najwyższy czas.

- Noack też miał pistolet i to mu nie pomogło.

Spojrzał na Iwonę i zmrużył mściwie oczy.

- Bo on się niczego nie spodziewał - odparł mocnym i zdecydowanym głosem. - A ja spodziewam się już wszystkiego...

# SPOWIEDŹ

Czekał tylko półtora dnia. Rano skoczył na miasto załatwić jedną sprawę i na szczęście zdążył wrócić w samą porę: ledwo wciągnął skuter na pokład i schronił się w mesie, z zaciągniętego chmurami nieba lunęły strugi wody.

Miał jakieś dziwne przeczucie, że Misza przyjdzie dzisiaj. Leżąc w półmroku z kasetą pod ręką, słuchając szumu deszczu i dudnienia kropel o pokład, układał scenariusze rozmowy, jaka go czekała. Nagle usłyszał jakiś stuk. Poczul ledwo zauważalne kołysanie i napiął mięśnie. Zdążył podnieść się z koi, kiedy niezamknięte na zamek drzwi do mesy uchyliły się powoli i zobaczył w nich Miszę. Ten wszedł do środka tyłem, najpierw otrzepując z wody i składając parasol. Kiedy się obrócił, Vogel zobaczył jego bladą twarz. Materiał płaszcza znaczyły ciemne plamy wilgoci, nogawki spodni też były przesiąknięte wodą.

- Witaj, Pajączku. - Chrząknął i odstawił parasol pod ściankę. - Co za pojebana pogoda, no nie?

Vogel nie odezwał się, tylko patrzył na niego. Obraz nędzy i rozpaczy, taki widok przedstawiał sobą Misza, ale jemu nie było go wcale żal. Wolałby nawet, żeby z nieba lał się teraz kwas siarkowy, a nie woda. Nie wiedział, na co się szykował, ale był pewien jednej rzeczy: chciał załatwić to jak najszybciej.

- To koniec, Misza. Znalazłem film - powiedział tylko, unosząc rękę z kasetą i patrząc Miszy w twarz.

Nie zmieniła się. Oczywiście, mimo że były wbite w kasetę, też nie i Vogel poczuł lekkie ukłucie zawodu. Chciał poczuć satysfakcję, widząc niedowierzanie, szok, choćby lekkie zdziwienie. A tymczasem nie było na niej nic. Jak zwykle.



– Gdzie był? – Padło tylko krótkie pytanie.

Wzruszył ramionami.

– Czy to ważne? I czy teraz ma znaczenie, że mój ojciec faktycznie go nie spalił?

Teraz w oczach Miszy coś błysnęło. Nareszcie.

– Oglądałeś go... – stwierdził z westchnieniem.

– Zdziwiony? – Podniósł się całkiem z koi i usiadł normalnie. – Jakoś, kurwa, nie mogłem się oprzeć, wiesz? I w dodatku dotarłem do prawdy, Misza. Wiem, kim oprócz ciebie i mojego ojca byli ludzie na filmie. Zwłaszcza ten chłopak. Daleko zaszedł od tamtej pory, prawda?

– Sam do tego dotarłeś?

– Owszem. Jeśli masz na myśli Iwonę, to nie była mi do niczego potrzebna. Zdziwisz się, ale to wcale nie było trudne. Nie wymagało niczego poza pomyśleniem i posiedzeniem w internecie. Witaj w dwudziestym pierwszym wieku.

Misza tylko pokiwał głową.

– Nie doceniłem cię, naprawdę. Ani potęgi tego gówna. Jak szedłem do pudła, głupie wysłanie maila trwało dziesięć minut, jak nie zerwało połączenia. Zresztą, i tak nie wysyłałem maili, wystarczyły komórki, które wtedy były po prostu zwykłymi telefonami, a nie małymi komputerami, aparatami i chuj wie czym jeszcze.

– Ominęło cię trochę w pierdłu, co? – Vogel stwierdził to z satysfakcją.

Misza przebierał palcami obu rąk i był to jedyny widoczny ślad tego, co działo się w jego głowie.

– Masz coś wspólnego z tym, że Jaskółski strzelił sobie samobója? – zapytał po chwili.

Vogel milczał. Kosztowało go wiele zachowanie spokoju.

– Ja? Nie. Ale ty owszem.

– Rozmawiałeś z nim?

– A jak myślisz?

Usta Miszy wykrzywiły się lekko w wyrazie dezaprobaty.

- Można powiedzieć, że Jaskólski wybrał rozwiązanie honorowe - stwierdził.

Vogel prawie zerwał się z koi. Był gotów roznieść skurwysyna na strzępy.

- Co ty możesz wiedzieć o honorze... - Opanował się jakoś. - To kolejna osoba, którą zabiłeś, wiesz?

- To było chyba najlepsze możliwe rozwiązanie. Dla niego, bo przecież nie dla mnie. Jego rodzina ma zapewniony byt, poradzą sobie. Żoneczka za jakiś czas znajdzie sobie nowego chłopca, dzieciaki po paru miesiącach zaczną mówić do niego „tatusiu” i wszystko będzie git, zobaczysz.

- Ty gnoju...

- No już, już... Jak wrażenia z seansu? - zapytał Misza, wskazując wzrokiem kasetę.

- A takie, że to ty im pokazałeś dzika, który nie był dzikiem, tylko kobietą zbierającą chrust. Nazywała się Genowefa Stańczyk, gdybyś był tym zainteresowany, mieszkała w Mironicach.

- A oni oczu nie mieli? - Misza nie skomentował ostatniej informacji. - Poza tym byłem najebany, a gówniarz miał lunetę w sztucerze tatusia.

- Miał dwanaście lat, zero doświadczenia, a w lunecie zobaczył pewnie tylko ciemną, ruchomą plamę.

- Tatuś mógł sprawdzić, prawda? Od czego był? Nie, nie, nie, Pajączku. Nie zwalaj na mnie winy. Ja akurat byłem najmniej winny temu, co się wtedy stało.

- Ty tylko wiedziałeś, jak to wykorzystać w swoim czasie.

- Zgadza się. - Misza wyciągnął rękę i zażądał: - Daj mi to.

Vogel niedbale rzucił kasetę w jego stronę. Misza złapał ją niezgrabnie, obejrzał z satysfakcją i schował do kieszeni płaszcza.

Dopiero w tej chwili Vogel dostrzegł, że materiał na piersi Miszy jest dziwnie wypchany, jakby pod nim krył się jakiś podłużny przedmiot.

- Kto jeszcze go widział? - zapytał Misza.

- Nikt.

- Gdzie go oglądałeś?

- U kolegi - wycedził, patrząc Miszy w oczy. - Wyszedł wtedy do kuchni zrobić mi herbatę. W przeciwieństwie do ciebie nie lubię mieszać niewinnych ludzi w podejrzaną sprawę.

- Zrobiłeś kopię?

- Nie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nic, rozumiesz? Zrobiłem, co chciałeś, więc zabieraj to i spierdalaj.

Obaj chyba mieli świadomość, że pytania są bez sensu, a odpowiedzi oczywiste.

- Nie kłamiesz, Pajączku, wiedziałbym to - powiedział niespodziewanie Misza, budząc tym zdziwienie Vogla. - Twoje oczy są takie same jak wtedy, kiedy stanąłeś w drzwiach naszej celi. Niewinne. Czyste. Można z nich czytać jak z książki. I choć nie wszystko poszło tak, jak oczekiwałem, w podzięce chciałbym się wypowiedzieć, Pajączku. Przebacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłem, czy jak to leciało?

- Kpisz sobie?

- Nie. - Misza spowaźniał. - Przysięgam ci na wszystko, co jest mi drogie, a jest tego naprawdę niewiele, że odpowiem na każde twoje pytanie. Zrobię to, bo więcej się nie zobaczymy. Jestem ci to winien, tak myślę.

Vogel czekał. Spodziewał się, że Misza wybuchnie zaraz udawanym śmiechem i powie, że żartował, ale nic takiego się nie stało. Słuchali deszczu bębniącego o pokład i patrzyli na siebie. Misza wciąż stał w wejściu do mesy, a Voglowi nawet nie przyszło do głowy zaproponować mu, żeby usiadł.

- No? - Misza uniósł lekko brwi.

Vogel czubkiem języka zwilżył wargi. Wyszły i skleiły się ze sobą jak po nocy wypełnionej sennymi koszmarami.

– Przede wszystkim: czemu czekałeś z tym tyle lat? – zapytał.

– Och, z kilku powodów. Trochę się nie złożyło, a trochę nie było potrzeby. Najpierw dochodziłem do siebie. No i najwyczałniej w świecie zapomniałem o tym. Przed odsiadką miałem ekscytujące życie, dużo się działo: tak dużo, że nie miałem czasu wracać do przeszłości. W Goleniowie nie miałem możliwości, potrzeby zresztą też nie. A potem? Ślizgałem się jakoś. Przez dwa lata musiałem uważać na tę pierdoloną koronę. Dopiero kiedy sięgnąłem dna, uznałem, że już czas sobie przypomnieć. Twój ojciec mógł naprawdę wiele, Pajączku. Mogłem mu co najwyżej podskoczyć i musiałem o tym pamiętać. Ale w końcu przymuszony przez okoliczności wymyśliłem swój plan. Okazało się, że każdy ma jakąś słabą stronę.

– Napuściłeś jednego na drugiego.

– Dokładnie. – Misza z zadowoleniem zmrużył oczy, jak najedzony kot. – Dziel i rządź. Mijają wieki, a ta prosta zasada wciąż się sprawdza. Nic nie musisz robić, tylko siedzisz i patrzysz, jak dwa drapieżniki wykańczają się wzajemnie.

– Nie to było chyba twoim celem?

– Zgadza się, nie do końca. Potrzebowałem tylko jednego z nich: tego, który mógł mi dać więcej. Obaj mieli możliwości finansowe, tylko że twój ojciec nie chciał zaoferować mi nic. Poprosiłem go o pomoc tylko raz, po wyjściu z Goleniowa i to mi wystarczyło, żeby zrozumieć, że kolejna próba nie ma sensu. Skurwiel: tyle dla niego zrobiłem w dawnych czasach. Wybór, który musiałem niedawno podjąć, był więc prosty i jedyny możliwy: Jaskółscy. Po raz drugi zwróciłem się do twojego ojca, żeby zasugerować mu, że ktoś się interesuje polowaniem sprzed trzydziestu lat i będzie chciał odzyskać film. Dodałem, że jego biznesami interesuje się również ABW, i to wystarczyło, bo wiedział, co w trawie piszczy. Nie musiałem nawet zbyt wiele mówić, sam dopowiedział sobie resztę, rozumiesz? I to było najlepsze. Stał się

zakładnikiem swoich własnych obaw. A bał się, bo miał już zbyt dużo do stracenia. Nigdy go nie zapytałem, czy wciąż ma tę pieprzoną kasetę. Nie musiałem: po pierwsze, wiedziałem, że ją ma, bo nie pozbyłby się takiego asa; nie ktoś taki jak on. A po drugie, nie zaprzeczył, kiedy o niej wspomniałem, tylko gapił się w okno, a ja niemal słyszałem, jak w jego głowie obracają się małe trybiki. Po prostu tak się w jego życiu złożyło, że nigdy nie musiał z niej skorzystać. Dlatego musiałem załatwić to powiedzmy: dyplomatycznie. Musiałem sprawić, żeby zaczął myśleć, że może się tym filmem wreszcie posłużyć i wydobędzie go na światło dzienne. To ja strzelałem do twojego ojca, ale nie chciałem go zabić, tylko przestraszyć. Pokazać mu, że nie ma żartów. Nie mógł przecież zginąć, bo miał film. Byłem pewien, że nie odpowie w ten sam sposób w stosunku do młodego Jaskólskiego: był skurwielem, ale nie był głupi, a lata dziewięćdziesiąte dawno minęły: takie rzeczy jak z Papatą już by nie przeszły. A potem tatko zdechł sam: najpierw na niby, a później naprawdę.

– Nie wierzę... – Vogel miał mocno zaciśnięte powieki.

– Nie kłamie, Pajączku. Obiecałem szczerą spowiedź i dotrzymuję słowa.

– Nie mówię, że nie wierzę tobie. Nie wierzę, że z takiego gównianego planu wyszło... To wszystko.

– Grałem va banque, nie mając pewności, że plan, faktycznie bardzo ogólny, wypali. Czasem życie nas do tego zmusza. Nie zaryzykujesz, nie wygrywasz. Oni sami go doprecyzowali, wiesz? Nie miałem tylko pojęcia, że twój stary odpiardoli taki gruby numer, więc przyjdzie potem do ciebie było aktem desperacji, ale ostatecznie opłaciło się. Wracając do Jaskólskiego: majątek jego ojca był atutem. Tak jak w polityce: jeśli wchodzi w nią ktoś z pieniędzmi, to ludzie sądzą, że nie będzie musiał kraść i robić wałków z przepisywaniem działek na żonę, przyjmowaniem w prezencie zegarków za setki tysięcy czy mercedesów z firankami. Jest wtedy odporny na korupcję. I coś w tym jest, to prawda, choć jak wiemy, nie zawsze się to sprawdza w praktyce.

Zwłaszcza, że charakter działalności starego Jaskólskiego w przeciwieństwie do tej prowadzonej przez twojego staruszka był nieco bardziej przejrzysty. Rolnik. Uprawy, setki hektarów upraw i krowy, tysiące krów. Na wielką skalę, ale rolnik, a nie handlarz bronią. Zgodzili się na mój plan. Grałem czysto: kasa za film i znikam.

- Dlaczego zabiłeś Monikę?

- Jak to dlaczego?

- Dobrze więc, dlaczego podrzuciłeś mi jej ciało?

- Dla zagęszczenia atmosfery, Pajączku. Żebyś zainteresował się tematem. Żebyś zaczął wnikać. I żebyś był już zmiękczony, kiedy przyjdę. Twarda była, wiesz? Twarda sztuka z niej była, bo podtapianie to chyba najgorsza tortura, Pajączku. Nie wrywanie paznokci ani przypalanie rozgrzanym żelazem, tylko zwykłe podtapianie. Czysto i schludnie, bez krwi, może tylko trochę mokro. Widać tatko nie wtajemniczył jej jednak do końca w swoje sprawy.

Vogel bezsilnie zacisnął pięści.

- A dlaczego zginął Noack?

- A jeśli miał ten film? Jeśli jednak Ptasznik powiedział mu wszystko, schował kasetę u niego, a twój wuj cię okłamał? Jesteś łatwowierny, Pajączku. W dzisiejszym świecie to nie zaleta, to wada. Nie mogłem ryzykować i nie mogłem go o to zapytać, tak jak tej Matysiak. Zresztą... Trzeba znać swoje ograniczenia, co nie oznacza, że nie można załatwić sprawy inaczej. I ja ją załatwiłem, bo wszystko co robię, robię porządnie, Pajączku. Jak coś obiecuję, to dotrzymuję obietnicy. Twoja matka to wiedziała.

Misza zawiesił głos, jakby dawał mu szansę do zadania oczywistych pytań. I Vogel ją wykorzystał. Wbrew sobie.

# MATKA

– Opowiedz mi o niej. – To zabrzmiało jak prośba, choć tego nie chciał, ale zdawał sobie sprawę, że to może być jedyna szansa na dowiedzenie się, co ich łączyło.

Jakim cudem dobra kobieta uwikłała się w związek z ułomnym emocjonalnie, zimnym jak gład człowiekiem, który został potem jego ojcem. Wyglądało na to, że nie było już nikogo poza Miszą, kto miałby na ten temat jakąś wiedzę.

– Jestem cały twój, Pajączku. – Misza teatralnie rozłożył ręce, wciąż stojąc w wąskich drzwiach mesy.

– Przede wszystkim, czy była w Stasi? Nawet nie wiem, jak się poznali z...

– Nie znasz historii poznania się własnych rodziców? Myślałem, że wszystkie dzieci ją znają.

– A ty znasz swoją?

Wzrok Miszy był wciąż bez wyrazu.

– Mój ojciec na wiejskiej zabawie zgwałcił po pijaku jakąś kobietę. Nawet się wcześniej nie znali, bo nie była z naszej wsi. Efektem było małżeństwo, a dziewięć miesięcy później ja. I tak właśnie prosta kobiecina, która dostała nakaz pracy w tamtejszym PGR-ze, została moją matką. Nic wielkiego, jak widzisz.

– Więc jak się poznali moi?

– Twój ojciec jako młody funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa pojechał na staż do NRD, do powiatowego urzędu Stasi w Dreźnie. Twoja matka pracowała w sklepiku VEB-u naprzeciwko, robotę załatwił jej braciszek. Była zwykłą sklepową, rozumiesz? Sprzedawała warzywa, drożdżówki i wódkę. I oni naprawdę się w sobie zakochali, Pajączku.

Miłość bywa ślepa, prawda? Nie poznała go widać zbyt dobrze, albo dobrze się maskował, a potem było już za późno, jak zresztą sam wiesz. Władze enerdowskie zgodziły się na ślub i na jej wyjazd do Polski. Powodów było kilka. Urszula była słowiańskiego pochodzenia, jej brat był prawie na pewno bezpieczniakiem, może Szwabcy chciały upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i zrobić ją wtyką w polskiej bezpiece, w końcu twój tatuś dobrze rokował. Wtedy nikt jeszcze nie spodziewał się, że za parę, paręnaście lat Mur runie i to wszystko pierdolnie. Ale nie sądzę, żeby nią została. To była zwykła, fajna dziewczyna. Pewnie ci ze Stasi co jakiś czas brali ją na spytki, kiedy jechała do Cottbus odwiedzić twoich dziadków, ale nie myślę, żeby z nimi współpracowała na pełen etat. To cię boli, Pajączku? Wiesz, ilu enerdowców było tajnymi współpracownikami? Bez porównania więcej niż u nas. To chyba był ich sport narodowy. Wpierdalanie się w cudze życia i donoszenie na innych. Tam nawet dwunastoletnie dzieci były tajnymi współpracownikami, wyobrażasz to sobie?

– Też byłeś zawodnikiem tej dyscypliny, w dodatku zawodowcem, tylko w polskiej reprezentacji narodowej, nie?

Misza żartobliwie pogroził mu palcem.

– Ej, Pajączku, Pajączku, ciągle trzymają się ciebie żarty.

– To nie był żart. To fakt.

– Jak chcesz... A wracając do twojej matki. To szczęście mieć taką matkę, jak ona. Skupiła się na tobie, bo nie mogła na nim. Przełała na ciebie wszelkie uczucia. Wyrok złamał jej serce, ale to, jak potem postąpił z tobą twój stary: odciął się, sprawiło, że zaczęła żyć dla ciebie.

– Skąd ty ją znałeś?

– Można powiedzieć, że towarzysko.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek jako dziecko widział cię w naszym domu.

– Niestety, nigdy nie dostąpiłem tego zaszczytu. – Misza westchnął przesadnie: kolejna teatralna zagrywka, jakby się dobrze bawił albo wypił coś przed wizytą. – Wiesz, nigdy nie wyglądałem dość



reprezentacyjnie. No i w resorcie raczej oddzielaliśmy pracę od życia prywatnego, pewne rzeczy robiliśmy bez żon.

- Na przykład polowania.

- Na przykład. Z twoim ojcem utrzymywałem kontakt jeszcze przez parę lat po odejściu ze służby, robiłem dla niego drobne rzeczy, o których nie ma sensu teraz mówić. I to dlatego byłem z nimi na tamtym polowaniu. Ale wcześniej widywaliśmy się czasami z okazji jakichś oficjalnych pracowniczych wydarzeń, wiesz: wyjazdy na grzyby, dzień Milicji Obywatelskiej i takie tam, na które przeważnie jednak zabierało się żony. Za komuny wyglądało to trochę inaczej. Kiedy twój tatuś zaczął zarabiać naprawdę duże pieniądze, straciliśmy kontakt, a ja zająłem się sobą. Nie wiem, jak Urszula dowiedziała się, że garuję w Goleniowie. Co prawda ta strzelanka na granicy, za którą mnie posadzili, to była dość głośna sprawa. Też się tylko broniłem, jak ty, tylko że strzelałem celniej niż tamci. Jeden dostał w łeb i zdechł, a drugi w kręgosłup i wylądował na wózku. Za to oni zabili mi kolegę...

- Miałeś mówić o matce.

- Aleś ty niecierpliwy, Pajączku, no... Przyszła do mnie na widzenie, kiedy jeszcze siedziałeś w areszcie. Nie wiem, jak później załatwiła, że trafiłeś do Goleniowa, ale wiem, dlaczego chciała, żebyś tam trafił.

- Bo byłeś tam ty.

- Zgadza się. To ciężkie więzienie, coś o tym wiesz, a ty byłeś młody, niezdemoralizowany, z dobrego domu, wyrok był stosunkowo niski. Nigdy nie powinieneś był tam trafić, a jednak.

Vogel poczuł, że niebezpiecznie przyspiesza mu puls, a przed oczami zaczynają latać czerwone pląty.

- Chcesz mi powiedzieć, że to moja matka sprawiła, że trafiłem właśnie tam?

- Nie inaczej, Pajączku. Trochę jej się nie dziwię. Wychuchany synuś ma trafić do więzienia, więc mamusia z koneksjami załatwia mu opiekę u znajomego, który został gangsterem, a potem królem więzienia, w dodatku niezbyt daleko od domu, co też nie jest bez znaczenia.

Ludzie nie mają pojęcia, co dzieje się za murami. Myślą, że to wygląda jak w filmach, i on nie była wyjątkiem. Przeżazona. Pokonana. Pogodzona i szukająca najmniejszego zła. Liczyła się z twoim skazaniem bardziej niż twój mecenas i nawet tatuś. Chciała dobrze, jak najlepiej, najlepiej dla ciebie, ale dobrymi chęciami to wybrukowane jest piekło, prawda?

– I nic za to nie chciałeś? Nie wierzę.

– Mówiłem ci: poprosiła mnie. I to wystarczyło. I chyba nie żałujesz, że tak się stało? Dobrze się tobą opiekowałem, prawda? Nikt nigdy nie wsadził ci niczego w odbyty ani nie musiałeś nikomu obciągnąć. Nie dostałeś nigdy w ryj, jadłeś w normalnych warunkach, a nie na podłodze czy w sraczu jak cwele... No, nie tak?

Wszystko stanęło mu nagle przed oczami. Zatraskane spojrzenia matki i mecenasa Popławskiego. Jej gorączkowe słowa: „wszystko będzie dobrze, zobaczysz”, powtarzane jak mantra nawet po tym, jak go skazano. I po apelacji, gdzie wyrok utrzymano w mocy. Słowa wychowawcy podczas pierwszego spotkania: „skoro już jakimś cudem tu trafiłeś...”. W jednej chwili zrozumiał działanie mechanizmu, który uruchomiła matka, a który sprawił, że trafił właśnie do Goleniowa. Wyjaśnienie Miszy brzmiało całkiem przekonująco. Ale coś w nim zgrzytało, jak drobinka piasku w trybie. Tą drobinką był Misza.

– Ty chuju pierdolony... – Z ust Vogla wyrwał się warkot. – Zrobiłeś to specjalnie. Zamiast ją przekonać, żeby tego nie robiła, to jeszcze jej wmówiłeś, że robi dobrze, prawda? Wykorzystałeś okazję! To ty chciałeś, żebym tam trafił! Ty! Chciałeś się mną bawić! Chciałeś patrzeć, jak ginę! A może chciałeś się zemścić na ojcu, że nie wziął cię ze sobą, nie powiedział o ustawie Wilczka i przepadła ci szansa!

Misza był wyraźnie rozbawiony, choć wyglądał równocześnie, jakby starał się to maskować. Położył sobie rękę na czole, zjechał nią na nos, ścisnął jego nasadę, potem przesunął dłoń jeszcze bardziej w dół i pogładził się nią po podbródku.

– Jak ty to często powtarzasz? – Misza udał skupienie. – „Czy to teraz ważne”, czy coś w ten deseń? Nie przesadzaj, Pajączku. Po trzech latach przeszedłeś do półotworka w Szczecinie, mamusię widywałeś często, mnie już nie. No i te paczuszki z domu, zakupki w kantynie i tak dalej. A dzięki mnie przeszedłeś szkołę życia, nabrałeś odporności.

Vogel wpatrywał się tępo w ścianę przed sobą.

– Trzy lata z tobą w jednej celi, mendo. – Ukrył twarz w dłoniach i siedział tak, wciskając je sobie w oczodoły. – Trzy pierdolone lata.

– W jednej celi siedzieliśmy tylko dwa, nie pamiętasz? No i pomyśl: nie mogłem się w ten sposób mścić na twoim ojcu, bo on miał cię w dupie. Najchętniej pewnie wysłałby się do więzienia w Kolumbii albo Brazylii, za to, jak zawiodłeś jego nadzieje.

– Nieważne... – szepnął. – Bawiłeś się nią. Jak każdym innym. Wszyscy są kukiełkami w twoich rękach.

– Kochałem ją, wiesz?

Wyprostował się gwałtownie, pewny, że się przesłyszał. Z jego ust wyrwał się dźwięk przypominający beczenie owcy.

– Co!?! Ty?

– Tak. Ja.

– Ty przecież nie masz serca...

– Uważasz, że kochamy sercem, Pajączku? Co ty, dziecko jesteś? Miłość to chemia, wszystko dzieje się w mózgu. A mój mózg jest całkiem, całkiem.

– Nie wierzę ci. Kurwa, nie wierzę ci, słyszysz! W ani jedno pierdolone słowo!

– Nie wierzysz czy nie chcesz wierzyć? Jak się domyślasz, to nie była fascynacja seksualna, nic z tych rzeczy. Podejrzewam, że przeniosłem na nią swoje wyobrażenia o idealnej matce, której nigdy nie miałem. Robi się łzawo, hmm? Idziemy w psychoanalizę.

– Nie chcę tego słuchać... Zamknij się. Proszę cię, zamknij się już!

- Spokojnie, nie powiem ci zaraz, że mieliśmy romans, a ty jesteś jego owocem. To by cię chyba zabiło, co?

- Zamknij się, słyszysz?!

- Gdyby nie umarła przed moim wyjściem, przyszedłbym do niej, wiesz? Pierwsze, co zrobiłbym po wyjściu, to pojechał do niej po pomoc i ona na pewno by mi jej nie odmówiła, jak później twój stary. I wszystko wtedy wyglądałoby inaczej. Wszystko...

Vogel uspokoił się nagle. Wmówił sobie, że nie da gnojowi satysfakcji, pokazując po sobie, co teraz czuje. To on miał być panem sytuacji, a nie Misza. To on miał zakończyć wszystko na własnych warunkach.

- Możemy wrócić do Jaskólskich? - zapytał w miarę normalnym tonem.

- Jak sobie życzysz, Pajączku. Mama niech spoczywa w pokoju, niech jej ziemia lekką będzie, a my pogadajmy o Jaskólskich. I o mnie...

## BŁĄD ATRYBUCJI

– Widzisz, Pajączku, kiedy się w końcu dogadaliśmy, stary Jaskólski nie chciał mi dać nawet jakiejś porządnej zaliczki, tylko nędzne pięć tysięcy. Nie ufał mi. A ja nie miałem wyjścia. Taki trochę szach, trzymaliśmy się w nim nawzajem.

– Dziwisz mu się? Znasz kogoś, kto by ci ufał?

Teraz stało się jasne, dlaczego Misza działał w tak dziwny sposób. Nieostrożny. Pracował sam, ale przede wszystkim chodziło o fundusze. Misza oszczędzał tam, gdzie mógł. W więzieniu nazywali taki sposób działania rzeźbieniem w gównie.

– Pracowałem sam, to oczywiste. – Misza nieświadomie potwierdził jego przemyślenia. – Młody Jaskólski nie mógł zaangażować w to swoich ludzi z agencji, bo któryś mógł odkryć to, co tak starannie ukrywał. W końcu tobie się jakoś udało. Nie wierz w te bajki z powieści sensacyjnych o ukrytych komórkach płatnych zabójców, czyścicieli i zamiataczy niewygodnych spraw. Musiał być z boku, a ja byłem ich, a potem jego jedyną szansą na załatwienie sprawy. Bo kiedy umarł Zbyszek, został z tym sam.

– Mogłeś iść do niego po pomoc. – Vogel ożywił się nagle. – Do ojca Jaskólskiego. Kiedy byłeś na dnie, po wyjściu z Goleniowa.

– Po co miałem do niego iść? Po jałmużnę? Ile by mi dał, jeśli w ogóle cokolwiek?

– Mogłeś już wtedy grać filmem. Powiedzieć mu, że mój ojciec go nie spalił.

– Nieee, Pajączku. Wtedy jeszcze myślałem inaczej. To nic by mi nie dało, bo twój stary i Jaskólski załatwiliby to między sobą, a mnie najzwyczajniej w świecie olali. Nie miałem wtedy takich asów rękawie,

twój stary jeszcze nie był umoczony w brudne sprawy, w które wszedł na poważnie po wybuchu wojny w Ukrainie.

– Skąd o tym wiedziałeś?

– Widzisz, my, esbecy powoli wymieramy, ale wciąż łączy nas wspólna przeszłość. Jednym w życiu wyszło, innym nie, ale plotkować o ludziach z branży lubimy wszyscy. A w każdej plotce jest trochę prawdy. Czekałem na odpowiednią okazję i pojawiła się wreszcie. W samą porę, bo ze mną było coraz gorzej.

– I przyszedłeś do mnie. Żeby grać mną, jak grałeś moją matką i wszystkimi innymi.

– Grać, mówisz... To chyba dobre słowo. Ale ty sam nieświadomie dałeś mi do ręki asa.

– Jakiego asa?

– Podstawowy błąd atrybucji, Pajączku. To był mój as.

– Błąd atrybucji? Kurwa, byłeś tylko plutonowym w SB. – Vogel pokręcił głową i roześmiał się. – Błąd atrybucji... Wiesz w ogóle, co to znaczy?

– Zdziwisz się, ale owszem, wiem. Zawsze byłem inteligentny, tylko nie miałem takich możliwości startu jak twój tatuś. Miałem za to trudne i biedne dzieciństwo na wsi, wiesz? W szkole paliłem głupa, żeby nie odstawać od reszty, bo dość szybko zorientowałem się, że bycie w nauce lepszym od innych mi nie pomoże. To dlatego nie zaszedłem wyżej w resortcie, chociaż unikałem przykrości w dzieciństwie. Ale ten etap na szczęście się skończył i potem wszystko się zmieniło, bo wreszcie mogłem rozwinąć skrzydła. Bynajmniej nie naukowo, oczywiście. Byłem kiedyś królem, ale to wiesz. Miałem wszystko. Byłem nim, zanim mnie zamknęli, i w Goleniowie też byłem królem, sam wiedziałeś. Ale kiedy wyszedłem... Okazało się, że jestem już nikim, Pajączku. To smutne. Nie odchodziłem powoli, w chwale moich dawnych dokonań, ustępując miejsca młodszym w naturalnym procesie pokoleniowej zmiany, który rozumieją tylko mądrzy ludzie i na który się godzą, żeby w spokoju dożyć swoich dni. Ale ja nie miałem czasu, żeby się z tym

oswoić i pogodzić, wiesz? Spadłem z tronu w dwa, może trzy dni. Mój upadek zaczął się już dużo wcześniej, ale ja tego nie widziałem, bo sam przyznasz, że kraty kurewsko zmieniają perspektywę. To był szok. Tuż za bramą Goleniowa okazało się, że świat się zmienił nie do poznania. Piętnaście lat to bardzo długo, Pajączku. Cała epoka. Po wyjściu na własnej skórze odczułem, że w Europie nie ma już granic, że świat opanowała epidemia internetu, pojawiły się nowe możliwości, ale mi niedostępne, bo zostałem z tyłu i już nie potrafiłem nadrobić tego dystansu. Ludzie, których znałem i którzy mnie szanowali, albo już nie żyli, albo osiągnęli więcej ode mnie i nie chcieli się już ze mną zadawać, bo przypominałem im czas, którego nie chcieli pamiętać. Czas, w którym to oni byli na dole, a ja na górze. Pałętałem się po kraju, usiłując się gdziekolwiek zaczepić, ale ścigała mnie przeszłość. No i ta jebana pandemia, która na dwa lata położyła wszystko...

Vogła zaczynały nużyć wynurzenia Miszy. Widział, że pękła jakaś tama i że ten ma wyraźną potrzebę podzielenia się wszystkim. No i nie mógł mu powiedzieć, żeby się streszczał. Teraz było go już na to stać, ale jednak nie chciał przerywać Miszy. Nigdy wcześniej nie zdarzało się, żeby tak długo mówił. To było rzeczywiście jak spowiedź, a jemu pozostawało tylko wysłuchać jej do końca.

- Ale ty tego wszystkiego nie wiedziałeś i dlatego byłeś moją jedyną szansą - kontynuował Misza. - Oceniałeś mnie przez pryzmat Goleniowa, Pajączku. Popeliłeś dokładnie ten błąd, na który liczyłem, że popełnisz. Brałeś pod uwagę wyłącznie cechy wewnętrzne, nie skupiając się na uwarunkowaniach zewnętrznych, które zmieniły się diametralnie. Zmieniły się w chuj, rozumiesz? Nie ignorowałeś ich, bo na tym ten błąd polega: ty po prostu nie miałeś o nich pojęcia. A ja... Jestem już nikim. Jestem splukany. Od ośmiu lat pijam resztki i zadowolam się ochłapami, żeby jakoś przeżyć. Nie mogłem podjąć żadnej normalnej pracy z pewnej trywialnej przyczyny: braku zaświadczenia o niekaralności. Ubezpieczenie zdrowotne to niby taka banalna sprawa, a jednak zależy od niego wszystko, jak już przyjdzie co

do czego. A w moim środowisku rozniosło się, że mam ten syf, i nikt nie chciał mi nawet podać ręki. Okradałem staruszki metodą na wnuczka, wiesz? Albo wrywałem ludziom portfele i telefony z rąk, a przynajmniej robiłem to, dopóki jeszcze miałem na tyle sił, żeby szybko spierdalać. Wyobrażasz to sobie? Ja, który kiedyś potrafiłem zarobić w tydzień setki tysięcy. Spłukany i olany przez wszystkich. I chory. Śmiertelnie chory. Ludzie robią różne rzeczy, żeby przedłużyć swoje życie w takiej sytuacji. Organizują zbiórki w internecie, w które angażują się celebryci i tysiące innych ludzi jebanej, dobrej woli. Piją soki o cudownych właściwościach, z buraków i chuj wie czego jeszcze. Jeżdżą na drugi kraniec świata napić się wody z cudownego źródła, do którego tysiąc lat temu naszczał jakiś święty. Robią rzeczy, jakich nigdy nie zrobiliby w normalnej sytuacji, ale widmo śmierci sprawia, że czepiają się wszystkiego, co możliwe i niemożliwe. I ja też walczyłem. Walczyłem jedyną metodą, jaka była mi dostępna.

- Strachem, szantażem i zabijaniem.

- Tak. Dokładnie tak. To walka o przeżycie, Pajączku. Kwestia wyboru. Ty albo tamten. Wybór, który wydaje się w normalnych okolicznościach moralnie wątpliwy, staje się nagle prosty, kiedy możesz stracić wszystko. Wątpliwości znikają. Do głosu dochodzi instynkt. Instynkt przetrwania, przeżycia. Jesteśmy tylko zwierzętami, cokolwiek o sobie sądzimy. Maskujemy to ubraniem, manierami, tworzymy reguły współżycia społecznego, latamy w kosmos, ale wciąż pozostajemy jednak tylko zwierzętami. Nie zasnąłeś?

- Nie. Słuchałem cię uważnie. I wiesz co, zasadniczo masz rację. Nie we wszystkim, ale w tej jednej rzeczy masz stuprocentową rację.

- W której rzeczy, Pajączku?

- Nie jesteś już groźnym Miszą, siejącym postrach skurwysynem. Teraz jesteś wyłącznie skurwysynem, panie Jacoń. Gnojem. Parszywą gnidą, którą już dawno trzeba było rozdeptać. Chciałem cię zabić, skurwysynu, i nie potrafiłem. Dwa razy było blisko: raz w Goleniowie, kiedy załatwiłeś Rubensa. Drugi raz niedawno, kiedy straciłeś u mnie



przytomność. Mogłem po prostu wypłynąć na rzekę, owinać cię łańcuchem i wypieprzyć za burtę.

- Ale nie zrobiłeś tego.

- Nie.

- Dlaczego? Z wdzięczności za Goleniów? Wdzięczność to objaw miękkość...

- Nie z wdzięczności – przerwał Miszy.

- Więc dlaczego?

- Bo wtedy byłbym taki jak ty. Dokładnie taki sam. A teraz wypierdalaj do swojej nory, gdziekolwiek jest, i zdychaj tam, a ja już dziś zacznę wymazywać cię z pamięci. I gównu mnie obchodzi, że masz HIV albo AIDS. Przegrałeś i pogódź się z tym.

- Skąd wiesz? – Misza pochylił głowę i nagle w jego oczach błysnęło zrozumienie. – To u ciebie zgubiłem te jebane tabletki? Ech, nawet nie wiesz, ile zachodu kosztuje mnie ich zdobycie.

- To też mnie nie interesuje.

Misza rozejrzał się po mesie jak ktoś, kto zaraz ma wychodzić.

- Mówisz, że przegrałem... Nie do końca, Pajączku, bo widzisz, zamierzam pożyć jeszcze trochę. Ile się da. I zamierzam też dobrze się bawić, bo nie mam już nic do stracenia. Naprawdę nic, rozumiesz? Teraz mogę wszystko. I tym akcentem zakończymy nasze spotkanie. Była spowiedź, przyszedł czas na pokutę. I obawiam się, że będzie piekło.

- Nie mam wątpliwości.

- Psst, jeszcze nie wiesz, o czym mówię. Moja spowiedź, ale twoja pokuta. Pozbawiłeś mnie praktycznie jedynej szansy na w miarę godną resztę życia. Myślałeś, że ci to daruję?

- Chcesz mnie zabić?

- Nie inaczej, Pajączku. I z jednej strony dziwię ci się trochę, że o tym nie pomyślałeś, ale z drugiej... – Rozłożył ramiona i uśmiechnął się krzywo. – Błąd atrybucji.

Vogel poczuł, jak szybciej bije mu serce.

– Skąd wiesz, że gdzieś w pobliżu nie czai się policja? – zapytał. – Albo że nie mam podsłuchu i właśnie wszystko pięknie się nagrywa?

– Bo siedzę w tych krzakach od kilku godzin i nie zauważyłem niczego podejrzanego ani na twojej łodzi, ani na sąsiednich, ani w okolicy. I uwierz mi, wiem, jak to się robi, bo sam to kiedyś robiłem. A jeśli chodzi o podsłuch, miałeś rację z tym dwudziestym pierwszym wiekiem. Głupie gadżety za kilka stówek: jeden do podsłuchiwania, a drugi do wykrywania podsłuchu. Proste, nie? Jesteśmy tu sami, Pajączku, a ty zaraz umrzesz.

– To po chuj mi to wszystko mówiłeś? – zapytał, z trudem przelitykając ślinę.

– Człowiek czasem musi się wygadać, zwłaszcza jeśli zrobił coś, z czego jest dumny. A ty jesteś jedyną osobą, której mogłem opowiedzieć, jak sprytny jestem, choć jak widać, sporo się dowiedziałeś sam. Chciałem ci opowiedzieć, jak pan Misza wrócił do formy i teraz znów będzie królem... No, może księciem. Ale to mi wystarczy. Z wiekiem oczekiwania wobec życia spadają. Nie rób głupot. – Kiedy zaczął się powoli przesuwac na prawą stronę mesy, w dłoni Miszy pojawił się nagle pistolet.

Znieruchomiał w połowie koi.

– Przegrałeś, naprawdę nie zdajesz sobie z tego sprawy? – wyszeptał bez tchu, żałując trochę, że kazał Iwonie nie pojawiać się tutaj, aż nie da jej znać.

Był idiotą. Znów, jak wtedy pod „Hormonem”, myślał, że ma nad wszystkim kontrolę. Życie niczego go nie nauczyło. Więzienie też nie. Może minęło zbyt wiele czasu, a może po prostu nie wyciągnął odpowiednich wniosków. Wbrew temu, co sądził Misza, zdawał sobie sprawę z tego, że skurwiel może chcieć go zabić, ale nie chciał w to do końca wierzyć, nawet mimo ostrzeżeń Iwony. A ten koniec właśnie nadszedł.

- Została jeszcze pani Jaskólska i dzieciaczki, zapomniałeś? - Misza zmrużył oczy i poklepał się po kieszeni, w której spoczywała kasetka. - Ona i jej bachory dziedziczą cały majątek, a nie sądzę, żeby była tak głupia jak ty i nie przyjęła spadku. Coś jeszcze da się wyszarpać, podejrzewam, że przez wzgląd na dzieci nie będzie chciała, żeby ten film zaczął hulać w internecie. Może jeszcze nie wszystko stracone, Pajączku. Przychodziłem tu bez nadziei na cokolwiek, ale ty sprawiłeś mi niespodziankę, która daje mi nowe perspektywy. Ale równocześnie wyklucza cię z dalszej zabawy w mojej grze.

## WODA I OGIENÍ

Vogel patrzył z osłupieniem, jak Misza wyciąga zza pazuchy płaszczą plastikową, półtoralitrową butelkę wody mineralnej. Odkręcał ją niezgrabnie krawędzią dłoni, w której trzymał pistolet, i patrzył mu w oczy z okrutnym uśmiechem, a on zdał sobie sprawę, że nawet jeśli wykorzysta okazję i zdąży sięgnąć po broń, to nie zdąży wystrzelić. Nie miał wątpliwości, że w pistolecie Miszy nabój jest już w komorze, kurek był odwiedziony. Przypomniał sobie słowa Iwony, te o pewności siebie. I swoją odpowiedź, że oglądał filmiki instruktażowe w internecie. Jego broń była tak blisko, dosłownie na wyciągnięcie ręki, a równocześnie tak cholernie daleko. I nigdy nie pomyślał, że Misza może mierzyć do niego z broni. Skurwiel był, jaki był, ale to wydawało mu się tak nierealne, że nie potrafił sobie tego wyobrazić. Do teraz.

Błąd atrybucji...

- Wypełniłem obietnicę, którą dałem twojej matce - powiedział nagle Misza, unosząc butelkę jak do toastu.

Po mesie rozszedł się nagle znajomy zapach i Vogel zorientował się, że butelka nie zawierała wody, tylko benzynę. Poczuł, jak odruchowo napinają mu się mięśnie ud.

- Wypełniałem tę obietnicę długo po tym, jak przestała obowiązywać. - Misza zaczął przechylać butelkę. - Może dlatego, że twoja matka była jedyną kobietą, do której coś czułem, mimo że prawie jej nie znałem. Ale teraz... Teraz znów obowiązuje zasada: ja albo ty. Bez urazy, Pajączku. To walka o życie, na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

- Spaliłbym cię? - Słowa z trudem precyzyjne się przez ściśnięte strachem gardło. - Myślisz, że jestem potworem?

- Nawet nie zdążył się osmalić, nie za życia. - Misza wylewał benzynę przed sobą, rysując jej strumieniem linię między nimi, a kiedy butelka była już w dwóch trzecich pusta, resztą ochlapał ściany po obu stronach. - Po prostu chcę, żebyś przez chwilę popatrzył sobie, jak umiera twoja łódź, a potem umrzesz ty, kiedy cię zastrzele. Taki akt miłosierdzia, bo chyba jednak mam do ciebie słabość. A to w ramach pokuty, o której wspomniałem. Tylko twoja krypa miała się spalić, a ty miałeś na to patrzeć z brzegu, ale skoro przyczyniłeś się do mojej kłębki... - Misza wzruszył ramionami i rzucił w niego pustą butelką, przed którą w ostatniej chwili zdążył się uchylić, w dodatku zyskując trochę przewagi, bo był jakieś dwadzieścia centymetrów bliżej cezetki. - Chyba trochę zapomniałeś zasad, Pajączku. Nie donosi się na kolegów.

- Nie jesteś moim kolegą, a to nie jest Goleniów. - Dalej grał na czas ze wzrokiem wbitym w pistolet Miszy.

- Zasada to zasada. Zasady obowiązują wszędzie.

Misza powiedział to takim tonem i z takim wyrazem twarzy, że Vogel pozbył się ostatnich wątpliwości. Nadziei też. Wszystko było stracone. Wszystko.

- Ta łódź nosi imię mojej matki... - wyszeptał, próbując chwycić się ostatniej deski ratunku.

- Przykro mi, ale nigdy nie byłem sentymentalny. - Twarz Miszy wykrzywił zły uśmiech. - To tylko kupa blachy i plastiku, a ona dawno nie żyje. I wiesz co? - Misza spojrzał gdzieś w bok i zmarszczył brwi. - Chyba jednak nie kochałem jej tak mocno, jak myślałem.

Misza sięgnął do kieszeni płaszcza. Brzęk zamknięcia benzynowej zapalniczki brzmiał jak szczęk żelaza o kamień.

- Jesteś psychiczny... - wyszeptał Vogel ze zgrozą.

Uświadomił to sobie właśnie teraz. Misza zawsze był psychopata, ale ostatnie zdarzenia i to wszystko, co spotkało go po wyjściu, musiało odcisnąć na jego umyśle dodatkowe piętno szaleństwa. Nie zatracił zdolności logicznego myślenia, ale gdzieś tam w zakamarkach zwojów mózgowych zaczął robić się spory bałagan.

– Owszem, jestem – przyznał bez cienia żenady Misza. – Paradoks, nie? Jednym z podstawowych objawów choroby psychicznej jest to, że chory nie zdaje sobie z tego sprawy. Myśli, że wszyscy mu chorobę wmawiają. A ja to wiem, ale jakoś nie jest mi z tym źle. Do zobaczenia w piekło, Pajączku. Kto wie, może znów będziemy w jednej celi?

Nie spuszczać go z muszki, Misza kucnął, przykładając zapalniczkę do wykładziny. Kółko potarło o krzesiwo, błysnęła iskra, a potem buchnął niebieskawy płomień. Vogel patrzył z wyschniętym na wiór gardłem, jak ogień najpierw powoli ściele się po podłodze, liże ściany na dole, a potem coraz zachłanniej wspina się po nich, obejmując w swoje posiadanie coraz więcej elementów wyposażenia i odcinając go od wyjścia. Poczul ciepło na łydkach i odruchowo się skulił. Widział postać Miszy zza płomieni, ich blask migotał na jego twarzy, na której znów nie było żadnego wyrazu. Tylko cień nosa tańczył po policzkach, nadając wrażenie ruchów mimicznych. Płomienie sięgały coraz wyżej.

Miał ostatnią szansę. Wykorzystał, że stały się zasłoną. Rzucił się w bok, gdzie pod koją leżała cezetka, wydając z siebie udawane odgłosy przerażenia, choć naprawdę miał ochotę krzyczeć. Opanowywał się resztkami sił, wiedząc, że walczy o życie.

– Jeszcze chwila, Pajączku, zaraz będzie po wszystkim! – Głos Miszy przebijał się przez trzask ognia. – Sam wybrałeś! Jesteśmy kowalami własnego losu, a wszelkie decyzje mają konsekwencje!

Vogel gorączkowo macał przestrzeń pod koją i po chwili jego dłoń trafiła na zimny metal. To go uspokoiło. Przeladował, wprowadzając nabój do komory, wycelowal przed siebie, w zasłonę płomieni i po prostu nacisnął spust. Rozległ się suchy huk, a potem okrzyk Miszy, w którym było chyba więcej zdziwienia niż bólu. Kolejne strzały oddał już Misza. Kule siekły ściany i okna. Vogel rzucił się na podłogę, czując, jak płomienie liżą jego twarz. Kiedy strzały umilkły, cofnął się pod koję, a kiedy poczuł, jak łódź się kołysze, domyślił się, że Miszy już na niej nie ma.

Nie miał chwili do stracenia.

Zdażył jeszcze chwycić swój zestaw przeżycia, jak nazywał leżącą u wezłowia koi wodoszczelną saszetkę, w której trzymał paszport, kilkaset złotych i euro i kartę do magazynu self storage, gdzie znajdowało się wszystko to, co nie mieściło się na łodzi. Tego też nauczyło go więzienie: miej wszystko pod ręką i przy dupie, bo nigdy nie wiesz, co się wydarzy. Słyszając za sobą huk płomieni i trzask pękającego od temperatury plastiku, położył się na koi i kopnął mocno wąskie okienko, w którym były dwa niewielkie otwory po pociskach. Nie chciało się poddać, ale spróbował jeszcze raz i za drugim razem tafla pleksi pękła na kilka kawałków. Gorączkowo wydłubywał je z ramy, czując na plecach żar. Wdychane powietrze parzyło już w przelyk.

Ukryty za nadbudówką przepelznął na dziób i zsunął się do wody, starając się, żeby nie plusnęła, a potem odpłynął kawałek, wciąż kryjąc się za kadłubem, gdyby Misza stał na brzegu i patrzył. Nie wiedział, w co go trafił i czy w ogóle. Jęk, jaki skurwiel z siebie wydał, mógł świadczyć, że jednak mu się udało, ale pewności nie miał. Może stał teraz na nabrzeżu i napawał się widokiem.

Na środku kanału odwrócił się w stronę „Worśy”. Chciał się z nią pożegnać. Czując uderzenia ciężkich kropel deszczu na głowie, patrzył z wody zanurzony po czubek brody, jak płonie jego dom i całe wyposażenie. Ogień odbijał się w tafli czarnej wody, rozświetlając ją migotliwymi plamami bieli, żółci i czerwieni. Nagle rozległy się strzały, cała nieregularna seria. Zorientował się, że to wybucha amunicja, którą też zabrał z sejfu u Popławskiego. Na brzegu było już kilka osób oświetlonych płomieniami, widział wśród nich Pawła i Jolę, nie widział tylko Miszy. Przez chwilę wydawało mu się, że wśród zgromadzonych widzi Iwonę, ale kiedy kobieta odwróciła się na chwilę, zobaczył warkocz. Wszyscy stali, łapiąc się za głowy, a kiedy powietrze rozdarł dźwięk suchych, krótkich wybuchów, odruchowo się skulili.

Vogel nabrał głęboko powietrza i zanurkował. Płynąc pod wodą w absolutnej ciemności, dotarł do pierwszych trzcין po drugiej stronie kanału, a gdy poczuł na dłoniach i twarzy śliski dotyk wodorostów

i łodyg, skrzył w lewo. Ostrożnie wystawił twarz nad wodę i znów zaczerpnął śmierdzącego zgniłą roślinnością powietrza, a potem ponownie zanurkował, kierując się w stronę dalszych zabudowań przystani. Parę minut później, trzęsąc się bardziej z emocji niż z zimna, wypłynął na brzeg i pobiegł szybko przed siebie, ukryty w ciemności. Nie spodziewał się, że kogoś spotka: wszyscy stali przy płonącej „Worśy”, zastanawiając się pewnie, czy właściciel był w środku, kiedy wybuchł pożar. Przemknął bokiem, dotarł do wyjazdu i przedzierając się przez zarośla, ruszył w kierunku ulicy Stołczyńskiej. Jęk syren wozów strażackich zaczynał być coraz głośniejszy, a kiedy Vogel wydostał się na drogę, w jej perspektywie zobaczył niebieskie błyski. Położył się w rowie biegnącym wzdłuż drogi i odczekał, aż wielkie pojazdy go miną, a potem wstał i wyszedł na pobocze, kierując się w stronę miasta.

Przeszedł jakieś dwa kilometry, kiedy usłyszał, że z tyłu zbliża się samochód. Deszcz nieco zelżał, więc kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył, że na dachu świeci się coś niewielkiego. Światelko było za małe na koguta, więc miał gorącą nadzieję, że to taksówka. I tak rzeczywiście było. Stanął i zaczął machać gwałtownie rękami. Samochód zwolnił i zatrzymał się, więc podszedł do tylnych drzwi i otworzył je.

– Wolny? – rzucił.

– Jak najbardziej. Ładuj się pan.

– Zmoczę panu trochę tapicerkę – ostrzegł, zamykając drzwi.

– Eee tam. Wie pan, co ja na niej już miałem? – Kierowca odwrócił się i zerknął na niego z rozbawieniem. – Zaraz zjeżdżam do domu, do jutra powinno wyschnąć. Ma pan szczęście. Miałem kurs do Polic, a o tej porze z powrotem z klientem to ciężko.

– To pan też miał szczęście?

– Nie mówię, że nie. Dokąd?

– Do centrum poproszę. Na Bohaterów Warszawy.



- Ooo, i jeszcze dobry kurs. - Taksówkarz spojrział w lusterko. - Faktycznie, ale pana zmoczyło.

- Ano... Kto by się spodziewał, że tak lunie? - mruknął i oparł głowę o zagłówek.

Był cholernie zmęczony, szumiało mu w głowie, a pod powiekami wciąż miał widok płonącej „Worży”. Kierowca na szczęście nie odzywał się więcej i resztę trasy pokonali w milczeniu. Na miejscu Vogel wydobył z torebki pięćdziesiąt złotych i dał je taksówkarzowi. Kiedy ten odjechał, rozejrzał się odruchowo i podszedł do drzwi budynku. Kartę miał już w ręku. Przyłożył ją do czytnika i po chwili stał przed swoim boksem. Zwolnił zamek rolety, również używając karty, i wszedł do środka pomieszczenia, które przypominało wielkością i wystrojem wnętrze kontenera. Rozejrzał się po metalowych regałach. Tuż przed oczami miał leżącą na jednym z nich torbę. Z nią mógł spędzić na odludziu nawet tydzień.

Od czasów Goleniowa miał jeszcze jedną zasadę, obok tej o trzymaniu najważniejszych rzeczy przy sobie: kiedy masz dużo, w razie jakiejś katastrofy tracisz wszystko. A kiedy masz niewiele, niewiele też tracisz. A na pewno mniej żałujesz tego, co straciłeś z prostej przyczyny: bo nie było tego dużo.

Misza również popełnił błąd atrybucji. Bo Misza też nie wziął wszystkiego pod uwagę, a on to wykorzystał i zamierzał wykorzystywać dalej. „Daj mi to” - Vogel wrócił wspomnieniami do niedawnych chwil na łodzi. I: „Nie kłamiesz, Pajączku”. Idealne podsumowanie ich dawnej relacji bezrefleksyjnie przeniesionej przez Miszę na współczesny grunt. Bez zastanowienia oddał Miszy kasetę; zrobił to, co zawsze robił w Goleniowie. Wykonywał polecenia, jak każdy tam, i Misza był do tego przyzwyczajony. Tak bardzo przyzwyczajony, że nawet nie przyszło mu do głowy, że czasy się zmieniają. Nie tylko czas Miszy, który zresztą minął dawno temu.

Z bocznej kieszeni torby wyjął komórkę i przełożył do niej kartę SIM ze szmelcu, w jaki zmienił się zalany wodą telefon, który miał przy

sobie. Odłożył aparat na bok i rozpiął zamek głównej komory. Przebrał się szybko, wrzucając mokre ciuchy do foliowej reklamówki, upchnął ją w niej i zapisał, upewniając się wcześniej po raz ostatni, że razem z ubraniami i kosmetyczką w środku torby spoczywa prawdziwa kasetka z filmem z polowania, a nie prawie identyczna, którą poprzedniego dnia kupił od „przegrywa” na ryneczku na osiedlu Zawadzkiego. Na tamtej, którą zabrał Misza, był tylko bawarski, kosmaty erotyk z początku lat dziewięćdziesiątych.

Tych najlepszych lat.

# LIST

Zerknął na telefon, który brzęczał na stoliku obok laptopa i filiżanki z kawą. Wziął go do ręki i odebrał.

- Hej - przywitał się ciepło.

- Hej - odpowiedziała Iwona takim samym tonem. - Gdzie jesteś?

- W Berlinie. Piję kawę nad kanałem i gapię się na fajne laski. Jedne z żaglami, inne bez. Niektóre mają naprawdę porąbane imiona. Podoba mi się szczególnie to: „Rycząca czterdziestka”.

- Uhm... Wiesz, przykro mi z powodu twojej łodzi.

- To tylko przedmiot, jak mawiają bogaci ludzie.

Roześmiała się.

- Taak, i że pieniądze szczęścia nie dają, ale dużo przyjemniej płacze się w mercedesie. To była głupota, Heinrich. - Spowaźniała nagle. - Oboje postąpiliśmy głupio. Ty, bo chciałeś z nim być sam na sam, a ja, bo cię posłuchałam. Zemściło się moje podejście z pracy: każdy wie, co robi, i nie dyskutuje się z tym. Nigdy nie powinnam była się na to zgodzić. Nie po tym wszystkim, co przesłałam, kurwa mać - zaklęła gorzko.

- Wydawało mi się, że mignęłaś mi tam, na nabrzeżu, wiesz?

- Nie, siedziałam na tyłku w domu, jak prosiłeś, bo uszanowałam twój punkt widzenia. A powinnam była siedzieć tam, w tych pieprzonych krzakach i zareagować w porę. Albo nawet na łodzi, gdzieś w... Jak to się nazywa? Na „z”?

- Zężach.

- Dokładnie.

- I co byś zrobiła? Jeszcze by cię zabił.

– A tak prawie zabił ciębie.

– Nie da się cofnąć czasu, Iwona. Nie da się przewidzieć, co by było, gdyby... Nie doceniłem go, fakt. Wydawało mi się, że skoro jest między nami to... – Znów nie potrafił nazwać chorej relacji z Miszą. – To coś...

– To co? Wyzna ci w końcu miłość? Czy powie, że szkoda, że nie jesteś jego synem? Jesteś kretynem. Ja zresztą też... – dodała.

Milczeli przez chwilę.

– Kupisz sobie nową łódź? – Iwona zmieniła temat.

– Pewnie – odparł pogodnym tonem. – Mam już nawet jedną na oku.

– Tę „Czterdziestkę”?

– Nieee, ta akurat ma żagle, a facet, który stoi na jej pokładzie, nie wygląda, jakby chciał się z nią rozstać. Pod Berlinem jest jeden gość, który szuka kupca na fajną łódkę.

– Jak ją nazwiesz?

– Chyba tak samo. Niestety, jest trochę mniejsza niż „Worša”. No i jak ją wreszcie kupię, to chyba będę musiał jednak iść do jakiejś roboty. Matka miała nosa do inwestycji, ale bez przesady, arabskim księciem nie zostałem.

– Możesz mieć przecież forsy jak lodu...

– Nie tknę jego pieniędzy, nawet jeśli do końca życia musiałbym zapieprzać na budowach, Iwona. – Jego głos stwardniał nagle. – Nie ma takiej opcji.

– Tylko sugeruję. Po prostu martwię się o ciębie.

– Nie musisz. – Uśmiechnął się do swojego odbicia w ekranie laptopa. – Nic się nie zmieni. Dalej będę trampem. Co z żoną i dziećmi Jaskólskiego?

Tuż po akcji na przystani przespał się w hotelu, rano wziął auto od Artura i pojechał do Wrocławia, a dopiero stamtąd do Berlina, gdzie był już od tygodnia. Koperta z nabojem, którą włożył wtedy do skrzynki na listy mieszkania Jaskólskich, miała sprawić, że znikną z widoku, a Misza nie będzie miał do nich dostępu. Przynajmniej przez jakiś czas. Na

wszelki wypadek napisał na niej lewą ręką „JASKÓLSKA”, bo nie miał stuprocentowej pewności, że wkłada ją do właściwej przegródki. Jaskólski, wspominając, że żona i dzieci są w domu, wskazał okno z fioletową poświatą, i tylko na tej podstawie mógł ustalić numer ich mieszkania.

– Są już pod ochroną – powiedziała Iwona. – Oficjalnie dalej nie wiadomo, o co chodzi, ale to chyba był dobry pomysł.

– Jedyne rozwiązanie.

– Tylko na jak długo?

– Na niedługo.

– Właśnie o tym mówię.

– A ja mówię o tym, że niedługo wszystko będzie jasne.

– Co zamierzasz?

– Chcę skończyć to z hukiem.

– Nie rozumiem?

– Chcę wrzucić granat do latryny. Niech wszyscy usłyszą.

– Po co? Mało ci?

– Czy mało? Mam kurewsko dość, Iwona, uwierz mi. Ale ta prawda nie może zagać. Nieważne, że żyje tylko jedna osoba związana z tym wszystkim. Ale to on jest sprawcą. I nawet to, że długo nie pożyje, nie ma znaczenia. Jestem to winny wszystkim, którzy ucierpieli nie ze swojej winy. A przede wszystkim tamtej kobiecie z lasu i rodzinie Jaskólskiego.

– A bez wybuchowych przerośni? Jak to zamierzasz załatwić?

– Spisałem wszystko. Taak, mam laptop. Jest używany, kupiłem go w komisie. Korzystam z publicznego wi-fi. Założyłem fałszywe konto na Gmailu. Spisałem to i dodałem wszystko: fakty, daty, dane, materiały od Bennera, wynik badań porównawczych z sądówki i tak dalej. Plus film. Zamierzam wysłać to do pewnego dziennikarza śledczego. Bartczak, słyszałaś o nim?

– Tak. Ja też występuję w tych zapiskach?

– Przykro mi, ale nie. Ominąłem nieistotne szczegóły, co ty na to?

– Hmm... Kiedy następnym razem się spotkamy, serdecznie ci się za to odwdzięczę. – Jej śmiech zagrzechotał w telefonie. – Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo. Mam nadzieję, że ten dziennikarz faktycznie rozdmucha sprawę, bo po każdej spowiedzi nadchodzi czas na pokutę.

– Okej... – mruknęła, nie do końca przekonana. – Zrobisz, co uznasz za stosowne, ale co do jednego się zgadzam: ten dziennikarz na bank rozdmucha sprawę, tylko że i tak będzie próbował się z tobą skontaktować, bo jesteś źródłem.

– Nie ze mną. Z autorem tego maila. A to będzie niemożliwe.

– Nie rozumiem?

– O mnie nie ma tam ani słowa. To nie moja spowiedź.

– A czyja?

– A jak myślisz?

Usłyszał w telefonie, jak Iwona gwałtownie wciąga powietrze.

– Chyba żartujesz... – szepnęła.

– Nie. Trzeba posprzątać. Właśnie kończę pisać ten list.

– Spowiedź... – Vogel widział oczami wyobraźni, jak Iwona, mówiąc to, kręci głową tym swoim charakterystycznym ruchem, a krótka, niesforna grzywka rusza się razem z nią. – Nawróciłeś się, czy co?

– Nee, nie mieszajmy do tego kogoś, kto w tym nie uczestniczył.

– Jak chcesz. Nie będę ci mówić, co masz robić, a czego nie.

– I za to cię lubię.

– Zobaczymy się jakoś niedługo?

– Pewnie tak. Na razie spędzę trochę czasu po tej stronie granicy. Odezwę się po powrocie, okej?

– Okej. Trzymaj się, Heinrich. I uważaj na siebie.

– Ty też.

Odłożył telefon, upił łyk kawy i wrócił do listu, czytając go po raz kolejny.

Szanowny Panie,

zwracam się do Pana jako zasłużonego i nieustępliwego dziennikarza śledczego, uznając, że jest Pan jedyną w tym momencie osobą, która może mnie wysłuchać. To coś w rodzaju mojej spowiedzi. Bardzo żałuję tego, co zrobiłem, choć tak naprawdę nie miałem wpływu na zdarzenia, które zapoczątkowały wszystko: po prostu znalazłem się w złym miejscu w złym czasie... Ale niestety potem, dużo później, dokonałem złego wyboru i tego żałuję najbardziej. Z przyczyn oczywistych nie możemy się spotkać, jednak chciałbym, żeby sprawa, zanim zainteresują się nią służby, najpierw nabrała rozgłosu, co zapobiegnie ewentualnemu ukryciu jej przed społeczeństwem. Nie chodzi już o mnie, ale przede wszystkim o ludzi, którzy zginęli. Nie ma sensu rozpisywanie się tutaj, wszystkie fakty i nazwiska znajdzie pan w załączonych dokumentach. Proszę zapoznać się z nimi oraz pewnym filmem na kasecie VHS, od którego wszystko się zaczęło. Kasetę znajduje się w kancelarii prawnej „Sitek, Kołodyński, Szwarc” we Wrocławiu i zostanie udostępniona osobie, która posłuży się hasłem „Misza”. Chciałbym, żeby to był Pan. Ta wiadomość zostaje wysłana przez pewną osobę, do której mam absolutne zaufanie, ale której tożsamość musi pozostać nieznana. Zresztą nie ma ona znaczenia dla sprawy, została w nią wciągnięta przeze mnie. A teraz spełnia moją prośbę: ogłasza moją spowiedź.

Z wyrazami szacunku

Vogel przeczytał list jeszcze raz i stukając w klawisze, podpisał go na dole, a potem przyglądał się tym kilku wyrazom ze smutkiem, ale i z jakąś satysfakcją.

Pułkownik ABW Dariusz Jaskólski

– Nie tylko dziennikarz, Misza – powiedział cicho do siebie. – Będą cię szukać wszyscy święci, skurwielu.

Położył dłoń na myszy, najechał kursorem na dół strony i kliknął „wyslij”.

KONIEC

*Szczecin/Pilchowo, 27.09 – 19.11.2023*

## OD AUTORA

Henryk Ptasznik alias Heinrich Vogel pojawił się już w jednej z moich opowieści: w Milczeniu. Mignął na początku i zniknął, bo odegrał swoją skromną rolę, nie był już potrzebny. Być może niektórzy z Was zauważyli pewne rozbieżności, ale ze względu na fabułę tej historii nieco go odmłodziłem i zmieniłem detale dotyczące jego skazania. Pomysł na uczynienie go głównym bohaterem wyszedł od Ani Wiktorczyk-Nadolnej, za co jej niniejszym serdecznie dziękuję. Bo to był bardzo dobry pomysł i z pełnym przekonaniem twierdzę, że sam bym na niego nie wpadł!

Podobnie było z Iwoną Banach, która pojawiła się w Wybranej i Przegranej. Obiecywałem wielokrotnie, że naprawię jej życie, i w tej historii zacząłem ten proces. Tamta dwutomowa opowieść jest już zamknięta, ale uznałem, że Iwona potrzebuje spokoju i kogoś do towarzystwa.

Wygląd Miszy stworzyłem w oparciu o pewnego człowieka, którego ujrzałem kiedyś w supermarkecie w Andorze. Siedział za kasą. Pulchny, o tlenionych włosach, obwieszony biżuterią i naprawdę miał takie oczy jak Misza. Kiedy tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że ktoś, kto wygląda jak on, pojawi się kiedyś w jednej z moich historii.

Postać Rubensa wzorowana jest na królu polskich fałszerzy, Zbigniewie Nęcce, pseudonim Matejko. Nęccka spędził w więzieniach ponad czterdzieści lat swojego „pracowitego” życia. Był utalentowanym i znakomitym malarzem, ale nieobce były mu również inne techniki, w tym te, które stosował przy produkcji fałszywych studolarówek.

Obecnie nie istnieje delegatura Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego we Wrocławiu, a jedynie tamtejszy zamiejscowy wydział



delegatury ABW w Poznaniu. Delegaturę stworzyłem na potrzeby tej historii z oczywistych względów.

A teraz podziękowania.

Ani Wiktorczyk-Nadolnej serdecznie dziękuję za to, o czym pisałem wyżej.

Joli i Pawłowi Kolińskim, na których trafiłem, szwendając się po przystani na Skolwinie, dziękuję za fantastyczną wyprawę ich łodzią „Niko” do Stepnicy i objaśnienie motorowodniackiej nomenklatury oraz tego wszystkiego, co związane jest ze spędzaniem czasu na wodzie.

Oktawianowi Knapowi dziękuję za podzielenie się wiedzą o identyfikacji ofiar katastrof komunikacyjnych i testach porównawczych DNA.

Jackowi Brusiovi dziękuję za to, co zwykle: za rzeczowość i wiedzę, jaką chciałby mieć każdy autor kryminałów.

Kapitanowi Służby Więziennej Marcinowi Romanowskiemu dziękuję za oprowadzenie po Areszcie Śledczym w Szczecinie i kilkugodzinną, fascynującą na swój mroczny sposób wędrówkę, która nie była tylko zwiedzaniem korytarzy, cel i innych pomieszczeń. Zeszliśmy o wiele głębiej, uwierzcie mi.

Adamowi Mikulskiemu z firmy Deutsche Helikopter za garść faktów dotyczących przelotów śmigłowcem w aspekcie przepisów właściwych ustaw.

Betacytaczom: Aniom, Beacie, Iwonie, Marzenie, Monice, Sylwii, Jackowi, Kamilowi i Tomkowi dziękuję jak zwykle za zaangażowanie i pomoc.

Lokal „Kisiel” istnieje naprawdę, serwuje pyszne jedzenie, odkryłem go przypadkiem i wracam tam czasami z przyjemnością.

Wszelkie błędy merytoryczne, które być może pomimo pomocy wyżej wymienionych osób zdarzyły się w tej opowieści, są wyłącznie moją winą. Wszystkie postacie i zdarzenia opisane w niej są fikcją i nie mają nic wspólnego z rzeczywistymi (może poza Rubensem, Pawłem i Jolą).